

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

- Polska potrzebowała psychoterapeuty
- Co zostawia PiS w gospodarce
- A gdyby Izrael zrezygnował z pełnej inwazji na Gazę
- Obrona narcyza



WYSOKIE OBCASY
Historia Geraldine i Sebastiana,
niewolników w Polsce



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Posłanka Aleksandra Gajewska

Wyrzucamy państwo z sypialni

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



Szok naftowy
50 lat temu państwa OPEC zakreśliły Zachodowi kurek z ropą



Żółta Rosja
Kiedyś carskie wojska podbijały Daleki Wschód kosztem Chin, dziś Pekin wasalizuje Rosję

Ludzie na mydło
Nałkowska napisała, a my uwierzyliśmy

Sobota–niedziela, 21-22 października 2023 | Redaktorka prowadząca Ewa Wieczorek | Cena gazety 9,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 246.10438, 1 | Nakład 99 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA

34280455

targi książki
11-24 października 2023



- setki targowych okazji
- spotkania z autorami
- premiery i nowości

empik #75

Bartosz T.
Wielński



Gorzki diament

Przepraszam, że psuję nastrój po fantastycznym wyborczym zwycięstwie polskich demokratów sprzed tygodnia. Zeszły emocje, została gorzycz. Przez Prawo i Sprawiedliwość straciliśmy osiem lat. Nikt nam tego czasu nie zwróci.

Dzielnie trwaliśmy na barykadach. Broniliśmy przed PiS-em praworządności, niezależnych sądów. Manifestowaliśmy w obronie praw kobiet i praw mniejszości. Staliśmy murem za wolnymi mediami, głośno protestowaliśmy, gdy PiS przygotowywał się do wyrwania Polski z Unii Europejskiej. PiS był jednak jak stalowy walec, nieustannie przyspieszał. A my nieustannie cofaliśmy się z pozycji na pozycję. PiS na nas szczuł, odczłowieczał, odmawiał prawa do bycia Polakami. Nie przejmował się ofiarami – zamordowanym prezydentem Gdańska Pawłem Adamowiczem, zaszczytnym Mikołajem Filiksem, ciężarnymi kobietami, które zmarły, bo w wyniku barbarzyńskiego wyroku pisowskich sędziów w Polsce całkowicie zdelegalizowano aborcję. Z przerażeniem zastanawiałem się, kiedy przekroczona zostanie ostatnia granica, która dzieliła Polskę od transformacji w dyktaturę.

Zachodni świat w tym czasie zajmował się wielkimi wyzwaniami, takimi jak katastrofa klimatyczna i jej globalne skutki. Rozwijano nowe technologie, nowe gałęzie przemysłu, spoglądano daleko – choć z niepokojem – w przyszłość.

Zastanawiam się, gdzie Polska, piąty kraj Unii Europejskiej, byłaby dziś, gdyby nie te parszywe osiem lat

Tam dziennikarze jeździli po świecie, zdobywali wiedzę i dzielili się nią, pisząc wspaniałe książki i reportaże. U nas pod hasłem „wstawania z kolan” budowano skansen. Państwo stało się folwarkiem partii rządzącej, pracownicy instytucji – jej służbą, policja i wojsko – ochroniarzami. U nas dziennikarze musieli bronić niezależności swoich redakcji, które władza z upodobaniem gnębiła. Zostawało ich coraz mniej.

Zastanawiam się, gdzie Polska, piąty kraj Unii Europejskiej, byłaby dziś, gdyby nie te parszywe osiem lat...

Przeczytałem ostatnio wiele opinii, że demokracja w Polsce jest w dobrym stanie, skoro w wyborach PiS stracił władzę. Cóż za koszmarna bzdura. W działającej demokracji wybory muszą być uczciwe. Ostatnie polskie wybory uczciwe nie były. Nie było państwowej instytucji, której PiS nie wykorzystałby do robienia kampanii, nie było programu w państwowych mediach, w których nie chwalono by rządu i nie straszono by Donaldem Tuskiem. Dodajmy do tego hucpiarskie referendum, manipulowanie inflacją i cenami benzyny, zmiany ordynacji wyborczej. I miliony, jeśli nie miliardy złotych wydanych oficjalnie i nie na kampanię. Naprawdę niewiele brakowało, a dziś w rządowych mediach zamiast stypy byłaby celebrowanie historycznego zwycięstwa, a w gabinetach przy Nowogrodzkiej szlifowano by plany dobicia tego, co zostało z polskiej demokracji.

Uratowała nas gigantyczna społeczna mobilizacja, której skala zaskoczyła badaczy opinii publicznej. Osiem lat rządów PiS, okres autorytarnej triumfu, było też czasem, gdy krzepło polskie społeczeństwo obywatelskie. Było jak węgiel, który poddany wysokiemu ciśnieniu i wysokiej temperaturze zamienia się w diament. W ostatnim momencie ruszyło do wielkiej szarży i uratowało nasz kraj. Silne, świadome, zahartowane obywatelskie społeczeństwo to jedyna dobra rzecz, jaka zostanie w Polsce po rządach Prawa i Sprawiedliwości. Nie zmarujemy tego. ●

We wtorek i w środę w „Wyborczej”

Testamenty, spadki i dziedziczenie

Jak napisać i zabezpieczyć testament?
Kto ma prawo do zachowku wg nowych przepisów?
Czy oszczędności emerytalne można dziedziczyć?

Dodatki specjalne we wtorek i w środę w „Wyborczej”



Amerykańska koszykówka Skok na małą



FOT. DARRYL WEBB/AP

Goryl Go, żywa maskotka drużyny Phoenix Suns, bawi kibiców w przerwie meczu z Portland Trail Blazers. Gospodarze wygrali 117-106. Phoenix, 16 października

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na [Wyborcza.pl/zdjecia](https://wyborcza.pl/zdjecia)

**Kod dostępu
do [Wyborcza.pl](https://wyborcza.pl)**



**5 pomysłów na
inwestowanie
w trudnych
czasach**



FOT. SHUTTERSTOCK

**które chociaż pozwolą
utrzymać realną wartość
naszych pieniędzy**

Czytaj ► wybocza.biz

Agnieszka
Kublik



Uśmiechnij się!

To pierwsze, co mi przyszło do głowy w niedzielny wieczór – żeby się uśmiechnąć.

I uśmiechać się przynajmniej przez jakiś czas. Uśmiechnijmy się i uśmiechajmy się wszyscy.

Bo mamy do kogo.

Do zwycięzców wyborów.

Do wygranych obywateli.

Ale i do przegranych, bo tego teraz piekielnie potrzebują.

Do obcych.

Na ulicy.

W sklepie.

W metrze.

W tramwaju.

Na poczcie.

W aptece.

Uśmiechajmy się, bo mamy milion powodów.

Taki na przykład, że PiS nie ma rządowej większości, choć zagwarantował sobie olbrzymie i nielegalne wsparcie na wielu frontach – od mediów, przez spółki skarbu państwa, po kodeks wyborczy. To pokazuje, jaką wartość i siłę – wykraczającą poza czystą arytmetykę – ma wynik opozycji.

Bo frekwencja była rewelacyjna, czyli nam się chciało.

Bo rzeczywiście każdy głos się liczył i miał moc sprawczą.

Bo młodzi poszli tłumnie na wybory.

Bo kobiety ujrzały związek głosowania z ich prywatnym życiem i głosowały częściej niż mężczyźni.

Bo Konfederacja z apetytem na wynik dwucyfrowy leży prawie na progu.

Bo PiS przegrał także referendum.

Bo jeśli mimo wszystko to przegrany Duda powierzy misję tworzenia rządu, w październiku przegrają po raz trzeci.

Bo razem z PiS przegrała TVP.

I Orlen (chyba nie muszę tłumaczyć dlaczego).

Bo sprawiedliwości stanie się zadość (kiedyś).

Bo nadszedł czas przywracania normalności (od teraz).

W szkole.

Na uczelniach.

W sądach.

W Trybunale Konstytucyjnym.

W Sądzie Najwyższym.

W prokuraturze.

W policji.

W wojsku.

W TVP.

W Polskim Radiu.

W Polskiej Agencji Prasowej.

W Radzie Mediów Narodowych.

W Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji.

No jak tu się nie uśmiechać?

Matylda Damięcka, dziewczyna, która rysuje polskie sprawy, w wyborczy poniedziałek po swoim, na nowo rozszyfrowała osiem gwiazdek (czyli „je..ć PiS”): „lubmy się” „kohom was”, „szano wać” i „udało się”.

Top 3 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Poniedziałek

„Żelazna dama” na początek

140 filmów prezentujących historię, tradycję, kulturę i współczesne życie Żydów znalazło się w programie 21. Warszawskiego Festiwalu Filmów o Tematyce Żydowskiej. Filmem otwarcia będzie „Golda” z Helen Mirren w roli Goldy Meir. 23-29 października, Warszawa – Muzeum Polin, kina Muranów i Kinogram, JCC Warszawa i Centrum Kultury Jidysz.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE, WLADYSŁAW CZULAK / AGENCJA WYBORCZA.PL, © SUCCESSION PICASSO 2023

Środa

Koniec protestów

2Do środy wyborcy, którzy dopatrzili się naruszenia kodeksu wyborczego albo przestępstw wyborczych, mogą złożyć protest w Sądzie Najwyższym. W 2019 r. do SN wpłynęło aż 279 protestów, w 2015 r. – 77. Ale Sąd Najwyższy nakazał powtórzenie wyborów tylko raz, w 2005 r. w okręgu częstochowskim, bo zabrakło tam nazw komitetów wyborczych na kartach do głosowania do Senatu.



Czwartek

Picasso kupuje kożuszek

3Po obejrzeniu wystawy Pabla Picassa warto posłuchać wykładu Wiktora Komorowskiego. Rysunek Syrenki na ścianie w mieszkaniu na warszawskiej Woli, zakup kożuszka dla Françoise Gilot w krakowskich Sukiennicach... Jakie inne wydarzenia kryje wizyta Pabla Picassa w Polsce? Kino MUZ, Muzeum Narodowe w Warszawie, transmisja online, godz. 18.



Cytat dnia

Czy prezydent ochłodzi rozgrzane głowy i zapobiegnie demolowaniu państwa i pozycji przez siły antypaństwowe, globalistyczne? Wszyscy ludzie dobrej woli powinni mu w tym pomagać.



JACEK KARNOWSKI
w portalu wPolityce

Koalicja PiS – PSL. Mało brakowało

Duda wybrał. Pójdzie na ostro

Prezydent liczy, że Biden przegra i wróci Trump

Wielowieyska



Prezydent Andrzej Duda zamierza powielać błędy PiS z kampanii i eksploatować strategię, która właśnie zawiódła na całej linii. A mógłby otworzyć nowy rozdział i zbudować zupełnie nową prezydenturę, myśląc o przyszłości prawicy w perspektywie kilkunastu lat. Mógłby przyjąć rolę arbitra politycznego, z przechyłem w stronę swojej macierzystej formacji, ale przy zachowaniu minimum bezstronności.

Już raz osoby życzliwe, także z zagranicy, suflowały mu pomysł na nowe otwarcie, gdy wybuchła wojna w Ukrainie i gdy musiał zdecydować o wecie wobec „lex TVN”. Wówczas – wobec jedności polskiej klasy politycznej w sprawie Ukrainy – otwierała się możliwość na nawiązanie dobrych relacji choćby z PSL i Polską 2050. Takie kontakty między tymi środowiskami były. Ale zaraz potem Duda został pociągnięty ku twardemu PiS. Od początku kadencji efekt karuzeli personalnej w prezydenckiej kancelarii jest taki, że odchodzą ludzie nastawieni na dialog z innymi formacjami. Gdyby prezydent zmienił kurs w zeszłym roku, a jego partia zachowała wstrzeźliwość w atakowaniu ludzi Trzeciej Drogi, dziś PiS byłoby łatwiej budować relacje z PSL i mogłyby powstać nieoczywiste koalicje, które uratowałyby obóz władzy.

Ale i w Pałacu Prezydenckim, i na Nowogrodzkiej wybrali logikę wojny. Dziś umizgi do PSL wyglądają śmiesznie.

Prezydent nadal tkwi w przekonaniu, że Polska się nie zmieniła od 2020 r., a tego, że aż 11,5 mln ludzi odrzuciło władzę PiS, nie przyjmuje do wiadomości. Jest pod wpływem głównego doradcy Marcina Mastalerka, który kieruje się osobistym interesem. Pewnie zostanie szefem gabinetu prezydenta, bo pełniący tę funkcję Paweł Szrot zdobył mandat poselski. Przyszły prezydencki minister zakłada, że gdy Kaczyński odda przywództwo, to on, nielubiany przez prezesa PiS, wróci do gry i weźmie udział w walce o spuściznę. Dlatego w jego interesie jest, by Duda pozostał wierny. Przekonuje kolegów w partii, że on już tak pokieruje polityką Pałacu, by nie byli poszkodowani, i że dowiezie sprawy ważne dla PiS, choćby ochronę swoich przed odpowiedzialnością karną.

Prezydencka ministra Małgorzata Paprocka zasugerowała w „Rzeczpospolitej”, że Duda będzie blokował zmiany w prokuraturze. PiS przyznał niedawno sporo kompetencji prokuratorowi krajowemu Dariuszowi Barskiemu, koledze Ziobry, i przegłosował przepis, że Barskiego nie da się odwołać bez zgody prezydenta.

Zgodnie z tą samą logiką prezydent chce powierzyć misję formowania rządu Mateuszowi Morawiekiemu, choć ten nie ma szans na większość w Sejmie. Lecz prezydent z doradcą mają fobię na punkcie Tuska i nie chcą, aby w świat poszły obrazki, że już przy pierwszym podejściu Duda ściska rękę Tuskowi, wręczając mu nominację. Aparat i twardy elektorat PiS źle by to odebrały. Ponadto prezydent daje czas ekipie rządzącej na wyrwanie trochę pieniędzy publicznych ostatnim rzutem na taśmę – jak donosi OKO.press, w Ministerstwie Sprawiedliwości urządzono właśnie kolej-

ny konkurs, w którym 15 mln z Funduszu Solidarności zostanie rozdane ludziom związanym ze środowiskiem Suwerennej Polski.

Gdy już jednak do powstania rządu Tuska dojdzie, Mastalerek zrobi wszystko, aby Pałac rzucił kłody pod nogi rządowi w niemal każdej sprawie. Bo taka jest logika działania tego obozu: grać na skrajnych emocjach, prowadzić wojnę ze wszystkimi i w efekcie tkwić w izolacji politycznej.

Tyle tylko, że taka polityka może być wręcz na rękę przyszłemu rządowi: daje mu przyzwolenie na radykalne rozwiązania – przecież prezydent nie jest otwarty na kompromis. Jeśli Duda zawetuje np. ustawę o depenalizacji aborcji, to nowa ekipa rządząca nie będzie płakać. Pod Pałacem Prezydenckim będą się gromadzić demonstranci, wyrażając prezydentowi.

Nakręcenie emocji w sprawie aborcji przyniesie ulgę nowemu gabinetowi, który będzie się musiał mierzyć z kłopotami gospodarczymi. PiS bowiem zostawia kraj z wysoką inflacją, budżetem w słabej formie i rachitycznym wzrostem gospodarczym, a nawet recesją.

Odrzucając kompromis czy rozmowy, prezydent tylko pogarsza sytuację swoją i swojego obozu – przecież Kaczyński stracił władzę w dużej mierze przez barbarzyńską decyzję Trybunału Julii Przyłębskiej o niemal całko-

■
Wroga zwycięskiej opozycji polityka Pałacu Prezydenckiego może być na rękę przyszłemu rządowi: daje mu carte blanche i przyzwolenie na radykalne rozwiązania

witej delegalizacji aborcji. A ten sam problem – brnięcie w błędną strategię PiS – zaraz pojawi się przy porządkowaniu chaosu w sądownictwie. Duda już powołał kolejnych neosędziów, nie zważając na to, że wyborcy zdecydowali o zmianie władzy.

A pamiętam, jak przestrzegał rząd PO – PSL w 2015 r., aby nie podejmował „w okresie przejściowym” wiążących decyzji, które mogą kreować konflikty. Dziś nie słucha własnych rad. To prognostyk, jaką politykę będzie prowadził pod wpływem Mastalerka: idziemy na ostro, dialog odrzucamy.

I znów: to usprawiedliwi radykalne posunięcia przyszłego rządu z użyciem środków administracyjnych. Tusk jest gotowy wziąć za nie osobistą odpowiedzialność: już ma dwa pomysły na zmiany w mediach publicznych z pominięciem prezydenta. W sprawie aborcji rząd też może zmienić stan prawny za pomocą rozporządzeń i uchwał, np. uznać wyrok ludzi Przyłębskiej za nieważny ze względu na udział dublerów w tej rozprawie.

•
W kalkulacji Dudy i Mastalerka pewną rolę odgrywa przeświadczenie, że Demokraci w USA przegrają i do władzy wróci Trump, a wtedy pozycja Dudy radykalnie się zmieni: to on będzie miał monopol na relacje z Waszyngtonem. I pojawiają się znów, pobladłe ostatnio, widoki na międzynarodowe stanowisko po zakończeniu kadencji.

•
Jeśli prezydent nie wyrwie się z okowów izolacyjnej strategii, mamy przed sobą smutną alternatywę: ostre starcie z użyciem przez nowy rząd radykalnych środków, być może na granicy prawa, lub ciąg dalszy gnicia i chaosu, który PiS zostawił po sobie. ●
Dominika Wielowieyska

Jeśli Duda zostanie
świadkiem koronnym,
to kompromis jest
możliwy

TO BYŁA WYBORCZA TERAPIA

ZE **SŁAWOMIREM SIERAKOWSKIM***
I **PRZEMYSŁAWEM SADURĄ**** ROZMAWIA
AGNIESZKA KUBLIK

PiS pokazał młodym kobietom związek przyczynowo-skutkowy między praworządnością a tym, co się dzieje w gabinecie ginekologicznym. Wkurzyły się i poszły zagłosować.

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI: To jedna z kluczowych grup społecznych. Na nie zadziałała skuteczna, prowadzona przez bardzo wiele organizacji – także Krytykę Polityczną – kampania profrekwencyjna. Kobiety znacznie gorzej reagują na politykę nienawiści. Także najskuteczniejszą kampanię profrekwencyjną przeprowadził PiS.

Bo najtrudniej było przekonać ludzi, że polityka dotyka ich codzienności, a takie sprawy jak sprawa Joanny z Krakowa były efektem zachęty państwa do łamania praworządności.

S.S.: Zgadza się, choć to trochę romantyzowanie reakcji społecznych, bo przez długi czas nie było reakcji młodych kobiet na to, co wyrabia PiS. Inaczej nie trzeba by było prowadzić kampanii profrekwencyjnych. Bardziej ludzi wkurzył PiS, prowadząc antykampanię i stawiając na wyjątkowo antypatyczne postacie jak sam Mateusz Morawiecki. A na koniec PiS chyba zwątpił, że uda mu się zmobilizować kogoś innego poza swoim żelaznym elektoratem, więc postawił wyłącznie na mobilizację fanatyków. Wyszło tak, że najbardziej zmobilizował młodzież i kobiety.

56 proc. głosujących kobiet poparło trzy partie opozycji, frekwencja wśród kobiet była nieznacznie, ale jednak wyższa niż wśród mężczyzn.

S.S.: Tak, jeszcze większym precedensem jest frekwencja w młodym pokoleniu.

Właśnie te dwie grupy były obiektem intensywnych kampanii organizacji pozarządowych. Wcze-

śniej emigrowały wewnętrznie i też zewnętrznie, jakby wypisywały się z systemu. Szukały sposobów na rozwiązanie problemu aborcji albo w internecie, albo w Czechach, bo czują się kosmopolitami i dla nich system polityczny był odpychający. Do czasu, aż przegiał z antyunijną polityką. To najbardziej wkurzyło młodych.

Hipotezy socjologów, że brutalna polityka zniechęci, okazały się nie do końca trafione. Frekwencja była najwyższa w historii po 1989 r.

S.S.: Tyle że tak naprawdę wygrał anty-PiS. Tak jak antykomunizm w 1989 r. Chodziło przecież o ratowanie demokracji i obecności Polski w UE, a nie poparcie dla tego czy innego lidera albo programu. Badania pokazywały, że anty-PiS to jedyna masowa emocja w Polsce. I te wybory były bardzo emocjonalne.

Chodziło głównie o to, żeby zakończyć erę tej władzy?

S.S.: Tak, ludzie odrzucili system Kaczyńskiego. To były wybory tak historyczne jak te w 1989 r., wtedy też ludzie wiedzieli, że nie zniosą już dłużej komunizmu.

Skoro młode kobiety poszły do wyborów, to dlaczego Lewica wypadła tak słabo? W wyborach parlamentarnych 2019 r. zgarnęła 12,56 proc., teraz – 8,6 proc.

PRZEMYSŁAW SADURA: Spójrz na to, co Lewica mówiła, o czyje prawa się upominała i czyimi ustami. Była rozbieżność – mówili o tym faceci. Mówili, że Lewica jest kobietą, a jednocześnie na czele miała trzech mężczyzn...

...Czarzastego (rocznik 1960), Biedronia (rocznik 1976) i Zandberga (rocznik 1979). Ale mieli i trzy kobiety.

P.S.: Tak, ale były dokooptowane do facetów. Zamiast trzech liderów jedna liderka zrobiłaby im robotę, a oni

przez długi czas zwlekali z tą decyzją. Razem wypadło na tle Nowej Lewicy bardzo dobrze, a to dzięki młodym polityczkom, które przeskoczyły mężczyzn na listach. Kobiety w tych wyborach na większą skalę niż dotąd stosowały strategię, którą opisywaliśmy w naszych raportach – idę i głosuję na pierwszą kobietę na liście, która mi odpowiada. To była duża świadomość wyborcza, by korygować decyzje polityków, w tym kształt list.

I jeszcze uzupełnię, co Sławek już mówił, że wygrał anty-PiS, tyle tylko, że na ostatniej prostej, i to moim zdaniem tłumaczy, dlaczego ta frekwencja była tak rekordowa – opozycja postawiła na pozytywne emocje.

A PiS negatywne w ostatnich dniach.

P.S.: Tak. Opozycja dała nadzieję w ostatnich dniach, co wpłynęło na frekwencję.

S.S.: Badania pokazywały, że elektorat opozycji długo nie wierzył w sukces, być może nawet do końca. Ale tym razem zadziałało to motywująco, bo PiS przegiał i ludzie głosowali już niezależnie od tego, czy jest szansa, czy nie. Po prostu nie można było już na to biernie patrzeć. Tusk znowu dobrze wyczuł, że odpowiedź na politykę nienawiści może być polityka miłości, i to wymusiło koniec sporów na opozycji. Efektem było ratowanie Trzeciej Drogi przez wyborców z obawy o nieprzekroczenie progu wyborczego. Wcześniej niechęć do niej w elektoracie całej opozycji była duża. Sam byłem zirytowany, a na końcu chciałem ratować Trzecią Drogę. Pół kolejki do urny wyborczej o tym rozmawiało. Trzecią Drogę poparło sporo ludzi, którzy wcześniej ją najbardziej krytykowali.

Polityka miłości to wyświechtane hasło, prawda?

S.S.: Proste. Pozwoliło na stworzenie czytelnej różnicy, jak ten podział z 2005 r. na Polskę liberalną i socjalną, który wówczas zdefiniował Kaczyński i dzięki temu wygrał.



Kaczyńscy, bo i Lech. W 2005 r. z tym podziałem pokonał Tuska w wyborach prezydenckich.
S.S.: Tusk emocjami związanymi z polityką miłości odsunął na dalszy plan zarzuty, że uciekł do Brukseli, że podniósł wiek emerytalny.
P.S.: Pisaliśmy wcześniej, że nasze społeczeństwo po tych wszystkich traumach, pandemii, wojny, inflacji potrzebuje polityka terapeuty, który wysłucha, przestanie straszyć, da nadzieję. I Tusk to wszystko zrobił.

Ma zdolność rozmawiania ludźmi na wiecach, ale i słuchania ich, nawet tych, którzy są za PiS, czyli przeciwko niemu.
P.S.: Tak, rozmawia z nimi bardzo umiejętnie.
S.S.: Pisaliśmy też, że lider, który przywróci poczucie bezpieczeństwa Polakom, wręcz powinien szukać takich konfrontacji jak te z nienawistnymi „dziennikarzami” TVP.

Mówiliście też o tym, że Polska potrzebuje psychoterapeuty i wygra ten, który się okaże najlepszym, bo narodowym.
P.S.: I mieliśmy rację. PiS nie podjął nawet próby podjęcia się takiej roli....

...nie ten temperament.
P.S.: Kaczyński do końca szczuł i straszył. Nie tylko on, bo przypominam, co zrobił Morawiecki, który zastąpił Kaczyńskiego na debacie – także szczuł, i to był gwóźdź do trumny PiS. Oni nie byli w stanie odwołać się do niczego poza negatywnymi emocjami, choć sondaże pokazywały, że opozycja demokratyczna może mieć większość rządową.
S.S.: Zauważ, że PiS, mimo że jest bardzo dużą formacją, nie grał na kilku fortepianach. Duda im pomagał, ale grał tę samą melodię. To był jeden dość prymitywny, prosty przekaz i nie było żadnej alternatywy, która przyciągnęłaby innych wyborców niż tych najbardziej fanatycznych.

**Jak będziemy mnożyć wątpliwości,
jak ich rozliczyć,
to nigdy tego potem nie zrobimy**

Joachim Brudziński, szef sztabu wyborczego PiS, nie dał rady.
P.S.: A opozycja przeplatała, przynajmniej wcześniej, politykę miłości z polityką nienawiści.
S.S.: Nienawiści nie było. Rozliczenia za grzechy nie wykluczają się z polityką miłości.
P.S.: Tusk też czasami grał nienawiścią do PiS.
S.S.: Do końca opierał się jednak na konkretnych faktach. Po prostu nie ział jadłem.
P.S.: Ale przeplatanie tego narracją miłości i przekładanie akcentów w coraz większym stopniu w stronę pozytywnych emocji spowodowało zmiany zachowań wyborczych po stronie wyborców opozycji.
Do tej pory mówiliśmy, że to wyborcy PiS głosują kolektywnie, a wyborcy opozycji podejmują indywidualnie decyzje. To wyborcy PiS po mszy całymi grupami, rodzinami idą głosować, podejmują decyzje rodzinami czy wspólnotami. Natomiast to, co zobaczyliśmy w dzień wyborów, te kolejki stojące do lokali, które już były zamknięte, bo zabrakło kart, to była wspólnota. To był naturalny eksperyment psychologiczny, który pokazał kolektywne głosowanie po stronie opozycji. Tam panowała piękna atmosfera festiwalowo-piknikowa, wspólnotowa, choć mogli głosować na różne partie opozycji, ale to było bez znaczenia.
S.S.: Nie byłoby tego, gdyby nie te dwa marsze. Ludzie się zobaczyli, policzyli, polubili, zaczęli wie-

• **Kolejka do głosowania w wyborach parlamentarnych. 15.10 Warszawa**
FOT. FILIP NAUMIENKO/
REPORTER

rzyć, że się uda. Szczególnie drugi marsz, w którego ogromną masowość mało kto wierzył, ale się udało.
Czyli jednak marszami się wygrywa wybory...
S.S.: Marsze były absolutnie kluczowe. Tusk zaryzował i wygrał. Trudno mi uwierzyć, że którykolwiek inny polityk z opozycji by się na coś takiego zdecydował. Ale bez wyjścia poza szablon, zaryzykowania, nie dało się wygrać tak nierównej walki z PiS.

To Hołownia mówił, że marszami się wyborów nie wygrywa.
S.S.: A jednak dały więcej wiary, pokazały, że jest polityk, który jest w stanie tylu ludzi ściągnąć na protest przeciwko komuś, ale i za czymś, za Polską bez nienawiści. Dla mnie jest ważne, by teraz opozycja nie pozostała w stanie satysfakcji, że wygrała. Potencjał najpierw obu marszów, a później frekwencji nie może skończyć się na wyborach. Na tym trzeba wreszcie rozszerzać i wzmacniać liberalne społeczeństwo obywatelskie. Prawica to od 20 lat skutecznie buduje. Ma te wszystkie kluby i fundacje, społeczność Radia Maryja. Nawet te przekręty typu „willa plus” były skierowane na wzmacnianie szerokiego społecznego zaplecza partii. Oczywiście opozycja musi to robić inaczej, ale potrzebujemy czegoś więcej niż jednorazowych wybuchów w sytuacjach krytycznych. Nie będzie demokracji liberalnej bez liberalnych demokratów i instytucji kształtujących takie postawy i kadry do polityki. Trzeba powiedzieć, że PiS stworzył tak sobie armię 30- i 40-latków.

Powiedzieliście, że do ostatniego tygodnia wyborcy myśleli, że to PiS wygra. Co takiego się w ostatnim tygodniu stało? Była debata TVP, dymisje generałów, PiS szczuł na Tuska coraz intensywniej...
P.S.: Strach przed PiS, bo ludzie się przerazili, co będzie, jak PiS dostanie kolejną kadencję

S.S.: To przede wszystkim był strach dwóch grup, które wypadły zresztą najlepiej w tych wyborach – młodych mężczyzn i kobiet. I strach, że Trzecia Droga może nie wejść, że PiS może mieć bardzo wysoką przewagę nad Koalicją Obywatelską. Odbyłoby się to kosztem Lewicy i „mijanki” KO z PiS.

Strach przed odpadnięciem Trzeciej Drogi pojawił się, gdy w kilku sondażach miała ok. 6 proc.
P.S.: I wtedy zaczęły się kalkulacje, kogo opłaca się poprzeć. Tusk im pomógł.

Lewica się cieszy, bo po 18 latach wraca do władzy, ale wynik ma fatalny. Czarzasty szykuje się na marszałka Sejmu, a może raczej powinien się podać do dymisji?
P.S.: Czarzasty ma słaby wynik, przeskoczył go lokalny działacz z ostatniego miejsca.
S.S.: A jednak Lewica może mówić o odwrotności pyrrusowego zwycięstwa. Ilość zamieniła w jakość. Do Sejmu weszły takie osoby jak Dorota Olko czy Łukasz Litewka, to jest ogromne wzmocnienie i bardzo dobry prognostyk na przyszłość. Lewica też była jedyną partią, która wystrzegająca się jakiegokolwiek populizmu. Taktycznie to pewnie błąd, lecz trzeba tę jakość docenić.

W lipcu rozmawialiśmy o tym, że Polska znalazła się w matni populizmu.
P.S.: Chcielibyśmy jak Joanna Szczepkowska w 1989 r. powiedzieć: „15 października skończył się w Polsce populizm”, ale sami byłibyśmy wtedy populistami.

Będziemy mieli trudną sytuację gospodarczą z rozkręconymi oczekiwaniami społecznymi

To jest ten moment, kiedy się cieszymy z wyników wyborów, lecz nie zapominajmy, że po pierwsze, partia populistyczna, która przez osiem lat w populistyczny sposób sprawowała władzę, dokonując powolnej ewolucji w stronę reżimu autorytarnego, wygrała te wybory, uzyskując najlepszy wynik. Straciła władzę, ale nadal jest śmiertelnym zagrożeniem dla polskiej demokracji.

Po drugie, opozycja wygrała w tym sensie, że jest w stanie stworzyć koalicję, która przejmie władzę, jednak wygrała po użyciu populistycznej strategii, przynajmniej na poziomie retoryki.

Co populiści robią z debatą publiczną, z życiem publicznym? Tak obniżają standardy, że nie da się innymi narzędziami z nimi wygrać i opozycja musiała sięgnąć po te narzędzia, włożyć ten populistyczny kostium. Dlatego społeczeństwo dalej zostaje populistyczne. Przecież z dnia na dzień się nie zmieniliśmy. Będziemy mieli nowy układ rządowy, który będzie się zmagał z bardzo trudną sytuacją gospodarczą zostawioną przez poprzedników, z rozkręconymi oczekiwaniami społecznymi, z obietnicami społecznymi, których nie da się tak łatwo wygumkować, z totalną opozycją, taką, że dopiero zobaczymy, jak totalna może być opozycja. I mamy bardzo trudny moment, bo w ciągu półtora roku będą trzy kampanie wyborcze, które koalicja złożona z wielu podmiotów musi przetrwać. Jeżeli te partie wystartują przeciwko sobie w tych wyborach, to przetrwanie półtora roku ich wspólnego rządu stoi pod znakiem zapytania. A jeśli się uda, to dotrwają do końca kadencji. Jeszcze w poniedziałek powyborczy trzeba się było cieszyć i świętować, ale dzisiaj trzeba zacząć myśleć, z jakimi wyzwaniem się będziemy mierzyć.

PiS dostał 35,4 proc. głosów. Jak Tusk powinien z tymi wyborcami rozmawiać?
S.S.: Na pewno będzie używać retoryki pojednania, lecz jeśli chodzi o tę część sfanatyzowaną, to nie jestem optymistą. Trudno mi uwierzyć, że nagle z całego społeczeństwa zrobimy liberałów w krótszym okresie niż 20, 30 lat.

Dlatego w tym rządzie najważniejszym ministrem powinien być minister edukacji. Akurat to stanowisko może przypaść Lewicy, co byłoby najlepszym rozwiązaniem właśnie dlatego, że Lewicy jest najdalej do populizmu, najbliższej do podnoszenia standardów w polityce.

P.S.: Agnieszka Dziemianowicz-Bąk byłaby świetną ministrami edukacji.

Hołownia ma ambicje, by to jego partia obsadziła ten resort. Na premiera Tuska się zgodzi?
S.S.: Bez Tuska nie byłoby zwycięstwa, nie mam żadnych wątpliwości. Bez Tuska Platforma Obywatelska, która miała bardzo zły wizerunek, bardzo rozżalony elektorat, nie przeszłaby tego bardzo psychologicznego, bardzo ważnego progu 30 proc. Bez tych dwóch marszów nie byłoby tej rewelacyjnej frekwencji.

P.S.: Moim zdaniem tu nie chodzi tylko o to, że Tuskowi należy się bycie premierem jako nagroda za to, co zrobił, ale też o to, że bez Tuska jako premiera rząd koalicyjny nie przetrwa. Jest tyle podmiotów, które trzeba dogadać. Trzeba kogoś z autorytetem, kto jest w stanie narzucić rozwiązania. On pokazał, że był to w stanie zrobić od momentu, kiedy wrócił z Brukseli, i albo będzie premierem, albo czeka nas problem z zawiązaniem koalicji.

Lewica ma zły wynik, bo upominała się o prawa kobiet ustami trzech mężczyzn

A mówię to, choć nie jestem jakimś wielkim entuzjastą Tuska i generalnie myślę, że na dłuższą metę dobrze by było, by promował następców.

S.S.: Ja z kolei doceniam rolę Tuska. Także dlatego, że teraz potrzebujemy premiera o bardzo silnej pozycji międzynarodowej, by jak najszybciej odzyskać fundusze z KPO, wzmocnić sojusz z Ukrainą i dołączyć do Francji i Niemiec, żeby przewodzić UE.

Myślicie, że prezydent Andrzej Duda się dopasuje?
S.S.: Nie wierzę w to, dlatego że 22. postulatem KO jest postawienie go przed Trybunałem Stanu. Zresztą dopiero co Duda nominował kolejnych neosędziów, i to właśnie teraz. Ale postawiłbym na skuteczność.

Czyli?
S.S.: Jeśli miałyby być jakieś niepisane porozumienie z Dudą, że nie utrudnia przywrócenia praworządności, zostaje kimś w rodzaju świadka koronnego i nie staje przed Trybunałem Stanu, to wydaje mi się, że to byłby jakiś kompromis. Ostatecznie i tak zniknie z polskiej polityki, więc trzeba pomyśleć o skutecznym i jak najszybszym powrocie do normalnego funkcjonowania państwa demokratycznego.

P.S.: Ale Duda będzie też pod bardzo silną presją Nowogrodzkiej, która będzie chciała mieć większy wpływ na Kancelarię Prezydenta niż do tej pory.

A cóż oni mogą mu zaoferować?
P.S.: Nie tylko jemu, lecz także ludziom z jego otoczenia mogą różne rzeczy zaproponować. Najlepszy scenariusz jest taki, że Duda dokonuje zwrotu i dogaduje się z dotychczasową opozycją. Jednak nie sądzę, że to realne.

S.S.: Ale też mamy w Polsce tradycję kompromisów. Po historycznych wyborach w 1989 r. doszło do takiego z komunistami, i ten projekt się bardzo udał. Byli komuniści okazali się lojalni wobec demokracji liberalnej w odróżnieniu od tej części „Solidarności”, która dzisiaj jest związana z PiS.

P.S.: To miałoby sens, ale wbrew społecznej emocji, która oczekuje sprawiedliwości.

S.S.: Duda ma dużo wyższe poparcie niż PiS, to ciągle najpopularniejszy polityk w Polsce.

P.S.: Tak, lecz jakoś trzeba tę potrzebę sprawiedliwości zaspokoić, choć nie spodziewam się, żeby na masową skalę ktokolwiek próbował wbijać PiS-owców na przysłowiowy pal...

S.S.: A ja się spodziewam i oczekuję twardego rozliczeń. Za ten ośmioletni koszmar, wstyd i cywilizacyjną zapaść.

Jak ten brak rozliczenia za IV RP...
S.S.: Tak, to by stworzyło okropny precedens na przyszłość, bo oznaczałoby, że można kraść na potęgę, łamać wszystkie możliwe ustawy, kompromitować nas na cały świat, a później z tymi ukradzionymi pieniędzmi resztę życia sobie spędzić na długich wakacjach.

P.S.: Sprawiedliwości bym chciał, nie zemsty, choć większe szanse widzę na zemstę, na symboliczne ukrzyżowanie Ziobry czy kogoś takiego.

S.S.: Nikt nie mówi o zemście, ale o żelaznej ręce prawa.

Tusk mówi: nie zemsta, ale rozliczenie.
S.S.: Tak, ważne, by to rozgraniczyć, bo zemsta stworzy wrażenie, że wszyscy jesteśmy tacy sami, że jeden się mści na drugim. A rozliczenie winnych złodziejstwa, oszustwa i krzywoprzysięstwa...

P.S.: ...łamania konstytucji...

S.S.: ...to – uwaga – prawo i sprawiedliwość po prostu. Myślę, że warto zademonstrować im prawdziwe znaczenie tych słów. Kaczyński zaczął kłamać, poczynawszy od samej nazwy partii.

Jak rozliczyć Jacka Kurskiego czy Danutę Holecą za to ich kłamstwo codzienne?
S.S.: A niegospodarność na budżecie TVP? Uważam, że jak będziemy teraz mnożyć wątpliwości, jak rozliczyć, i będziemy się z tym certolić, to nigdy tego potem nie zrobimy. Nie mamy zresztą czasu na wracanie teraz po śladach PiS do stanu z 2015 r. Upraszczając – to, co nielegalne, należy uznać za niebyłe.

To co zrobić, żeby nie zmarnować tego dobrego potencjału?
S.S.: Naprawdę zacząć myśleć o modernizacji nie tylko technicznej czy formalnej, ale także społecznej. Na poważnie zainwestować w wychowanie do demokracji liberalnej. Nie zrobiliśmy tego po 1989 r. i ledwo się uratowaliśmy.

P.S.: PO nie inwestowała w społeczeństwo obywatelskie.

S.S.: To Platforma, a nie PiS, zamknęła klub Nowy Wspaniały Świat, największe niefinansowane przez państwo centrum kultury w Polsce. I to nawet nie dlatego, że się uwzięła na nas, że złej woli, tylko tacy politycy jak Hanna Gronkiewicz-Waltz nie rozumieli znaczenia takich rzeczy. Tusk ministrem kultury mianował polityka, który miał być ministrem obrony i którego nie traktował poważnie. Jak wrócimy do tamtych standardów, to za parę lat znowu będziemy mieli populizm.

Tych 75 proc. ludzi, którzy zagłosowali w niedzielę, musi czuć, że jest jakiś ciąg dalszy, że coś z tego stania w kolejkach wyborczych wynika. To jest najlepsza ochrona przed zakusami PiS i najlepsze wsparcie dla demokracji.

Zwróćmy uwagę na to, co się stało: Tusk wyjechał do Brukseli i nie zostawił następców. Ale skąd niby mieli się wziąć? PO nie inwestowała w rozwój organizacji liberalnych. Prawdziwa integracja z Zachodem musi być mentalna, a nie formalna plus autostrady i stadiony.

P.S.: A inwestycje w edukację, w kulturę, podnoszą oporność społeczną na populizm.

Bo on nie odszedł...
P.S.: Przyczai się i może wróci w postaci kolejnych rządów populistów, a wtedy jeszcze bardziej bezwzględnych. Te cztery lata, które ma teraz opozycja, trzeba wykorzystać na to, żeby przygotować się na ich możliwy powrót.

Czy na pewno cztery lata?
P.S.: Sami mogą to sobie odebrać, ale nikt inny im tego nie zabierze.

S.S.: Tak naprawdę nie znamy gospodarczej sytuacji Polski i skali zrujnowania instytucji publicznych. Co będzie, jak wybuchnie kryzys albo sytuacja geopolityczna jeszcze się pogorszy? Opozycja ma wiarygodność na Zachodzie i myślę, że stosunkowo łatwo dostanie fundusze z KPO, nawet bez przychylności prezydenta.

P.S.: Częściowo te środki są już wydane, o czym wie tylko mała część opinii publicznej.

S.S.: A część jest wręcz utracona. Nowy rząd czeka wiele niespodzianek. Przede wszystkim nie ma czasu. Zmiany powinny być jak najszybsze. Jak powiedział amerykański prokurator Robert Jackson, pytany, co z poprawką do konstytucji amerykańskiej, która miałaby chronić nawet neonazistów: „Czasami musimy być praktyczni”. Zamiast nabożnie respektować wszystkie prawa ustanowione nielegalnie przez PiS, bądźmy praktyczni. ●



FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Sławomir Sierakowski

● socjolog, założyciel i lider Krytyki Politycznej, pracownik naukowy Niemieckiej Rady Polityki Zagranicznej, publikuje m.in. w „New York Timesie”



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

**Dr hab. Przemysław Sadura

● profesor UW, szef Katedry Socjologii Polityki na Wydziale Socjologii UW, kurator instytutu badawczego Krytyki Politycznej, autor m.in. książki „Państwo, szkoła, klasy”

Przemysław Sadura i Sławomir Sierakowski od kilku lat badają kondycję Polaków (raporty „Polityczny cynizm Polaków”, „Koniec hegemonii 500 plus” i „Polacy za Ukrainą, ale przeciw Ukraincom”). Latem nakładem Krytyki Politycznej ukazało się ich „Społeczeństwo populistów”

„Dupeczki” zagłosowały

Jak wyglądałby Sejm, gdyby głosowały same kobiety? Konfederacja – 3,4 proc., Lewica – 10,1 proc.

Katarzyna Wężyk

– Słuchajcie, dziewczyny, czytam, że kobiety w wieku od 18. do 39. roku życia nie będą za bardzo głosować. Tylko 55 proc. pójdzie na wybory – mówi Anja Rubik, leżąc w piżamie w łóżku. – Zostawicie sprawy w rękach osób dużo starszych i tylko facetów. Przecież u siebie w domu na taką sytuację byćście się nie zgodziły.

Filmik na Instagramie obejrzało 733 tys. osób. Wrzucone przez Rubik trzy następne, profesjonalnie nakręcone spoty profrekwencyjne, wzorowane na podobnej kampanii amerykańskich demokratów, kolejno 2,8 mln, 1,4 mln i prawie 1 mln.

A jej apel nie był przecież jedyny. Ta oddolna kampania frekwencyjna okazała się skuteczna: pospolite kobiece ruszenie pomogło partiom opozycyjnym – nie licząc Konfederacji, która na niej mogła tylko stracić – podzielić się tortem, jakim były głosy Polek. A że było o co walczyć, pokazały wyniki: do urn poszło 73,7 proc. uprawnionych do głosowania kobiet, o 1,3 proc. więcej niż mężczyzn. W poprzednich wyborach było odwrotnie: to Polacy głosowali częściej.

W połowie września Fundacja Batorego opublikowała raport „Siła głosu. Jak będą wybierać Polki”. Wnioski były mocno pesymistyczne: tylko 52 proc. Polek w wieku 18-45 lat i 66 proc. 45+ zdecydowanie deklarowało udział w głosowaniu (wśród mężczyzn odpowiednio 58 proc. i 76 proc.). Aż 13 proc. zapowiedziało, że nie wie, kogo wybierze.

Więc partie o ten niezagospodarowany elektorat ostro zabiegały. Po raz pierwszy sprawy kobiece, a także same kobiety były tak bardzo obecne. Również w mediach: telewizje i portale internetowe zorganizowały kilka debat wyłącznie z polityczkami, co wcześniej się nie zdarzało (za to debaty wyłącznie męskie były normą). Nawet Konfederacja, dotychczas znana z wyłącznie męskiej reprezentacji, pokazała w nich swoje przedstawicielki. Odpowiadały głównie na pytania, co robią w partii, której ojciec założyciel jest za odebraniem kobietom praw wyborczych, a koledzy za odebraniem prawa do decydowania o sobie nawet w sytuacji gwał-

tu, zagrożenia zdrowia czy ciężkiego uszkodzenia płodu i – jak pokazał wynik wyborczy partii wśród Polek – nie były szczególnie przekonujące.

W kampanii widać też było, że sztaby doceniły mobilizacyjny potencjał praw reprodukcyjnych, który pokazały masowe protesty po wyroku pseudo-Trybunału Konstytucyjnego w 2020 r. Aborcja – przynajmniej w kampanii, zobaczmy, czy trend się utrzyma – awansowała z kategorii tematów zastępczych do ważnego punktu programu.

Lewica poświęciła całą konwencję kobietom i ich potrzebom i przypominała, że była za przerwaniem ciąży na żądanie do 12. tygodnia ciąży, zanim to było modne. Polityczki PO także deklarowały poparcie tego rozwiązania – ale już główni politycy, o ile nie

Co było dla głosujących kobiet ważne przy podejmowaniu wyborczej decyzji? Aborcja przed bezpieczeństwem państwa, praworządnością, migracją i rolą Kościoła

zostali dociśnięci pytaniem o stanowisko, preferowali bezpieczniejsze sformułowania w rodzaju „godność” czy „bezpieczeństwo” „naszych żon, siostr i córek”. Trzecia Droga konsekwentnie opowiadała się za aborcyjnym referendum, a Konfederacja konsekwentnie za zakazem – jej kandydaci płci obojga deklarowali, że są „przeciw zabijaniu nienarodzonych”, a dyskryminacją kobiet według nich jest obowiązkowy ZUS i konieczność noszenia maseczek na porodówce w czasie pandemii.

PiS wreszcie równie konsekwentnie unikał tematu, zapewne dlatego, że według sondaży część jego własnego elektoratu nie popiera przeprowadzonego trzy lata wcześniej zaostrenia prawa. A marszałkini Elżbieta Witek w niezłym przemówieniu na wrześniowej konwencji przekonywała bardziej tradycjonalistyczny i starszy kobiecy elektorat partii, że to PiS stawia na kobiety. Piekło kobiet, stwierdziła, było za rządów Tuska, a obejmowało podwyższenie wieku emerytalnego, emigrację zarobkową i niskie pen-

sje. Po ośmiu latach rządów PiS „kobiety mogą być, kim chcą” – pracować, wychowywać dzieci, prowadzić biznesy – i nie potrzebują do tego wulgarnych haseł.

„Bycie, kim chcą” w żadnej partii poza Nową Lewicą, gdzie przywództwo jest sześciuosobowe – trzy kobiety, trzech mężczyzn – nie oznaczało jednak bycia liderkami. Panowie za to bardzo chętnie widzieli się w roli rzeczników praw kobiet, ich obrońców oraz przedstawicieli. Jest to jakiś postęp w porównaniu z ignorowaniem lub bagatelizowaniem spraw kobiecych – od praw reprodukcyjnych przez żłobki i przedszkola po rentę wdowią – ale dalej sytuacji daleko od ideału. Problem z byciem księżniczką ratowaną przez księcia na białym koniu jest bowiem taki, że nie ma ona za wiele do powiedzenia, gdy już uratowana zostaje. Musi przyjąć warunki ratującego. Jej sprawczość jest znikoma.

Dowodem na to, że ani Lewica, ani KO nie mają do końca przepracowanej idei reprezentacji, był Marsz Miliona Serc, podczas którego z głównej sceny mówcy – sami mężczyźni – w płomiennych słowach zachęcali Polki do udziału w wyborach. I nikt nie pomyślał, że przekaz o tym, jak ważny jest głos kobiet i ich zainteresowanie polityką, wypadłby dużo wiarygodniej, gdyby padł z ust polityczki.

Dlatego obstawiam, że znaczną rolę w zmobilizowaniu zwłaszcza najmłodszych wyborczyń odegrały kampanie profrekwencyjne w mediach społecznościowych organizowane przez Kobiety na Wybory, Głos Kobiet i Fundację Batorego, inicjatywę Wschód czy Anję Rubik. W przedwyborczym tygodniu każde wejście na Instagram oznaczało bombardowanie przekazem zachęcającym kobiety do tego, żeby szły na wybory.

Maja Ostaszewska pytała, czy naprawdę chcemy, żeby ktoś za nas decydował, i zachęcała do zagłosowania za krajem, w którym każda i każdy będą się czuli bezpiecznie niezależnie od tego, czy są w mniejszości, czy w większości. Martyna Wojciechowska alarmowała: „W Polsce wciąż blisko połowa kobiet nie planuje iść na wybory! Serio? My, kobiety, mamy 16 milionów głosów! Nie dajmy się przegłosować”. Agnieszka Wiedłocha pytała: „To co? 15 października widzimy się przy urnach?”, a Young Leosia oznajmiła: „Statystyki pokazują, że w naszej grupie wiekowej to dupeczki głosują najmniej, dlatego serdecznie was do tego zachęcam”. Inicjatywa Wschód nakręciła klip „Cicho już byliśmy”, którego bohaterki najpierw słuchały z offu seksistowskich wypowiedzi po-

lityków, a następnie podnosiły do ust palec w geście uciszenia – tyle że palec środkowy. Wreszcie Rubik i jej fundacja Sexed.pl wrzuciły trzy filmiki, w których zwycięski polityk lub polityczka wtrąca się w najbardziej intymne rzeczy – w seks, decyzję o macierzyństwie czy coming out – deklarując, że może by wygrał/a wybory.

Rozmach tej profrekwencyjnej inwazji mógł może trochę przytłaczać, ale za to jej zasięg był szeroki. Profesjonalne klipy zaczęły pomysłem i wykonaniem, z kolei te amatorskie dawały wrażenie autentyczności. Young Leosia docierała do innej grupy niż Grażyna Torbicka, lecz przekaz był identyczny: idź na wybory, nie pozwól innym, zwłaszcza starym dziadom, decydować za ciebie. Nasze prababki nie po to walczyły o prawa wyborcze, żebyśmy teraz to olały. Twój głos ma znaczenie.

W efekcie pójście na wybory stało się wspólnotowym doświadczeniem, czymś, czym można się pochwalić. Zostanie w domu było obciachem.

A skutek profrekwencyjnych kampanii – tych politycznych i tych oddolnych – w połączeniu z dostrzeżeniem i wyrażeniem interesów Polek przez programy wyborcze okazał się spektakularny.

Według badania exit poll wśród kobiet, podobnie jak wśród mężczyzn, wygrał PiS (36,5 proc., spadek o 6,6 pkt proc. wobec 2019 r.), potem uplasowały się KO (33 proc.) i Trzecia Droga (13 proc.). Wyraźne różnice pojawiają się w przypadku Konfederacji i Lewicy. Gdyby głosowały same kobiety, Konfederacja z wynikiem 3,4 proc. nie weszłaby do Sejmu (mężczyźni dali jej 9,3 proc.). Z kolei na Lewicę postawiło 10,1 proc. głosujących Polek i tylko 6,9 proc. głosujących mężczyzn.

Ogólnopolska Grupa Badawcza w sondażu exit poll zapytała, co było dla ankietowanych ważne przy podejmowaniu wyborczej decyzji. Aborcja była na drugim miejscu, zostawiając w tyle bezpieczeństwo państwa, praworządność, migrację, rolę Kościoła czy afery władzy. Wyprzedziła ją tylko sytuacja gospodarcza.

Dobrze by było, żeby nowy rząd o tym pamiętał, ustalając listę priorytetów. ●

„Aborcja jest”

Katarzyny Wężyk
– esej i raport w jednym
– dostępna na Kultu-
ralnysklep.pl i w formie
e-booka w Publio.pl



OĞŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34281220

Klub  wyborcza.pl

Jak
po wyborach
poukłada się
Polska



Spotkanie online na wyborcza.pl | Wtorek, 24 października, godz. 20

Dołącz do Klubu „Wyborczej” na **Wyborcza.pl/prenumerata**

MÓWIONO O MNIE: KRUCHA BLONDYNKA

Wprowadzimy związki partnerskie, zliberalizujemy dostęp do aborcji i antykoncepcji, zlikwidujemy klauzulę sumienia, przywrócimy in vitro. I zablokujemy barbarzyńską wycinę lasów.

Z POSŁANKĄ KOALICJI OBYWATELSKIEJ
ALEKSANDRĄ GAJEWSKĄ* ROZMAWIA
ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

Jaka to była kampania?

– Pełna wyzwań, intensywna, bogata w nowe doświadczenia. Pracowałam w sztabie. Spotykałam się przez cały czas z mieszkańcami Warszawy na ulicach, bazarach, przed uczelniami.

Rozdawałam ulotki, dbałam o obecność w mediach społecznościowych. Tworzyłam ze swoim sztabem jak najprostszą i zrozumiałą narrację o sprawach, na których mi najbardziej zależy.

Dużo osób z panią pracowało?

– Kilkadziesiąt. Przez cały czas pojawiali się nowi wolontariusze czy osoby, które chciały wywiesić baner na balkonie lub ogrodzeniu. To było niesamowicie budujące. Nie mam jednak poczucia, że posłowie wygrywają wybory wyłącznie kampaniami. Najbardziej liczy się nasza praca w ciągu całej kadencji. I co najważniejsze: nie chodzi tu tylko o moją osobistą pracę, ale też o wsparcie całego tego mojego zespołu współpracowników, z którymi dzielę konkretny system wartości.

Jakie to wartości?

– Chcemy Polski, która jest krajem równych szans, w którym szanuje się innych ludzi, krajem pełnym tolerancji. Państwa, które nie zagląda nam do sypialni, nie miesza się w intymne sprawy, daje szansę rozwoju i perspektywy na przyszłość. I wspiera ludzi, którzy są w potrzebie.

Dlatego jest pani członkinią partii, która nie wprowadziła związków partnerskich, nie zliberalizowała prawa do aborcji i podwyższyła wiek emerytalny?

– PO zrobiła wiele w sprawach społecznych. Wprowadziliśmy najdłuższe urlopy rodzicielskie, finansowaliśmy budowę żłobków, refundowaliśmy zabiegi in vitro. Zgadzam się jednak, że nie zdołaliśmy rozwiązać paru problemów, co zostało negatywnie ocenione przez wyborców w 2015 r.

Moja partia od tego czasu mocno się zmieniła, narracja jest zupełnie inna niż 10 czy 15 lat temu, do głosu doszły osoby takie jak ja, mające liberalne i lewicowe poglądy. Dlatego będziemy realizować program wzrostu dzietności, politykę mieszkaniową, wprowadzimy związki partnerskie, zliberalizujemy dostęp do aborcji, ułatwimy dostęp do antykoncepcji awaryjnej i hormonalnej. Zlikwidujemy klauzulę sumienia i zadbamy o gabinety ginekologiczne, których dziś nie ma w połowie gmin. Wprowadzimy programy, które umożliwią młodym rodzicom szybki powrót na rynek pracy. Przywrócimy refundację zabiegów in vitro.

Interesuje mnie, kiedy dokonała się ta zmiana. Przecież jeszcze 10 lat temu



FOT. JAKUB ORZECZCHOWSKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

sprawy, o których pani przed chwilą mówiła, nie znalazłyby się w oficjalnych dokumentach PO.

– Od zawsze miałam takie poglądy i nigdy nie czułam się wyobcowana w PO. Ale na pewno obserwowałam ewolucję w podejściu do tematów światopoglądowych i społecznych. To zawsze wiązało się z reakcją na wydarzenia społeczne, polityczne czy ekonomiczne. Weźmy aborcję: zaostrenie prawa w czasach rządów PiS, śmierć kobiet na porodówkach, masowe protesty skłoniły wielu polityków do zweryfikowania poglądów. Kiedyś mówiło się, że dostęp do aborcji jest kwestią światopoglądową, teraz uważamy, że to sprawa życia, zdrowia i bezpieczeństwa kobiet.

Dzisiaj centrum jest w zupełnie innym miejscu, niż było 13 lat temu, kiedy dołączyłam do PO.

Ilu jest polityków podobnych do pani? Czyli tuż po trzydziestce, o liberalnych czy wręcz lewicowych poglądach.

– Dosyć sporo.

Mówi się, że ta grupka decydowała o kierunkach kampanii. To prawda?

– Zasiadaliśmy w sztabie, którym kierowała Wioletta Paprocka. Dostaliśmy bardzo dużo przestrzeni na konkretną pracę. Mogliśmy udowodnić, że potrafimy komunikować się z młodymi ludźmi, rozumiemy nowe media i potrzeby najmłodszego pokolenia.

We współczesnej polityce nie wystarczy świetnie napisany program, liczy się też sposób komunikacji z wyborcami. Mówiliśmy więc w zrozumiały, prosty, czasami zabawny sposób, namawiając młodych, niezdecydowanych i kobiety do oddania głosu na KO. Wiedzieliśmy, że odpowiadamy ich potrzebom, dlatego szuka-

*Aleksandra Gajewska

• ur. w 1989 r., posłanka Koalicji Obywatelskiej od 2019 r., w latach 2010-19 radna Warszawy. Studiowała stosunki międzynarodowe i dyplomację publiczną. W październikowych wyborach zagłosowało na nią 49 tys. osób

liśmy sposobów, które zbliżyłyby nas do tych trzech grup.

I jakie to były tematy?

– Związane z edukacją, klimatem, wolnością, prawami obywatelskimi, mieszkalnictwem, kwestiami społecznymi i przedsiębiorcami, a także te dotyczące kryzysu psychicznego.

Udało nam się dotrzeć do młodych, co pokazały powyborcze badania: aż 27 proc. oddało głos na nas. Najwięcej spośród wszystkich partii. A proszę pamiętać, że mówimy o grupie wiekowej, która jest codziennie zalewana 20-sekundowymi filmikami w mediach społecznościowych i na odległość wyczuwa fałsz, szczególnie w wydaniu polityków. Mam wrażenie, że udało nam się zbudować wiarygodny przekaz, ci ludzie po prostu uwierzyli politykom mającym po 30 lat, czyli swoim rówieśnikom.

Tusk jest lewicującym liberałem?

– Jest za swobodami obywatelskimi, za tym, żeby dawać ludziom możliwości. Kregosłupem PO są kwestie szacunku i równego traktowania wszystkich obywateli. Przez osiem lat władza próbowała decydować o życiu prywatnym kobiet, szczuła na mniejszości sek-

sualne, dyskryminowała osoby z niepełnosprawnościami.

To wiemy, skupmy się na tym, jakie wyzwania stoją przed nowym rządem. Najważniejsze zadania na najbliższe tygodnie?

– Wszystkie strony opozycji demokratycznej muszą się sprawnie dogadać. Wyborcy tego od nas wymagają. Mamy solidny fundament wspólnych wartości.

Jaki?

– Na pewno praworządność, kwestie społeczne, edukacja.

A aborcja?

– Prawa kobiet są bardzo ważne dla wszystkich ugrupowań.

Władysław Kosiniak-Kamysz zapowiedział, że w umowie koalicyjnej nie znajdzie się żaden zapis związany ze sprawami światopoglądowymi.

– Nie komentuję faktów medialnych. A koalicje działają inaczej, w głównej mierze opierają się na wzajemnym przekonywaniu do pewnych wartości. Przećwiczyliśmy to w KO, w której Zieloni, Nowoczesna, Inicjatywa Polska i PO wносиły wzajemnie wartości w swoje działania.

Na pewno będziemy chcieli zrealizować pełen pakiet praw kobiet, znajdziemy wśród posłanek Trzeciej Drogi partnerki, które nam pomogą. I wierzę, że to kobiety będą decydowały o swojej przyszłości, a nie mężczyźni. Ludzie wybrali nas też ze względu na postulat liberalizacji prawa aborcyjnego.

Skoro zainwestowaliście tak dużo w przekonanie do siebie kobiet i mło-

dych ludzi, to jak ich interesy będą reprezentowane w nowym rządzie?

– Czujemy się wobec nich zobowiązani, ale nie sądzę, że powoływanie pełnomocników ds. młodzieży rozwiązuje problemy młodych ludzi. Nie warto myśleć o konkretnej osobie czy instytucji, tylko o narzędziach i programach. Młodzi jasno nam to mówili: boimy się o swoją przyszłość, nie wiemy, czy zostaniemy w Polsce, nie przeszkadzajcie nam w życiu, dajcie nam tylko dobrą bazę, czyli edukację, studia, ułatwienia w prowadzeniu firmy, dostępne mieszkania. Na pewno nie odpuścimy problemów wynikających z katastrofy klimatycznej.

A konkretnie?

– Odnawialne źródła energii, lokalne wspólnoty energetyczne. Do 2030 roku zmniejszymy emisję CO₂ o 75 proc. Zablokujemy barbarzyńską wycinkę lasów. Lasy Państwowe przestaną być polityczną spółdzielnią do nabijania kieszeni lokalnym aparatchykom.

To co proponujecie młodym?

– Nasze najważniejsze postulaty to pensja do 6 tys. zł bez podatku, więcej mieszkań dla młodych, 600 zł dopłaty na wynajem mieszkania, kredyt 0 proc., stabilne finansowanie telefonu zaufania, prawdziwy rzecznik praw dziecka.

Jaka będzie pani rola w Sejmie lub w rządzie?

– Będę miała sporo pracy, jak zawsze. Specjalizuję się w opiece wczesnodziecięcej, głównie w programach tworzenia żłobków. Do tej pory nie było na to przestrzeni w Sejmie, więc w nowej kadencji zajmę się potrzebami najmłodszych dzieci. Udało mi się jedno: w 2019 r. powołałam zespół parlamentarny, w którym regularnie uczestniczyli samorządowcy i eksperci z całego kraju.

Rozumiem, że najważniejszym wyzwaniem jest stworzenie sieci publicznych żłobków we wszystkich gminach?

– I zapewnienie w nich jakościowej opieki. Są także kwestie aktywizacji młodych matek, ich powrotu do życia zawodowego, opieki nad dziećmi z niepełnosprawnościami, finansowania asystentów tych osób. Chcemy też poprawić warunki pracy kobiet. W pierwszej kolejności podniesiemy pensje nauczycielkom, urzędniczkom i pielęgniarkom, całej budżetówce.

A o jakie trzy konkretne ustawy chciałyby pani zaważczyć?

– O program „Aktywna mama”, w którym zapisaliśmy szczegóły głośnego „babciowego”, o ustawę dotyczącą liberalizacji aborcji oraz o tzw. dużą ustawę o pieczy zastępczej.

A szkoła?

– Na pewno nie będziemy fundować uczniom, rodzicom i nauczycielom kolejnej rewolucji.

To jak zamierzacie poradzić sobie z chaosem po ministrze Czarnku? Zaczniecie od kanonu lektur czy od czegoś innego?

– Polska szkoła potrzebuje spokoju i wolności od politycznych nacisków. Ale też odciążenia – mówię tu nie tylko metaforycznie o podstawie programowej, ale też bardzo dosłownie o tornistrach. A kanon lektur? Tak, też przejrzymy. I wspólnie z nauczycielami i ekspertami zdecydujemy, jak efektywniej zachęcić dzieci i młodzież do czytania.

A co o tej zmianie narracji myślą 60-letni politycy PO? Widzi pani konflikt pokoleń?

– Nie, wymieniamy się doświadczeniami i pomysłami. Przyznam, że współpraca ze starszymi kolegami i koleżankami w Sejmie była dla mnie czymś wartościowym. Bardziej doświadczeni politycy przychodzili na przykład na nasze spotkania z młodymi wyborcami i po prostu ich słuchali. Nie chcieli przemawiać czy odgrywać pierwszoplanowych ról, to mi zaimponowało.

Kiedy Donald Tusk zdecydował się naszej grupie młodych posłów powierzyć więcej zadań w sztabie, przeciwko nam

wypowiadali się starsi politycy PiS, a nie ci z PO. To ich młodzi posłowie skupiali się na przepychankach partyjnych i dzieleniu się ministerstwami, a my pracowaliśmy.

Teraz też się nie przepychacie?

– Nie, my walczymy o wspólne wartości.

Nie wierzę. Na pewno trwają walki o to, kto zostanie ministrem, marszałkiem Sejmu, kto wejdzie do zarządu spółki skarbu państwa.

– Śmiejemy się w naszym gronie, że nie melujemy gabinetów. Czekamy po prostu na wyzwania.

To znaczy, że nie macie takich ambicji?

– Mamy ambicje, ale inne cele: chcemy załatwiać sprawy. Mamy foldery pełne pomysłów, które wypracowaliśmy z obywatelami i ekspertami. Nasze życie nie zależy od tego, czy któryś z nas zostanie ministrem. Jest wiele narzędzi w polityce, które pozwolą nam realizować nasze projekty.

Została pani radną w wieku 21 lat. Skąd ten pomysł?

– Nudziło mnie narzekanie na politykę, chciałam sprawdzić, czy uda mi się coś w niej zmienić. Pracowałam w sektorze kreatywnym, przygotowywałam dla PO kampanie frekwencyjne. Poznałam kilku polityków,

ny zieleni, są wymieniane piece kopciuchy, z roku na rok poprawia się jakość powietrza.

Zajęliśmy się również sprawami, które nie były uważane za najważniejsze – choćby znacząco poprawiły się warunki w schronisku dla zwierząt. I udało się poprawić komunikację urzędników z mieszkańcami. Jeszcze 10 lat temu przekonanie kogoś do pracy po godzinie 16 było czymś nie do pomyślenia. Teraz to zupełnie normalne. Odbывают się konsultacje społeczne, mamy budżet obywatelski, urzędnicy są otwarci na postulaty mieszkańców.

Zawsze zależało mi na rozwoju dzielnic oddalonych od centrum, udało się chociażby z Białoleką, gdzie zbudowaliśmy drogi, szkoły, przedszkola, żłobki, powstały torowiska, nowe linie autobusowe.

W 2018 r. została pani rzeczniczką prasową kampanii samorządowej Rafała Trzaskowskiego. Jak na siebie trafiłście?

– Miałam już spore doświadczenie w pracy samorządowej, byłam łączniczką między różnymi środowiskami, znalazłam też dobrze Rafała Trzaskowskiego, byłam nawet jego studentką. W jego sztabie wyborczym wiele się nauczyłam, poznałam mnóstwo ludzi. I weszłam do krajowej polityki, bo każda kampania samorządowa w Warszawie jest jej częścią.

Chciałabym w końcu obejrzeć coś, co nie jest programem informacyjnym, przeczytać coś innego niż raport, wyjechać na wakacje. **Chciałabym wrócić do sportu**

dostałam propozycję startu do Rady Warszawy. I tak się zaczęło. Wiele osób we mnie uwierzyło, mogłam się wykazać i jestem im za to bardzo wdzięczna.

Młoda, kobieta, blondynka w polityce. To pomogło czy zaszkodziło?

– Dzisiaj takim osobom jest łatwiej. 13 lat temu częściej niż teraz musiałam się mierzyć ze stereotypami, przecierałam szlaki młodszych koleżankom. Mówiono o mnie: mała blondynka, która ma ładnie wyglądać. Szybko udowodniłam, że mój wygląd nie powinien interesować polityków, bo to, czym się zajmuję w radzie miasta, to moja praca.

Dzisiaj już nie ma takich uwag i komentarzy?

– Zdarzają się. Wciąż spotykam mężczyzn, którzy próbują objaśniać mi świat. Nie jestem osobą, która będzie ich pouczać – wolę pokazać w działaniu, że byli w błędzie.

Czym się pani zajmowała przez dziewięć lat w radzie miasta?

– Tym, żeby Warszawa była przyjaznym miejscem do życia. Głównie żłobkami, ochroną środowiska i dostępnością. Udało nam się wybudować nowe żłobki i wprowadzić bezpłatne miejsca w publicznych placówkach. Dzisiaj wszystkie dzieci znajdują w nich miejsca. A jeśli chodzi o ochronę środowiska, to uświadomiliśmy sobie w PO wagę problemów związanych ze smogiem.

Ruchy miejskie uważają, że akurat ekologia jest najsłabszym ogniwem rządów PO w stolicy.

– Rozumiem, że aktywiści muszą robić szum wokół takich spraw, ale tutaj się mylą. Warszawa zainwestowała miliony złotych w zeroemisyjny transport publiczny, nowe tere-

Byłam na nogach dzień i noc, bo za Trzaskowskim dziennikarze chodzili non stop, śledzili każdy nasz krok. Byłam wtedy w ciąży, więc zaczęłam myśleć o tym, dla kogo dzisiejsi politycy budują świat. Obserwowałam z bliska procesy polityczne, na które chciałabym mieć wpływ. Dlatego rok później wystartowałam do Sejmu, z ostatniego miejsca na liście.

Dzisiejsi 20-latkowie idą do polityki?

– Idą.

Po stanowiska w spółkach?

– To krzywdzący stereotyp, tak jak ten o blondynkach w polityce. Idą do polityki, żeby wpływać na rzeczywistość. Przestańmy ich traktować jak pionki w układance chciwych polityków czy jak zobojętniałych karierowiczów, cyników. Młodzi ludzie są świadomi zmian społecznych, zaangażowani w lokalne sprawy.

KO jest partią, która zapewnia klasyczną karierę w stylu „od młodzieżówki do Sejmu”?

– Rzeczywiście, w jakimś sensie mogą być takim przykładem, lecz nie chodzi o karierę, chodzi o rozwój i realizację programów. W naszej kampanii na ulicach pojawiali się młodzi wolontariusze, którzy przekonywali rówieśników do oddania głosu na Koalicję Obywatelską. Byli wiarygodni i skuteczni. I ci młodzi chcą być częścią naszej partii.

W rządzie powinien być parytet?

– Tak. Kobiety wszędzie powinny być poważnie traktowane. Udowodniliśmy, że to dla nas ważne: blisko połowę miejsc na listach zajęły kobiety, z samej Warszawy na dziewięciu posłów było sześć kobiet, w wielu okręgach miejsca biorące zajmowały kandydatki. Nic

nie przemawia za tym, żeby ciężko pracujące kobiety były na dalekich miejscach.

Urodziła się pani w Warszawie?

– Tak, tutaj mieszkam całe życie. Tu chodziłam do podstawówki, gimnazjum, liceum, a potem na studia, tutaj jako nastolatka trenowałam koszykówkę. Może to ta koszykówka nauczyła mnie gry zespołowej, konsekwencji i pokory wobec porażek?

A pani życie prywatne?

– Mam czteroletniego synka, wspierającą rodzinę, bardzo dobry kontakt z mamą i siostrą, grono przyjaciół spoza polityki i znajomych, którzy pracują w sektorze kreatywnym. Potrafią mi powiedzieć wiele rzeczy wprost i ja to cenię.

Rodzina nie krytykowała decyzji o karierze politycznej?

– Nie, choć wiele razy było jej ciężko, szczególnie po atakach i manipulacjach polityków PiS.

Praca w Sejmie kiedyś się kończy. Co wtedy pani robi?

– Spędzam czas z synkiem, który jest na etapie odkrywania świata. Przybywanie z nim to czas wyhamowania i zadziwienia. Bo jak inaczej można potraktować odkrycie, że mrówki idą po drzewie jednym korytarzykiem i niosą cięższe od siebie rzeczy?

Rodzicielstwo sprawia, że twardo chodzę po świecie, mimo że brakuje mi czasu dla samej siebie. Chciałabym w końcu obejrzeć coś, co nie jest programem informacyjnym, przeczytać coś innego niż raport, wyjechać na wakacje. Chciałabym wrócić do sportu.

Ma pani pomysł na wypadek zakończenia pracy w polityce?

– Zawsze miałam. Znam się doskonale na marketingu i sprzedaży, jestem certyfikowaną ekspertką do spraw opieki wczesnodziecięcej, więc na pewno znalazłabym pracę, która dałaby mi niezależność finansową. Wiem, że istnieje świat poza polityką, bez obaw.

Co zrobicie, żeby za cztery lata do władzy nie doszła populistyczna prawica?

– Będziemy autentyczni. Doskonale podsumował to Donald Tusk. Trzeba wyrównać krzywdę osób, które przez ostatnie osiem lat były niesprawiedliwie traktowane, pokrzywdzone przez władzę. Należy rozliczyć tych, którzy zniszczyli praworządność, oraz naprawić instytucje demokracji liberalnej.

Ale nie możemy zapomnieć o osobach, które zagłosowały na PiS. Musimy znaleźć rozwiązania, które pozwolą im poczuć się częścią nowego państwa. Jakie konkretnie, jeszcze nie wiem, lecz na pewno pomoże w tym zamknięcie potoku jadu, który wlewał się przez te lata z TVP i z ust najważniejszych polityków obozu dawnej władzy.

Zrealizujemy też nasze obietnice. I za cztery lata sięgniemy po samodzielne rządy.

To wyciąganie ręki do zwolenników PiS dobrze brzmi, jednak po stronie wyborców opozycji demokratycznej widzimy dużą potrzebę odwetu.

– Nie chodzi o odwet, tylko o prawo i sprawiedliwość w prawdziwych tych słów znaczeniach.

To w jaki sposób należałoby rozliczyć poprzednią władzę?

– Pociągając ją do odpowiedzialności. Procedury rozliczenia są jasno opisane w naszych 100 konkretach, łącznie z paragrafami, na podstawie których będziemy ich stawiać przed Trybunałem Stanu. Na pewno musi zadziałać niezależna prokuratura. Wierzę, że zostaną ruszone sprawy wcześniej zamiatane pod dywan.

A jak chcecie komunikować to wszystko, wyjaśniać obywatelom?

– Tu nie ma nic nadzwyczajnego. Liczy się wiarygodność od pierwszych dni nowego rządu. ●

Co zostawia PiS w gospodarce

LEPSZE JUTRO
BYŁO WCZORAJ

Po raz pierwszy od kilku dekad odnotowano spadek siły nabywczej plac. Wzrost PKB jest najniższy od lat 90., a mieszkania znowu podrożały

Witold Gadomski

Gospodarka boryka się z inflacją, która wbrew zapowiedziom preza NBP w najbliższych miesiącach może wzrosnąć. Na razie wysoka inflacja pozwala ukrywać narastanie długu publicznego, ale jeżeli Rada Polityki Pieniężnej zacznie z nią walczyć, ujawni się zła sytuacja finansów publicznych.

Konieczne będą cięcia wydatków, co nie będzie łatwe, gdyż większość to wydatki sztywne, których redukcja wymaga przyjęcia ustaw korygujących decyzje poprzednich rządów.

Innym problemem jest stagnacja wydajności pracy wynikająca ze zbyt niskich inwestycji, a także z pelzającej nacjonalizacji i tworzenia monopolii. Niska dynamika wydajności będzie prowadziła do stagnacji gospodarki, a także podnosiła inflację, jeżeli wynagrodzenia będą rosły zbyt szybko.

Rząd, ktokolwiek go stworzy, stanie przed dylematem. Jeżeli pobudzi gospodarkę luźniejszą polityką budżetową i stymulowaniem dochodów gospodarstw domowych, czyli konsumpcji, nie opanuje inflacji. Z kolei oszczędności doprowadzą do recesji.

A to nie wszystkie problemy. Jeśli rynki finansowe uznają, że rząd nie ma jasnej strategii ograniczenia deficytu, wzrośnie oprocentowanie długu. Według założeń budżetu w przyszłym roku za obsługę długu zapłacimy 68,5 mld zł, czyli dwukrotnie więcej, niż wydamy na naukę i szkolnictwo wyższe. Jeśli inwestorzy przestraszą się polskiego długu, suma może być jeszcze większa.

Te problemy gospodarki – a więc nas wszystkich – narosły w ciągu dwóch kadencji PiS. Warto się przyjrzeć, co poszło nie tak.

Pierwsza kadencja PiS przypadła na okres dobrej koniunktury na świecie, która umożliwiała zrównoważony rozwój. W drugiej PiS miał znacznie mniej szczęścia, napotykał na trzy „czarne labędzie”: pandemię, wojnę w Ukrainie oraz wysoką inflację.

Przez pierwsze lata rząd utrzymywał w miarę wysoki wzrost, wspierając konsumpcję transferami socjalnymi i podwyżkami wynagrodzeń minimalnych. W efekcie spożycie w sektorze gospodarstw domowych, które za rządów PO-PSL rosło średnio w tempie 2,7 proc. rocznie, w latach 2016-19 osiągnęło 4,4 proc. To zapewniło PiS łatwe zwycięstwo w roku 2019, ale zaczęły narastać napięcia. Nakłady inwestycyjne w pierwszej kadencji rosły w średnim tempie 2,9 proc., a stopa inwestycji, czyli relacja nakładów na tworzenie majątku trwałego do PKB, spadała. W ostatnim roku rządów PO-PSL wynosiła 20,4 proc., pod koniec pierwszej kadencji PiS – 18,9 proc., a w roku 2022 – 16,8 proc.

Cały czas utrzymywała się wysoka dynamika eksportu (7,9 proc. rocznie w latach 2015-19), na co rząd miał niewielki wpływ. Większość eksportu realizują firmy prywat-

ne. Za PO-PSL dynamika eksportu też była wysoka, nie licząc roku 2009, gdy świat przeżył głęboką recesję.

Deficyt finansów publicznych liczony według metodologii Eurostatu utrzymywał się w pierwszej kadencji PiS na niskim poziomie (średnio 1,2 proc. PKB), ale rządzący nie wykorzystali koniunktury do obniżenia długu, który w wartościach bezwzględnych wzrósł w latach 2015-19 o 123 mld zł.

Pierwsza kadencja PiS przypadła na okres, w którym inflacja na całym świecie była niska, podobnie jak stopy procentowe. W Polsce w latach 2016-19 wynosiła średnio 1,2 proc., a rentowność obligacji skarbowych (w uproszczeniu oprocentowanie długu), która w grudniu 2016 zbliżała się do 4 proc., pod koniec roku 2019 wynosiła niewiele ponad 2 proc. Niskie stopy były ogromną ulgą dla budżetu. Koszt obsługi długu wynosił w pierwszej kadencji PiS niespełna 30 mld zł rocznie.

Niskie stopy były też prezentem dla kredytobiorców. WIBOR przez cały okres 2015-19 niemal się nie zmieniał, oscylując wokół 1,7 proc. To napędzało budownictwo mieszkaniowe. W pierwszej kadencji PiS oddano do użytku 734 tys. lokali.

PiS nie wykorzystał jednak koniunktury do poprawy gospodarki i warunków dla przedsiębiorców. Kierował się dwoma celami – umacnianiem pozycji w elektoracie oraz poszerzeniem partyjnej kontroli nad gospodarką i instytucjami. Zamiast dokończyć prywatyzację – Polska ma największy udział sektora państwowego wśród krajów OECD – znacjonalizował kilka banków i spółek energetycznych oraz stworzył monopol Orlenu.

Chaos w wymiarze sprawiedliwości i brak niezależnej instytucji oszczędzającej spory prawne dramatycznie obniżyły bezpieczeństwo obrotu gospodarczego. Przedsiębiorcom nie pomogły też nieustanne zmiany przepisów i podatków oraz praktyka urzędów skarbowych nastawionych na maksymalizację wpływów w krótkim okresie.

Szczególnie nieudanym pomysłem okazał się Polski Ład, którego celem było przesunięcie obciążeń podatkowych na osoby o dochodach wyższych niż średnie. Miało to zapewnić PiS wzrost poparcia i wygrane wybory. Jednak zasady podatkowe były wielokrotnie zmieniane, już w trakcie ich obowiązywania w roku 2022, co potęgowało chaos.

68,5 mld zł

• Zapłacimy w przyszłym roku za obsługę długu, dwukrotnie więcej niż za naukę i szkolnictwo wyższe

W roku 2022 dynamika gospodarki słabła z kwartału na kwartał. W pierwszym zanotowano 4,5 proc. wzrostu w stosunku do

kwartału poprzedniego, w ostatnim – spadek o 2,3 proc. Gospodarka zwalniała także w tym roku. W pierwszym kwartale osiągnęliśmy zerowy wzrost, a w drugim spadek PKB w stosunku do drugiego kwartału 2022 roku o 1,3 proc. Dane za trzeci poznamy dopiero za miesiąc, ale według prognoz i międzynarodowych instytucji, i analityków prywatnych instytucji finansowych w całym 2023 roku PKB wzrośnie o 0,5-0,7 proc. i będzie niższy niż średni w UE. Nie licząc covidowego roku 2020, to najniższa dynamika od początku lat 90.

Krótkoterminowe przyczyny spowolnienia są oczywiste. Wysoka inflacja – w zeszłym roku średnio 14,4 proc. – przewyższała wzrost przeciętnych wynagrodzeń. W efekcie po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat odnotowano spadek siły nabywczej plac. Jeszcze bardziej spadła realna wartość emerytur i rent.

To spowodowało spadek spożycia indywidualnego, które jest największym składnikiem popytu krajowego. Od stycznia do sierpnia sprzedaż detaliczna realnie skurczyła się o 4,2 proc.

Także eksport, który przez lata był naszym motorem, zaczął zwalniać. W pierwszym półroczu realnie spadł, choć wolniej niż import, co wynika z osłabienia koniunktury w całej Unii, a szczególnie w Niemczech, które wpadły w recesję.

Inwestycje nieznacznie w tym roku wzrosły, ale z bardzo niskiego poziomu. Stopa inwestycji, czyli relacja nakładów brutto na tworzenie środków trwałych, która w roku 2022 wyniosła 16,8 proc., w pierwszym półroczu spadła do 16 proc. Nielatwo oczekiwać stabilnego wzrostu nakładów inwestycyjnych przy wysokiej i niestabilnej inflacji i trudnej do przewidzenia tendencji dotyczącej stóp procentowych.

Według projekcji inflacji opublikowanej w lipcu przez NBP dynamika cen znajdzie się w tym roku z 50-proc. prawdopodobieństwem w przedziale 11,1-12,7 proc., a w przyszłym w przedziale 3,7-6,8. W 2025 roku spadnie do 2,1-5,1 proc., a więc możliwe będzie osiągnięcie celu inflacyjnego NBP, czyli 2,5 proc.

Jednak prognoza jest już nieaktualna, gdyż zakładała utrzymanie stóp procentowych z lipca, a od tego czasu RPP obniżyła je o 1 pkt proc. Nikt nie ma wątpliwości, że z powodów politycznych – chodziło o obniżenie wskaźnika WIBOR, od którego zależy oprocentowanie kredytów, w tym hipotecznych, a także przekonanie konsumentów, że inflacja nie jest już problemem.

Na tym twierdzeniu skupia się Adam Glapiński podczas kolejnych konferencji prasowych. Kontrastuje to z wypowiedziami szefów największych banków centralnych świata, którzy mówią, że dopóki inflacja trwale nie powróci do poziomu określonego celem inflacyjnym (w strefie euro i w USA to 2 proc.), jest groźna. Żaden duży bank centralny na świecie nie ogłosił jeszcze końca podwyżek stóp, a tym bardziej nie zaczął ich obniżać, mimo że inflacja w strefie euro, w USA, Wielkiej Brytanii czy Japonii jest wyraźnie niższa niż w Polsce.

Prześciowy wzrost inflacji w Polsce będzie wynikiem urealnienia sztucznie zaniżanych przez Orlen cen paliw oraz wycofania istniejących jeszcze osłon dla gospodarstw domowych, które doraźnie obniżały wzrost

cen. Można się spodziewać, że na przełomie roku inflacja ponownie przekroczy 10 proc.

11,2 proc.

• Wynosiła inflacja w latach 2016-19

Najważniejsze instrumenty polityki antyinflacyjnej ma NBP i jego organ, jakim jest Rada Polityki Pieniężnej. Teoretycznie jest niezależny od parlamentu i rządu, choć w obecnej kadencji wykonuje polecenia władz PiS. Glapiński odwiedzał Jarosława Kaczyńskiego w jego siedzibie, a jego wypowiedzi są zbieżne z propagandą PiS. Trudno przewidzieć, jaka będzie polityka RPP w przypadku przejęcia rządów przez demokratyczną opozycję.

RPP liczy 10 członków. Troje wybranych przez Senat (Ludwik Kotecki, Przemysław Litwiniuk, Joanna Tyrowicz) głosuje za działaniami mającymi obniżyć inflację. Dwoje wybranych przez Sejm (Wiesław Janczyk i Gabriela Masłowska) oraz jeden mianowany przez prezydenta (Henryk Wnorowski) było do niedawna posłami klubu PiS, troje pozostałych (Ireneusz Dąbrowski, Iwona Duda i Cezary Kochalski) pełniło funkcje kierownicze w instytucjach publicznych, gdy rządził PiS. Wszyscy mają wykształcenie ekonomiczne i tytuły naukowe. W poprzednich Radach też zasiadali byli parlamentarzyści i osoby kojarzone z konkretnymi opcjami politycznymi, ale nigdy ich członkowie nie głosowali zgodnie z poleceniami rządzących.

Jeżeli opozycja utworzy rząd, a większość członków RPP będzie się w dalszym ciągu zachowywać jak karni członkowie PiS, trudno będzie prowadzić właściwą politykę mix (kombinacja polityki monetarnej i fiskalnej). A zarówno konstytucja, jak i ustawa o NBP, a także międzynarodowe zobowiązania Polski powodują, że wymiana szefa banku centralnego oraz członków RPP w trakcie kadencji jest bardzo trudna.

Mimo wszystko pokonanie inflacji powinno być celem numer jeden przyszłego rządu, gdyż bez tego wzrost będzie rachityczny i niestabilny. Doświadczenie z lat 70. pokazuje, że aby wyjść ze stagflacji (inflacji plus niskiego wzrostu), trzeba zdusić inflację nawet za cenę przejściowej recesji.

Rząd Morawieckiego przyjął projekt budżetu na 2024 rok z deficytem na poziomie 164,8 mld zł i deficytem finansów publicznych liczonym według zasad UE (deficyt GG) 4,5 proc. PKB (ok. 170 mld zł).

To założenia mało wiarygodne z kilku powodów.

Rząd wyprowadził poza budżet znaczną część wydatków. W tym roku według prognoz rządowych deficyt GG ma wynieść ok. 5,2 proc. PKB, co jest zgodne z prognozami analityków banków komercyjnych. W przy-

szłym nie spadnie, ale wzrośnie przez dodatkowe wydatki, takie jak waloryzacja 500+.

Według rządu dług publiczny (GG) wzrośnie w 2024 roku do 54 proc. PKB z 49,3 proc. PKB prognozowanych w 2023, co oznacza, że dziura w budżecie i potrzeby pożyczkowe państwa wyniosą ponad 6 proc. PKB. Tymczasem w przyszłym roku ponownie zacząną obowiązywać unijne reguły fiskalne zawieszone na kilka lat w wyniku pandemii. Zgodnie z nimi deficyt finansów publicznych nie powinien przekraczać 3 proc., a dług 60 proc. PKB.

Planowany przez rząd deficyt będzie jednym z największych w Unii, wyraźnie powyżej progu 3 proc., co oznacza, że Polsce grozi objęcie procedurą nadmiernego deficytu (EDP). Poziom zadłużenia pozostanie poniżej średniej UE – ok. 83 proc. PKB – ale Polska wyróżnia się skalą wzrostu zadłużenia.

Komisja Europejska będzie oczekiwać ograniczenia nierównowagi fiskalnej, co stworzy kolejne pole sporu Polski z Unią. Jeżeli powstanie rząd PiS, konflikt będzie narastać. Jeżeli uformuje się rząd opozycji, będzie musiał przedstawić nowy projekt budżetu, pokazując, że ma pomysł na stopniowe zrównoważenie finansów publicznych.

Dotychczas opozycja nie przedstawiła takiego programu, ograniczając się do stwierdzeń, że konieczna jest konsolidacja budżetu, rozumiana jako włączenie do ustawy budżetowej 16 funduszy, którymi zarządza Bank Gospodarstwa Krajowego, takich jak: Fundusz Przeciwdziałania COVID-19, który w połowie roku miał 172 mld zł pasywów, czy Fundusz Wsparcia Sił Zbrojnych – 18,2 mld zł pasywów. Fundusze te utworzono w dwóch celach. Po pierwsze – by obniżyć poziom długu publicznego i nie dopuścić do przekroczenia kolejnych poziomów ostrożnościowych określonych ustawowo. Po drugie – by rząd miał narzędzie wydawania pieniędzy poza kontrolą Sejmu.

Włączenie ich do budżetu jest konieczne, ale niewystarczające do zrównoważenia finansów państwa, o ile nowy rząd nie przedstawi propozycji cięć wydatków lub podniesienia podatków. Sytuacja budżetu może się znacznie pogorszyć w przypadku dalszego wstrzymywania pieniędzy z europejskiego Funduszu Odbudowy. Polski Fundusz Rozwoju zapowiada, że na prefinansowanie zadań zapowiedzianych w Krajowym Planie Odbudowy wyda do końca roku 12 mld zł. Bez unijnych środków o taką sumę wzrośnie tegoroczny deficyt GG i dług publiczny GG.

0,5-0,7
o proc.

• Wzrośnie PKB w 2023 r. Nie licząc covidowego roku 2020, to najniższa dynamika od początku lat 90.

W październiku rentowność 10-letnich obligacji skarbowych Polski przekroczyła 8 proc. Gdyby utrzymała się na takim poziomie przez dłuższy czas, koszt obsługi długu wzrósłby do ok. 100 mld zł rocznie. Polskie finanse publiczne znalazłyby się na równi pochyłej, takiej jak w latach 80., gdy polski dług (wówczas zagraniczny) narastał, gdyż rząd nie był w stanie wygospodarować środków na jego obsługę. Obecnie rentowność oscyluje wokół 6 proc., ale bez wiarygodnego planu powrotu do równowagi budżetowej sytuacja sprzed roku może się powtórzyć. Wtedy możliwa jest interwencja NBP – ponowne uruchomienie skupu obligacji na wtórnym rynku. Oznaczałoby to odłożenie działań antyinflacyjnych na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Aby móc skorzystać z funduszy unijnych na lata 2021-27, wszystkie państwa UE muszą spełnić cztery podstawowe warunki dotyczące zamówień publicznych, pomocy państwa, stosowania konwencji ONZ o prawach osób niepełnosprawnych i stosowania Karty Praw Podstawowych UE, która jest zbiorem praw człowieka i obowiązków obywatelskich i – obok traktatów – źródłem prawa pierwotnego Unii.

4,2
o proc.

• Spadła sprzedaż detaliczna od stycznia do sierpnia

Dodatkowo, w zależności od obszaru wsparcia, państwa członkowskie muszą spełnić także wiele innych cząstkowych warunków. Nie są to, jak twierdzi PiS, reguły dyskryminujące Polskę, ale powszechnie obowiązujące w Unii, wynikające z rozporządzenia europarlamentu oraz Rady UE z 24 czerwca 2021 roku o przepisach wspólnych dla wszystkich funduszy unijnych.

Deklarację o ich spełnieniu państwa składają w umowie podpisywanej z Komisją Europejską. Polska podpisała ją 30 czerwca 2022 roku, ale w punkcie dotyczącym zgodności z Kartą Praw Podstawowych Ministerstwo Funduszy i Polityki Regionalnej zaznaczyło, że ten warunek jest przez Polskę niespełniony. Chodzi m.in. o naruszenie zasady dostępu do bezstronnych sądów. Polska musi przywrócić niezależność sądów oraz zrealizować wyroki TSUE – bez tego nie otrzymamy pieniędzy nie tylko z KPO, ale też z funduszy strukturalnych.

Przypomnijmy, o jakie pieniądze chodzi. W ramach perspektywy finansowej na lata 2021-27 Polska może otrzymać ok. 140 mld euro – na politykę spójności ponad 72,2 mld euro, 3,85 mld z Funduszu na rzecz Sprawiedliwej Transformacji i na wspólną politykę rolną 28,5 mld euro. Jednocześnie będziemy mieli do dyspozycji 35,4 mld euro w ramach KPO, przeznaczone na inwestycje w innowacje, cyfryzację, infrastrukturę, ochronę środowiska, energetykę, edukację. W projekcie budżetu na rok 2024 przewidziano pozyskanie unijnych środków na lata 2021-27, w tym 14,7 mld zł z funduszy strukturalnych, prawie 36 mld zł z KPO i 24,6 mld zł w ramach wspólnej polityki rolnej. Będą też w dalszym ciągu napływać pieniądze z perspektywy 2014-20, które nie są uzależnione od wyżej wymienionych warunków (w sumie 10,6 mld zł).

Wstrzymanie funduszy w przypadku utworzenia rządu PiS i dalszego przejmowania kontroli nad sądami będzie miało wiele negatywnych implikacji, które w dodatku będą się kumulować:

- wzrost jeszcze bardziej osłabnie,
- pogorszy się sytuacja finansów publicznych,
- osłabi się złoty, co da efekt inflacyjny,
- wzrośnie rentowność polskich obligacji.

Utworzenie rządu przez opozycję odblokuje fundusze, które wesprą gospodarkę, co nie rozwiąże jednak innych problemów.

Luźna polityka pieniężna i niskie, bliskie zera oprocentowanie kredytów hipotecznych doprowadziły w wielu krajach do wzrostu cen nieruchomości. Zacieśnienie polityki pieniężnej przyniosło skutek odwrotny. Według danych Eurostatu ceny mieszkań w Unii w II kwartale 2023 roku spadły o 1,7 proc. w porównaniu z I kwartałem. W Niemczech są o 9,9 proc. niższe niż przed rokiem, w Danii – o 7,6 proc., w Szwecji – o 6,8 proc. W Polsce w ciągu roku

podrożały o 7 proc., a przyczyną tego jest m.in. uruchomienie rządowego programu mieszkaniowych kredytów z 2-proc. oprocentowaniem gwarantowanym.

Z kredytu – maksymalnie 600 tys. zł – o stałym oprocentowaniu 2 proc. na pierwsze mieszkanie mogą skorzystać osoby, które nie ukończyły 45. roku życia. Rząd szacuje, że liczba takich kredytów w tym roku ma wynieść 10 tys., w przyszłym 40 tys., a od 2025 roku co roku ma przybywać 30 tys. Rząd na dopłaty do oprocentowania zamierza w roku bieżącym przeznaczyć 1 mld zł, w przyszłym 1,5 mld zł i obiecuje dopłacać przez 10 lat.

Za sprawą programu rosną ceny mieszkań. Podaż kredytów hipotecznych w lipcu wyniosła 4,1 mld zł, czyli wciąż wyraźnie mniej niż w szczycie sprzed kilku lat (ok. 8 mld zł), ale też znacząco więcej niż na dołku z końca 2022 roku (ok. 2 mld zł).

Program dotacji stwarza ryzyko bańki na rynku nieruchomości. Wzrost cen mieszkań sprawia, że coraz trudniej jest kupić je osobom nieobjętym programem. Inflacja nie pozwoli na dalsze obniżanie stóp. Trzeba się nawet liczyć z możliwością ich wzrostu po wyborach, a zatem wzrostu kosztów obsługi kredytów, co grozi wzrostem liczby tych niespłacanych. W dodatku dopłaty do kredytów, a także wakacje kredytowe, które mają być przedłużone na kolejny rok, obniżają skuteczność walki z inflacją poprzez podnoszenie stóp procentowych NBP.

PO ma propozycję jeszcze większych dotacji do kredytów hipotecznych, które sprawią, że ich oprocentowanie z marżami będzie zerowe. Powinna zastąpić ją pomysłami na zwiększenie podaży mieszkań i obniżenie ich kosztów poprzez udostępnienie uzbrojonych gruntów.

W 2022 roku w porównaniu z rokiem 2021 wartość zagranicznych inwestycji bezpośrednich w Polsce wzrosła o 74,5 mld zł.

Od sierpnia 2022 do lipca 2023 zobowiązania Polski z tytułu inwestycji bezpośrednich (BIZ, w uproszczeniu – napływ inwestycji bezpośrednich do Polski) wyniosły 23,8 mld euro, czyli 111,4 mld zł. Mimo inflacji, spowolnienia wzrostu i rosnącego ryzyka politycznego związanego ze sporem rządu z Unią nie ma oznak spowolnienia napływu BIZ. Polska jest beneficjentem procesu deglobalizacji – skracania łańcuchów dostaw i przenoszenia zakładów produkcyjnych z Chin i Rosji do krajów uznawanych za bardziej przewidywalne. Przykładem jest zapowiedź budowy przez Intel w okolicach Wrocławia zakładu integracji i testowania półprzewodników za 4,6 mld dol. To realizacja strategii Unii, aby uniezależnić się od dostaw chipów z Azji.

Inwestorzy nie wierzą w polexit, co pokazują analizy banków i agencji ratingowych. Ale jeśli ewentualny rząd PiS eskaluje spór z Brukselą, strumień BIZ się skurczy.

Handel zagraniczny ma ścisły związek z zagranicznymi inwestycjami bezpośrednimi, gdyż dużą część obrotów dokonują międzynarodowe korporacje w ramach wewnętrznych łańcuchów dostaw. Od 1990 do 2022 roku polski eksport rośł w średniorocznym tempie 10,6 proc., zwiększając się przeszło 25-krotnie.

Największym partnerem handlowym Polski są Niemcy. Polski eksport do Niemiec wyniósł w 2022 roku 96,4 mld euro, a im-

10
o proc.

• Przekroczy inflacja w Polsce na przełomie roku

port do Polski – 93,4 mld. Dla Niemiec Polska jest czwartym największym dostawcą towarów po Chinach, Holandii i USA i piątym największym rynkiem zbytu dla niemieckich towarów (po USA, Francji, Holandii i Chinach).

Jednak recesja w Niemczech sprawia, że w pierwszym półroczu polski eksport spadł o 2,7 proc., zaś import o 8,1 proc.

W drugim kwartale pracowało w Polsce 16 mln 850 tys. osób, a 443 tys. było bezrobotnych – poszukujących pracy. W ciągu ośmiu lat rządów PiS liczba pracujących wzrosła o 570 tys., a bezrobotnych spadła o ponad 700 tys. Wskaźnik bezrobocia jest niski i wynosi 2,6 proc.

Bezrobocie przestało być poważnym problemem (jak w większości krajów Unii) w dużej mierze z powodów demograficznych – zmniejszenia się liczby ludności w wieku produkcyjnym, a także emigracji. Według GUS w końcu 2020 roku za granicą przebywało czasowo ok. 2 mln 239 tys. stałych mieszkańców naszego kraju. Wśród osób, które wyjazd zgłosiły w jednostkach ewidencji ludności gmin, najliczniej reprezentowana była grupa 30-39 lat. Dziesięć lat wcześniej były to osoby w wieku 20-29 lat.

1
o proc.

• Podrożały mieszkania w Polsce. W Niemczech staniały o 9,9 proc., w Danii o 7,6, w Szwecji o 6,8

Ważnym zjawiskiem jest rosnąca liczba pracowników niemających polskiego obywatelstwa. Z danych Centralnego Rejestru Ubezpieczonych wynika, że liczba osób fizycznych, które podlegały ubezpiečeniom emerytalnemu i rentowemu (czyli legalnie pracujących), wzrosła ze 184,2 tys. w grudniu 2015 roku do 1 mln 063,3 tys. w grudniu 2022. W okresie rządów PiS liczba pracujących w Polsce cudzoziemców wzrosła prawie 6-krotnie, przy czym z krajów UE – o 30 proc., a spoza UE – ponad 6,5-krotnie. 31 grudnia 2022 roku pracowało u nas 39,3 tys. osób z krajów UE i 1 mln 023,9 tys. spoza niej. W tym 746 tys. Ukraińców, dalej obywateli Białorusi (108,1 tys.), Gruzji (27,4 tys.), Indii (16,0 tys.) i Moldawii (14,7 tys.).

Napływ pracowników z innych krajów pozwala łagodzić problemy związane z niekorzystnymi zmianami demograficznymi. W ubiegłym roku mieszkało w Polsce 368 tys. osób w wieku 23 lat (średni wiek wchodzenia na rynek pracy) i 505,8 tys. w wieku 63 lat (średni wiek wychodzenia z rynku). O ile prognozy makroekonomiczne obarczone są dużą niepewnością, gdyż na sytuację gospodarczą mogą wpływać czynniki nieuwzględniane przez prognostów, o tyle prognozy demograficzne są znacznie bardziej pewne. Za 25 lat pierwszą pracę w Polsce rozpocznie mniej niż 300 tys. osób, zaś wiek emerytalny osiągnie ok. 550 tys. osób.

Bez pracowników z zagranicznymi paszportami już dziś dziura w ZUS byłaby większa o blisko 12 mld zł, a wzrost mniejszy o 0,5-0,6 pkt proc. rocznie. A trzeba się liczyć z tym, że Ukraińcy będą wyjeżdżać do innych krajów Unii, które mają podobne problemy demograficzne. Już dziś w Niemczech przebywa więcej Ukraińców niż w Polsce.

Opracowanie roztropnej polityki migracyjnej będzie jednym z ważnych zadań przyszłego rządu. ●

KRYTYKUJ WŁASNE PLEMIĘ

FOT. JOHN MINCHILLO/AP



DLACZEGO ON MA MIEĆ TAKIE PRAWA JAK JA

**Odwet jest luksusem, mar-
notrawstwem energii,
na które dojrzałe społeczeń-
stwo nie może sobie pozwolić.**

Marcin Matczak

Krytycy demokracji uznają za absurd, że w tym ustroju człowiek z wykształceniem podstawowym, stojący co dzień pod budką z piwem, oraz fizyk, który zdobył Nagrodę Nobla, mają tyle samo głosów w wyborach, czyli jeden.

Tymczasem ta formalna równość ma głęboki sens. Skoro każdy z nas ma taką samą siłę głosu, oznacza to, że jesteśmy tak samo ważni. A z tej formalnej równości możemy wyprowadzić równość rzeczywistą – taki sam szacunek dla każdej godności.

No, chyba że się spolaryzujemy. Polaryzacja, przez którą jedno społeczeństwo zamienia się w dwa wojujące plemiona, jest śmiertelnym zagrożeniem dla demokracji właśnie dlatego, że zastępuje wiarę w to, że jesteśmy równi, przekonaniem, że jedni z nas są dobrzy, a drudzy źli. Stąd już niedaleko do konkluzji, że źli ludzie nie powinni mieć takich samych praw jak dobrzy, bo niby dlaczego. Skoro jedna grupa chce dobra kraju, a druga działa na jego niekorzyść, jaki ma sens pozwalanie tym wrogom narodu na wybór jego władz, dawanie dostępu do mediów czy uczenie

ważnych dlań idei w szkołach? Polaryzacja to degeneracja przekonania, że jesteśmy tacy sami. W najgorszych przypadkach kończy się nie tylko pewnością, że ludzie równi nie są, ale też uznaniem, że niektórzy nie są nawet ludźmi.

O tym, że polaryzacja jest groźna dla demokracji, wiedział już James Madison. W 1788 r. ostrzegał przed „przemocą frakcji”, dzielącą wyborców i ich przedstawicieli na obozy, które nie chcą iść na kompromis lub oddać władzy przeciwnikom. Do czego prowadzi polaryzacja, widzieliśmy, gdy trwał marsz zwolenników Trumpa na Kapitol i atak wyborców Bolsonaro na Sąd Najwyższy. Oba zdarzenia miały miejsce, gdy Amerykanie i Brazylijczycy stanęli przed naturalną, jak się wydawało, zmianą władzy. Demokracja to z definicji ustroj, w którym można przegrać wybory i nie jest to koniec świata, ponieważ ma się szansę do władzy powrócić. Normalna zmiana władzy jest jednak możliwa, gdy ci „inni”, którzy wygrywają, są postrzegani jako mający inne poglądy, ale gruncie rzeczy normalni ludzie.

Co jednak, gdy uznajemy ich za wrogów narodu, którzy chcą zniszczyć nasz kraj, zbalamucić nasze dzieci i zabrać nam przyszłość? Czy nie powinniśmy ich traktować jako najeźdźców, przed którymi trzeba kraju bronić? Odpowiednio długie przekonanie ludzi, że ktoś im zagraża, że ktoś chce im ukraść wybory, prowadzi do katastrofy – przegrana staje się końcem świata, a demokratyczny proces zmiany władzy jest jak utrata niepodległości. Jest jasne, że nie można na to spokojnie patrzeć – trzeba zagrożenie zwalczyć. W efekcie demokracja może upaść, bo skoro wybory doprowadzą do rozkładu państwa (tak myślą spolaryzowane

głowy), to nie ma sensu akceptować ich wyniku. Ba, nie ma sensu ich przeprowadzać. To dlatego polaryzacja jest zazwyczaj preludium do autorytaryzmu.

Postępujący podział na dwie kategorie obywateli – „nas” i „ich”, kochających nasz kraj i nienawidzących go – trzeba traktować jako zagrożenie katastrofą. Nie naturalną, ale społeczną, której mądry rząd powinien zapobiegać, tak jak zapobiega powodzi.

Polaryzacja jest zjawiskiem powszechnym i analizowanym dogłębnie, szczególnie w USA. Tamtejsze badania pokazują, że wrogość między ludźmi popierającymi różne partie polityczne bardzo wzrosła w ciągu ostatnich dekad. W USA jeszcze w 1978 r. ludzie w 100-punktowej skali oceniali swoją własną partię średnio o 27,4 pkt wyżej niż partię przeciwną. W 2020 r. różnica wynosiła już 56,3 pkt, a tendencja ta była widoczna także w Szwajcarii, Francji i Danii.

Co gorsza, coraz więcej ludzi uważa za sensowny pomysł, by używać przemocy w celu rozwiązania różnic politycznych. W badaniu z 2022 r. Sean Westwood z Dartmouth College stwierdził, że siłowe rozwiązanie popiera od 1 do 7 proc. badanych. Polaryzacja partyjna przenosi się na inne aspekty życia, takie jak zatrudnianie pracowników czy nawet leczenie ludzi.

Polaryzacja nie tylko się zaostrza, lecz także przybiera wymiar moralny. W ankiecie przeprowadzonej w 2022 r. przez Pew Research Center, think tank z Waszyngtonu, 72 proc. Republikanów stwierdziło, że Demokraci są „bardziej niemoralni” niż oni, a 63 proc. Demokratów powiedziało to samo o Republikanach. Procenty te wzrosły odpowiednio o 17 i 16 proc. w ciągu zaledwie

trzech lat. Polaryzacja oznacza więc przekonanie, że ci „inni” nie tyle inaczej patrzą na sprawy publiczne, ile są moralnie gorsi.

Autorzy amerykańskiego raportu „Więcej wspólnego” wykazują, że najbardziej dzielą ludzi tematy związane z przekonaniem moralnym, na przykład co do odpowiedzialności za własny los (sukces lub porażka ludzi w życiu są zdeterminowane przez siły poza ich kontrolą versus każdy jest kowalem własnego losu) czy co do wychowania dzieci (skoncentrowanie na kultywowaniu ciekawości i niezależności dziecka versus nauczanie manier i szacunku dla autorytetów).

Okazuje się też, że ludzie inaczej oceniają te same występkę w zależności od tego, czy dopuścił się ich członek ich grupy politycznej, czy przeciwniej. W opublikowanym w 2019 r. badaniu Annemarie S. Walter i Davida P. Redlarska przedstawiono uczestnikom przykłady różnych naruszeń moralnych. Autorzy sądzili, że to istota występkę będzie kluczowym czynnikiem w ocenie zachowania ludzi. Jednak to nie charakter czynu, ale to, do jakiej partii należał sprawca, decydowało o ocenie moralnej. Demokraci pobłażliwiej traktowali niemoralnych kolegów z partii. Jeszcze większą skłonność tego typu mieli Republikanie wobec niemoralnie postępujących członków swojego ugrupowania.

Wpolaryzacji nie chodzi o spory – one są w demokracji naturalne. Chodzi o to, że obywatele nie dostrzegają już rzeczy, co do których się zgadzają, bo skupiają się wyłącznie na różnicach. „Konflikt spłaszcza ludzi” – twierdzi John Sarrouf z organizacji Essential Partners. Polaryzacja to szufladkowanie, przypięcie złożonemu

człowiekowi upraszczającej etykiety. To przedstawianie sobie przeciwników politycznych jako ludzkich karykatur i przeze-nianie tego, jak bardzo różnią się od nas.

Według badań Julii Minson z Harvardu Republikanie uważają, że blisko 36 proc. Demokratów to ateści lub agnostycy (naprawdę jest ich 9 proc.), a Demokraci uważają, że ok. 44 proc. Republikanów zarabia ponad 250 tys. dol. (w rzeczywistości tylko 2 proc. zarabia tak dobrze). Gdy skorygowano fałszywe przekonania o drugiej stronie, zmieniło to istotnie jej ocenę – liberalowie zwiększyli swój pozytywny stosunek do osób konserwatywnych o blisko 7 pkt w 100-punktowej skali.

U nas karykatury przeciwników promuje się w TVP i na billboardach wykupionych przez rząd. Opozycja to piąta kolumna, jej przywódcy to pacholki Niemiec, a sędziowie to złodzieje kielbas i wiertarek. To musi pogłębiać polaryzację. Zwłaszcza że strona „postępowa” także lubi sobie przedstawiać wyborcę PiS jako karykaturę – prostaka z prowincji, który ledwie potrafi czytać i myje się raz w tygodniu.

Zbierzmy kilka pomysłów, które pojawiły się w amerykańskiej debacie.

Krytykuj własne plemię i pokazuj, że w twojej banie toczy się dyskusja

Think tank Carnegie Endowment for International Peace przedstawił sposoby na zmniejszenie polaryzacji, wśród nich otwarte krytykowanie ludzi, którzy są po naszej stronie, ale na krytykę zasłużyli. I tu spotyka nas szok. Czujemy przecież, że jesteśmy na wojnie, więc krytyka propozycji naszej własnej partii osłabia morale, kala własne gniazdo, jest jak zdrada. Przekonali nas do tego populiści, którym polsko-polska wojna jest na rękę. Tymczasem krytyka własnego obowu wysłała jasny sygnał: nie jesteśmy talibami, potrafimy rozmawiać i dostrzegać własne braki. To otwiera przestrzeń do rozmowy poza baniką.

Takie otwarcie jest przeciwintuicyjne, bo chcemy być monolitem jak Ukraina wobec Rosji. Ale Ukraina jest na wojnie prawdziwej, a nam się tylko wydaje, że jesteśmy, bo tak nam wmówiono.

Umniejszaj rolę skrajności i podkreślaj rolę centrum

Ludzie są spolaryzowani głównie emocjonalnie, nie ideologicznie. Jeśli ciągle uwypukla się różnice, ciągle wywołuje się emocje, szczególnie gdy do dyskusji desygnuje się najbardziej agresywnych wojowników, a nie ludzi merytorycznych. Pokazanie uargumentowanych pomysłów zamiast wykrzywionej agresją twarzy potrafi zdzialać cuda.

Budować centrum można także, tworząc odpowiednią strukturę partyjną. W USA za czynnik dzielący ludzi uznaje się ich dwupartyjny system. My nie musimy być na taki skazani, jeśli zbudujemy alternatywę dla duopolu PiS-PO.

Prowadź ustrukturyzowane debaty

Sposobem na obniżenie polaryzacji jest rozmowa, której u nas w przestrzeni publicznej nie ma. Przykładem jest debata wyborcza, w której udziału odmówił Jarosław Kaczyński. Argumenty mogłyby przecież zmniejszyć czarno-białą wizję świata, więc zamiast dialogu lepiej prowadzić monolog. Wtedy można trwać w przekonaniu, że ma się rację, a ten drugi, inny, na pewno jej nie ma.

Najlepsza jest rozmowa ustrukturyzowana, sondaż deliberatywny zaproponowany przez Jamesa Fishkina: osoby z różnych środowisk politycznych dostają materiały informacyjne opisujące kontrowersyjne kwestie, dyskutują o swoich poglądach pod opieką moderatorów, a następnie kierują do ekspertów pytania w danej dziedzinie.

Taka rozmowa potrafi czynić cuda: jak podaje Fishkin, przed jedną z nich osiągnięcie zerowej emisji dwutlenku węgla netto popierało 35 proc. republikańskich uczest-

ników; po rozmowie już 55 proc. Demokraci biorący udział w dyskusji stali się bardziej przychylni wykorzystaniu energii jądrowej w celu ograniczenia emisji gazów cieplarnianych. Podobne rozmowy zmniejszyły uprzedzenia wobec Romów w Bułgarii i zwiększyły zaufanie między protestantami i katolikami w Irlandii Północnej. Dyskusja w mediach społecznościowych takich efektów nie da.

Publikuj reklamy promujące przebijanie banii

Obniżać polaryzację mogą firmy – przykładem jest reklama Heinekena, w której przeciwnik transpłciowości i transkobieta wspólnie składają meble potrzebne do stworzenia minibaru, a następnie siadają przy nim i popijając piwo, spokojnie dyskutują.

Spotkanie i dyskusja obniżają polaryzację, dlatego władza populistyczna do nich nie dopuszcza. Przestrzenią rozmowy powinny być media publiczne, a także różnego rodzaju rady, takie jak Rada Bezpieczeństwa Narodowego. U nas nie są – ani do telewizji, ani do takich instytucji nie zaprasza się wszystkich, bo władzy kontrolującej te instytucje obniżenie polaryzacji nie jest na rękę. Może w ramach odpowiedzialności społecznej powinien to robić biznes?

Nie stawiaj sprawy na ostrzu noża

„Jesteś za aborcją?”, „Jesteś przeciw relokacji imigrantów?”. Takie pytanie jest pytaniem kibolskim („Za kim jesteś?”), nie pozostawia miejsca na niuans i kończy się – jak u kiboli – agresją w przypadku odpowiedzi błędnej. Tymczasem można pytać inaczej: „Jak zmniejszyć liczbę niechcianych ciąż?”, „Jak poradzić sobie z migracją?”. Takie pytanie nie dzieli Polaków z góry na dwa plemiona.

Mądre pytanie pomaga wypracować cele nadrzędne, które społeczeństwo łączą, nie dzielą. Można do tego wykorzystać nawet referendum, które zamiast seansem nienawiści mogłoby się stać ogólnopolskim sondażem deliberatywnym Fishkina. Wystarczyłoby jego przedmiotem zamiast migrantów czy aborcji uczynić pomoc dzieciom w kryzysie psychicznym albo bezpieczeństwo na drogach. Władzy populistycznej nic takiego oczywiście do głowy nie przyjdzie, bo po co? Skoro referendum i związana z nim dyskusja mogą dzielić, to po co wykorzystywać je do łączenia Polaków?

Dawaj dobry polityczny przykład

W październiku 2020 r., w samym środku boju wyborczego w Utah, dwaj kandydaci na gubernatora Spencer Cox (republikanin) i Chris Peterson (demokrata) oświadczyli, że będą unikać wobec siebie aborcji. Opublikowali wspólny spot, w którym zobowiązali się do zachowania postawy obywatelskiej, zaakceptowania wyniku wyborów i unikania dzielącej społeczeństwo nienawiści. Można? Można!

Dobierz właściwy język dyskusji

Julie Minson przeanalizowała rozmowy osób o przeciwstawnych poglądach i zidentyfikowała cechy komunikacji, które sprawiają, że ludzie czują się wysłuchani. Najbardziej otwarci na poglądy innych podkreślali punkty, w których zgadzali się z rozmówcą i uznawali wartość odmiennych perspektyw. Okazuje się, że można szkolić ludzi, aby wykazywali te cechy w rozmowach.

Zamiast jednoznacznych deklaracji: „jestem przeciw aborcji”, „transkobieta to kobieta”, badacze radzą zacząć dyskusję od opowiedzenia historii, jak się doszło do dane-go przekonania. To pokazuje człowieka i jego drogę, a samo stwierdzenie to tylko efekt, który bez kontekstu wydaje się zimnym, nieuznającym kompromisu stanowiskiem.

Problem w tym, że takie historie są opowiadane zazwyczaj z jednej strony – mamy masę literatury, która przedstawia historię ważne dla strony progresywnej: histo-

rie emancypacji mniejszości rasowych czy seksualnych. Niewiele jest historii ukazujących powody, dla których konserwatysta stał się konserwatywny.

Isałem już o tym, że polską polaryzację da się opisać podziałem na piewców i unikaczy różnorodności. Niektórzy z nas są otwarci na to, co nowe i różnorodne, inni czują obawę przed różnorodnością: etniczną, seksualną czy religijną. Karen Stenner mówi, że w każdym społeczeństwie jest ok. 30 proc. unikaczy. To mniej więcej tyle, ile wynosi twardy elektorat PiS.

Demokracja ma się dobrze, dopóki procent unikaczy istotnie nie wzrasta. A on przekracza 30 proc. w czasach kryzysu ekonomicznego, zagrożenia terrorystycznego czy wojennego, rośnie w atmosferze strachu. To dlatego populistyczna władza o ten strach dba, ciągle podkreślając realność zagrożeń i wskazując wroga, który zaraz zaatakuje nasze granice, godność albo normy.

By obniżyć strach, nie wystarczy żądać od unikaczy, by natychmiast nawrócili się na to, co nowe i różnorodne. Trzeba cierpliwie tłumaczyć inność, rozumiejąc, że ktoś może potrzebować czasu, by ją zaakceptować. Piewcom różnorodności brakuje często empatii wobec tych, którzy z trudem otwierają się na to, co nowe. Unikacz nie jest złym człowiekiem – jest inny. Tolerancja piewcy nie sięga jednak tak daleko, aby tę inność tolerować. To unikacz ma się otworzyć bezwarunkowo na różnorodność. Niestety, przypomina to leczenie arachnofobii za pomocą podstawianego pod twarz pająka.

Wobec polaryzacji władza może przyjąć dwie role: obniżyć ją albo do niej podżegać. Ta wciąż obecna z lubością przyjmuje rolę podżegacza, wykorzystując zasoby publiczne do napuszczania jednych grup społecznych na drugie. Znamy to z akcji billboardowej, w której atakowano sędziów, że wspierania „stref wolnych od LGBT” oraz z telewizji publicznej, która za wroga narodu uznaje każdego krytyka rządu.

Zamiast promować jedność, władza populistyczna uwypukla tematy, które są społeczną kością niezgody. Święta państwowe, zazwyczaj odsuwające spory na bok, stają się okazją do podkreślania różnic. Żaloba po katastrofie smoleńskiej, zamiast jednoczyć, stała się okazją, by oskarżać o zdradę czy morderstwo. Taka władza, zamiast zapobiegać katastrofie polaryzacji, jest najsilniejszym czynnikiem zwiększającym jej ryzyko.

A ponieważ ryba psuje się od głowy, ludzie przejmują tę tendencję. Publikujemy posty, które przedstawiają stanowisko drugiej strony nie jako niesłuszne czy wątpliwe, ale tak absurdałne, że trudno sobie wyobrazić, jakim trzeba być idiotą, by je sformułować. To technika stosowana przez obie strony polskiego sporu. Media nie zapraszają ludzi o zbalansowanych poglądach, lecz harcowników generujących kliknięcia i emocje. Odpowiedzialność za polaryzację spada zatem zarówno na rząd, jak i po części na nas wszystkich. Wolimy przecież oglądać, jak się politycy masakrują, prawdą? Merytoryczna rozmowa to straszna nuda.

Gdy więc władza podżega do polaryzacji, druga strona posłusznie ją zwiększa. Gdy opozycji odmawia się polskości, jej wyborcy każą się wyborcom PiS wyłączyć się z granic RP – na przykład Podkarpaciu po wyborach prezydenckich, w których zwyciężył Duda. To oczywiście zła strategia. Zamiast niej trzeba zwalczać sam pomysł dzielenia Polaków na plemiona. Nie przyjmować etykietek „lepszego” czy „gorszego” sortu, ale odmawiać dyskutowania o sortach.

Co po wyborach? Czy opozycja będzie chciała polaryzację obniżyć? To byłoby na przekór emocjonalnym oczekiwaniom jej elektoratu. Może korzystniejsze politycznie będzie przyjęcie, że w Polsce istnieją dwie grupy obywateli i że skoro jedna realizowała swoją agendę, teraz przyszedł czas, aby robiła to druga? Jeśli chcą Państwo to przetestować, proszę sprawdzić swoje reakcje na następujące (celowo nieco prowokacyjne) pomysły.

Jeśli chodzi o szkołę i wychowanie dzieci, władza nie jest od popierania jednej strony, lecz od ważenia interesów. Jeśli są wśród nas ludzie obawiający się zbyt progresywnej edukacji, zadaniem władzy jest to zrozumieć i o tym rozmawiać. Chodzi o to, aby wygrywający wybory nie miał syndromu Abby („Zwycięzca bierze wszystko”), nie upadł się pokonaniem przeciwnika, ale potrafił go szanować po wygranej. Czy po ewentualnym utworzeniu nowego rządu lewicowa ministra edukacji uwzględni w programie nauczania zarzuty elektoratu PiS w sprawie zbyt progresywnego kształtowania osobowości dzieci i zbyt małego nacisku na kształcenie patriotyczne i religijne? Czy do jakiegoś ciała doradczego powoła osoby o poglądach konserwatywnych, czy też przesunie wajchę całkowicie w drugą stronę?

Chyba raczej skupi się na „odbiciu”, „odzyskaniu” szkoły dla realizacji agendy, którą uznaje za jedynie słuszną. Nie będzie to działanie inne od tego, co dzieje się teraz. I na pewno nie obniży polaryzacji. Z drugiej strony otwartość na propozycje „innych” od razu zostanie uznana za słabość – zarówno u zwolenników nowej władzy, jak i u jej przeciwników. Taki sobie zgotowaliśmy los, że cywilizowane działania uznajemy za naiwność.

Czy misja telewizji publicznej po wyborach będzie uwzględniać potrzeby unikaczy różnorodności – wyborców konserwatywnych i religijnych? Wrogość wobec Kościoła spowoduje pewnie odbicie w drugą stronę, na przykład chęć usunięcia religii ze szkół i liberalizację aborcji. Czy to powinno się dziać bez tłumaczenia przyczyn, bez osłony komunikacyjnej, która przygotowałaby unikaczy na zmiany, czy też uznaje się je za tak oczywiste, że nikt nie będzie nad nimi deliberował? Wystarczy po prostu stwierdzenie: „Tacy jesteśmy, więc tak robimy”.

Nie chodzi o politykę miłości, lecz o politykę mądrości – bo dowlalenie drugiej stronie zwiększy siłę rażenia populistów. Odwet jest luksusem, marnotrawstwem energii, na które dojrzałe społeczeństwo nie może sobie pozwolić. Poza tym nie można ludzkich emocji zostawić na pastwę polaryzatorów – oni się żywią frustracją.

Dlatego mądra władza dba nie tylko o zabezpieczenie społeczne obywateli, ale także o zabezpieczenie emocjonalne i moralne. Nie pozostawia ich samych z poczuciem gniewu i przegranej. Kiedy wprowadza kontrowersyjne dla niektórych rozwiązania, na przykład liberalizuje przepisy aborcyjne, tłumaczy i dyskutuje. Jeśli tego nie robi, zachowuje się tak samo jak władza populistyczna, która przepisy aborcyjne zaostrza i z nikim nie rozmawia, sama decyduje i toczy wojnę z częścią swojego społeczeństwa.

Mądra władza musi zapobiegać katastrofie społecznej, tak jak zapobiega katastrofie naturalnej. Wzmacnia wały przeciwpowodziowe – musi wzmacniać wały przeciwautorytarne. Upadek demokracji i autorytaryzm biorą się ze strachu przed chaosem. Władza populistyczna wzmacnia ten strach. Władza, której zależy na demokracji, musi ten strach – strach przed nowością, różnorodnością, zmianą moralną – opanować. Czy będzie potrafiła? ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już w dobrych księgarniach i w formie e-booka. Wciąż dostępna również poprzednia – „**Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości**”



NIE MA MIŁOŚCI BEZ WOLNOŚCI

Gdy oddzielimy wolność od odpowiedzialności, to wolność staje się anarchią,
a z kolei odpowiedzialność bez wolności staje się tyranią

Z FILOZOFEM **TADEUSZEM GADACZEM***
ROZMAWIA **EWA KALETA**

Panie profesorze, czym jest sprawiedliwość?
– Trudna sprawa, a nawet beznadziejna.

Dlaczego beznadziejna?

– W wielu kwestiach nie przekroczyliśmy antycznych Greków. Arystoteles odróżnił dwa rodzaje sprawiedliwości: wyrównawczą i proporcjonalną. Pierwsza mówi, że każdemu należy się tyle samo, a druga, że każdemu według jego pracy, wkładu i zasług. Jeżeli władze państwowe co roku rekompensują emerytom ich uposażenia emerytalne, to zaczynają się debaty publiczne, której zasady sprawiedliwości powinniśmy się trzymać. Jedni mówią, że każdemu tyle samo, bo jesteśmy takimi samymi ludźmi, chodzimy do lekarza, apteki, mamy takie same prawa i tak dalej, i to jest sprawiedliwe. A drudzy mówią: to nie jest sprawiedliwe, bo my pracowaliśmy dłużej i odprowadziliśmy większe składki niż ci pierwsi, pracowaliśmy na dwóch etatach, a tym pierwszym nie chciało się pracować. W związku z tym powinniśmy dostać proporcjonalnie więcej. I jeśli zastosujemy tę pierwszą zasadę, to druga grupa będzie mówiła, że to niesprawiedliwe, a jeśli tę drugą – to pierwsza grupa będzie mówiła, że to niesprawiedliwe. Nie ma tu jakichś zasad, które mogłyby tę sprawę uregulować.

Sprawiedliwość jest też powiązana z różnymi wartościami, ideami, na przykład z solidarnością. Im bardziej będziemy sprawiedliwi, tym mniej możemy być solidarni. Wszystko będzie zależało od sytuacji, od wiedzy, położenia itd. Grecy znali zasadę złotej reguły, która pochodzi od Arystotelesa. W swoich traktatach o cnotach (dziś to słowo brzmi bardzo niedobrze) powiada, że powinniśmy zawsze wybierać między dwiema wadami. Nam się wydaje, że każda cnota ma jedną wadę. Jeśli mówimy o męstwie, to wadą jest tchórzostwo, ale wadą też jest brawura, taka przesadna odwaga, nie na miarę. Musimy się opierać na własnej mądrości. Kiedy prowadzę zajęcia z filozofii z przedszkolakami, to podaję przykład pomocy dzieciom przez rodziców w ubieraniu się. Pytam: czy rodzice powinni dzieciom pomagać? Odpowiadają tak, jak powinni. Pytam: a co się dzieje, kiedy rodzice zbyt długo pomagają? Wtedy 4-, 5-latki mówią, że dzieci mogą się nie usamodzielnąć. Pytam więc: kiedy powinni przestać pomagać? Na co słyszę odpowiedź: w sam raz. To „w sam raz” u każdego dziecka, w każdych okolicznościach leży gdzie indziej. Jesteśmy spletem wartości dopełniających się, przeciwstawnych, i jeśli one się rozłączą np. gdy oddzielimy wolność od odpowiedzialności, to wolność staje się anarchią, a z kolei odpowiedzialność bez wolności staje się tyranią.

Uwielbiam ten pana cytat, czym jest wolność bez odpowiedzialności i odpowiedzialność bez wolności. Szczerze mówiąc, to właśnie z powodu tego cytatu zadzwoniłam do pana z pytaniem o sprawiedliwość.

– Dziękuję. Wypromowałem do tej pory 14 doktorów, z czego moje dwie doktorantki są już profesorami na uniwersytetach niemieckich i zawsze chcia-

łem być wobec nich sprawiedliwy. Ale w przypadku niektórych sprawiedliwość polegała na dawaniu więcej wolności, a dla innych – na dawaniu więcej odpowiedzialności. Wiedziałem, że jedni będą pracować sami, będą napędzani siłą zainteresowań naukowych, a inni potrzebują wyznaczenia im terminów oddawania rozdziałów, bo inaczej nie napiszą tego, co chcą. I w jednym, i drugim przypadku kierowałem się dobrem. Myślę, że tutaj dochodzimy do ważnego związku między sprawiedliwością a dobrem. Zawsze chcemy, żeby dobro zwyciężyło, ale ponieważ dobro pozostaje w konflikcie z innymi wartościami, to sprawiedliwość jest dość niejednoznaczna.

Interesuje mnie sprawiedliwość, bo wydaje mi się, że to idea, która jest bardzo żywa w naszym życiu społecznym. Zarówno PiS, poprzez 13. emeryturę i 500+, gra ideą dobra i sprawiedliwości, ale i aktywiści posługują się tą ideą, chcąc rozliczać poprzednie pokolenie, boomerów, bardzo radykalnie. Obie strony walczą o sprawiedliwość, jej przywrócenie ma zmienić nasz świat. Wreszcie!

– Kwestia jest bardzo złożona, bo ustrojem, który w szerokim rozumieniu społecznym miał przynieść sprawiedliwość, miał być marksizm, który miał stworzyć społeczeństwo bezklasowe, społeczeństwo równości ekonomicznych. I ostatecznie wiemy, że próby stworzenia takich społeczeństw kończą się dystopią ze względu na to, że – jak pokazali to frankfurtczycy: Adorno i Horkheimer – Marks się pomylił. Sądził, że niesprawiedliwość społeczna wynika z nierówności ekonomicznych.

To znowu pobrzmiwa w naszym społeczeństwie, uraza ekonomiczna. Przerwałam panu, przepaszam, co mówili Adorno i Horkheimer?

– Oni pokazali, że nierówności ekonomiczne wynikają z naszej żądzy posiadania. I dopóki żądza posiadania jest silna w nas, to nierówności nie znikną. I nie zniknęły w Związku Radzieckim pomimo upaństwowienia środków produkcji, nie zniknęły też w Polsce. To, co widzimy obecnie, to zwycięstwo resentymentu, wygrywają egoistyczne sentymenty. Warto zauważyć, że my nie mieliśmy długo państwa, a państwo, jak było, to było wrogię, więc okradanie państwa odbierane było jako czyn patriotyczny. Tak można też zinterpretować to, co obecnie dzieje się w naszym kraju. Tkwimy cały czas w opcji humanizmu, który na szczęście jest wypierany przez nowy paradygmat posthumanizmu. Humanizm niósł za sobą niesprawiedliwość.

Czym jest posthumanizm?

– Humanizm sięga czasów Protagorasa i jego stwierdzenia, że „człowiek jest miarą wszechrzeczy”. Tylko że człowiek, którego w epoce renesansu przedstawił Leonardo da Vinci w rycinie „Człowieka witrwiańskiego”, jest białym, zachodnioeuropejskim mężczyzną. Humanizm był projektem nieustannych nierówności. Już w starożytnej Grecji personami nie byli: kobiety, dzieci, niewolnicy itp. Później chrześcijaństwo, chociaż wprowadziło pojęcie osoby, to pogłębiło ten proces przez nierówności patriarchalne. Potem pojawiły się nierówności w temacie kolorowych, odmiennie urasowionych, upłciowionych,

wobec klimatu i ziemi. I z czego to wynika? Z tego, że my myślimy dialektycznie, zgodnie ze schematem tezy i antytezy. I nie jest bez znaczenia to, który punkt jest tezą. Bo jeśli za tezę weźmiemy białego człowieka, to wszyscy niebiali są poniżej. Jeśli tezą jest mężczyzna, to mamy patriarchat, i kobieta nigdy nie będzie równa mężczyźnie. Jeśli tezą będzie wierzący, to ateści mogą czuć się wykluczani. Może też być odwrotnie. Jeśli tezą będzie człowiek bogaty, to wystąpi niesprawiedliwość społeczna i nierówność, bo inni, słabsi, będą marginalizowani. Lewica słusznie upomina się o 20 proc. podwyżki dla sfery budżetowej, i ma rację. To jest absolutny skandal, że od 1989 roku w Polsce takie zawody, jak: nauczyciel, muzealnik, pracownik kultury, bibliotekarz, pracownik administracji, pielęgniarka, ratownik medyczny, miały najniższą krajową pensję. Posthumanizm zakłada, że możemy być zróżnicowani społecznie, religijnie, płciowo. Wydaje mi się, że posthumanizm jest takim projektem, że gdyby był dobrze zrealizowany, dałby większe poczucie sprawiedliwości.

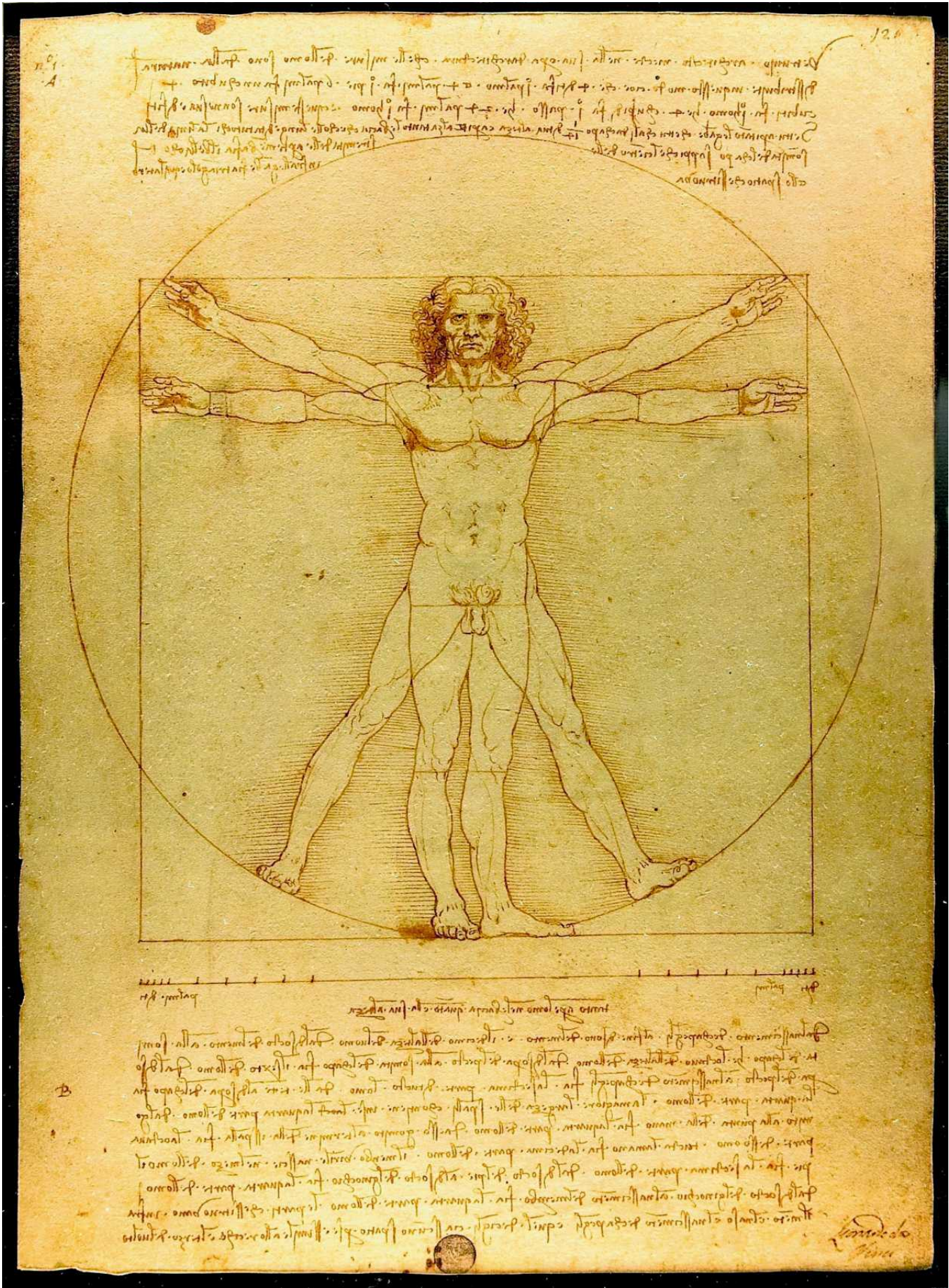
A czy może funkcjonować społeczeństwo, w którym tezą jest każdy? Żyjemy z przeświadczeniem za krótkiej koldry, że dla kogoś zawsze zabraknie. Może zresztą jest to prawda o życiu. Wiemy z doświadczenia społecznego, ale i osobistego, że niesprawiedliwość losu tak czy inaczej nas dotknie. Widzę w tym rozpacz głęboko samotnego i przestraszonego życiem człowieka. Przestraszonego, bo to życie zna i bardzo chce gdzieś się symbolicznie rozładować.

– Absolutnie tak. I wtedy nie mamy antytezy. I mamy społeczeństwo, jak to mówił kiedyś Norwid, nie „rozłączalności” tylko „połączalności”. Ale „połączalności” także z innymi żywymi istotami i Ziemią. Na podobieństwo sieci rybackiej, w której każde oko jest ważne. I nie ma tego wyżej i niżej. Profesor Jerzy Hausner w swojej ekonomii wartości przedkłada ekonomię produktywną nad ekonomię efektywną, czyli taką, która uwzględnia wszystkie koszty wynikające z produkcji. Bo jeśli mamy łowić ryby najbardziej efektywnie, to najlepiej będzie wrzucić granat do rzeki. Tylko co z tego wynika, dobrze wiemy. Posthumanizm myśli włączająco i holistycznie.

Zgadzam się z panem, chciałabym takiego świata, ale przecież jestem jednocześnie chciwa. Chciałabym dla siebie więcej, pan pewnie też zna te uczucia, im jesteśmy starsi, im mamy więcej do stracenia, stają się coraz mocniejsze. Łatwo nie być chciwym, kiedy jest się młodym i nie ma się nic. Trudniej, jeśli jest się starszym, zmęczonym, już czymś obarczonym, ma się dzieci i patrzy się w dziki świat. Chciwość staje się walką o przetrwanie.

– To jest zasada, która nami kieruje od początku. Ona jest uwarunkowana biologicznie. Baruch Spinoza użył takiej formy łacińskiej „In suo esse perseverar”, istnieć, to znaczy usiłować przetrwać w swoim istnieniu. Każdy chce żyć. A w związku z tym chce mieć zabezpieczone warunki do życia, a wiemy, że wpływ bezpieczeństwa ekonomicznego na nasze życie jest ogromny. Związki się rozpadają, ludzie się kłócą, ma-

FOT. LUC VIATOUR / DOMENA PUBLICZNA



Humanizm był projektem nieustannych nierówności, „Człowiek witruwiański” Leonarda da Vinci jest białym, zachodnio-europejskim mężczyzną

my ból głowy, bo zastanawiamy się, czy przeżyjemy do pierwszego. Ale jednocześnie to może mieć taką tendencję, że ja chcę nie tylko trwać, ale chcę poszerzać swoją przestrzeń życiową coraz bardziej. Dlaczego mam mieć dwie pary butów, a może dziesięć, a może dziesięć torebek, a może zmienię samochód co dwa lata. Niestety, nie żyjemy sami, dlatego myśliciele przypominają starą zasadę z Biblii: „jak siebie samego”. A „siebie” nie oznacza „ja”. Siebie oznacza także ciebie. W języku polskim nie mamy rzeczownika, w angielskim jest „self”. My tłumaczymy to słowo jako jaźń, świadomość, Niemcy mają rzeczownik der Selbst, Francuzi – le soi, a my mówimy: myślę o sobie, troszczę się o siebie.

Na powierzchniowym poziomie rozumiem. Na głębszym się boję. Pan mówi o takiej uczciwej obecności, odmieniającej. Może nawet można by się wtedy poczuć mniej samotnym. Chciwość jest osamotniająca. Podobnie jak walka o przetrwanie.

– Kiedy mówię „ja”, to jest egoizm, a kiedy mówię „siebie”, to jednocześnie mówię „ciebie”, wobec tego nie mogę troszczyć się o siebie, jeśli nie troszczę się o ciebie. Nie mogę mieć poczucia godności siebie, jeśli jednocześnie nie szanuję ciebie. I wtedy mamy do czynienia z sytuacją, w której być może w wielu aspektach powinniśmy się zastanowić, czy się nie cofnąć z zapatrzenia w „ja”. Mówię tutaj o odpowiedzialności metafizycznej. Jako ludzie jesteśmy

odpowiedzialni za cały rodzaj ludzki. Nie mogę powiedzieć, że mnie nie obchodzą umierające z głodu dzieci w Jemenie. Może nie czuję się wezwany, żeby tam jechać, ale myślę o tym. Gdybym nie myślał, byłoby to głęboko niesprawiedliwe. Musimy się zastanowić nad naszą zachłannością w Europie.

Daliśmy innym telefony komórkowe, sprzedaliśmy im nasze technologie i oni teraz wiedzą, jak my żyjemy, i też chcą tak żyć, a my zamknęliśmy im granice i mówimy im: kupujcie komórki, ale my was tu nie wpuszczymy. Pojęcie sprawiedliwości zawisa w powietrzu.

Trzeba się zastanowić, czy nie jestem zbyt pazy, czy nie chcę za dużo, czy nie za bardzo zagarniam ten świat dla siebie. Nie chodzi o to, żeby się pozbawił wszystkiego, bo siebie też trzeba kochać. Jak człowiek nie kocha siebie samego, to nie będzie kochał innego. Jak nie będzie wobec siebie sprawiedliwy, to nie będzie sprawiedliwy wobec innych.

Co to znaczy kochać siebie?

– Kochać siebie to znaczy pragnąć dla siebie maksymalnego dobra w znaczeniu samorealizacji, to bycie autentycznym. Tego nie da się zdefiniować. Mogę podać tylko przykład pewnego młodego człowieka, którego poznałem w wydawnictwie naukowym PWN. Ukończył on studia medyczne, bo taka była tradycja rodzinna, ale miał na tyle oporu, że nie podjął praktyki medycznej. Zaczął pracować w redakcji wydającej

książki medyczne. Po jakichś siedmiu lub ośmiu latach jego ojciec zmarł. Kiedy uwolnił się od uwarunkowań rodzinnych, zrobił to, o czym marzył przez całe życie – zdał egzamin do Akademii Muzycznej. Dziś koncertuje w Europie. To jest przykład kogoś, kto siebie kocha. Czyli upomina się o siebie, o swoje własne życie, o swoje własne prawo. Wydaje mi się, że nie mogą się udać związki partnerskie czy małżeńskie, jeśli każda z osób siebie nie kocha, czyli jest zależna od drugiej.

Ta zależność jest przeciwieństwem miłości?

– Absolutnie tak

Używając przykładu, który pan podał, to myślę, że taką prawdziwą próbą będzie to, jak ten człowiek będzie traktował rodziców, którzy wymusili na nim decyzję o studiach medycznych. Moim zdaniem prawdziwą próbą dla posthumanizmu – i dla wszelkich idei – jest to, jak traktuje się winnego. Co zrobić z tym, który złamał nas, a tym samym nasze poczucie sprawiedliwości.

– To jest sprawa osobista, bo nie mamy wpływu, w jakiej rodzinie się rodzimy, gdyż nikomu nie udało się być przy swoich narodzinach i nikomu nie udało się być przy swojej śmierci. Ja nie umiem na to pytanie odpowiedzieć.

Moim zdaniem to nie może być tylko sprawa osobista. Nasz stosunek do winnego pojedynczo, ale

i w kontekście idei, obnaża nas. Tam się objawiają człowieczeństwo i echo poczucia sprawiedliwości. Bycia zranionym i sprawiedliwym – to treść dorosłości.

– Można mieć pretensje do swoich rodziców i każdy pewnie ma jakieś rozmaite zadry w swoim życiu. Zdajemy sobie sprawę, kiedy wracamy do swojego dzieciństwa, jak bardzo mocno dzieci przeżywają różne doświadczenia. Mam wrażenie, że dzieci mają największe poczucie niesprawiedliwości. Nawet w takich sprawach, kiedy ktoś dostał jednego cukierka więcej, a inny mniej. Temu rodzice pomagają w nauce jazdy na rowerze, a temu nie. Ja do dziś pamiętam, jak się wtedy czułem, kiedy tego rodzaju niesprawiedliwość mnie spotkała, jak głębokie to są rany.

Rodzice zostają rodzicami i trudno się ich wyrzec do końca. Możemy pozostać głęboko zranieni poczuciem niesprawiedliwości.

Podjęłam się niedawno obrony Jerzego Stuhra w kontekście jego śmierci cywilnej po jeździe po pijanemu, motywowało mnie poczucie niesprawiedliwości. Napisałam felieton, bo czułam, że każda, nawet najbardziej głęboka i mądra idea ma lukę, gdzie kumuluje się gniew. Kiedy się zakochamy w idei sprawiedliwości, możemy trwać w nieustannej karze. Przeprosiny, przyjęcie odpowiedzialności, rekompensata nie mają znaczenia. Twarze skazanych na wieczną karę tworzą treść sprawiedliwości. Gniew musi się tlić, inaczej sprawiedliwość traci impet.

– Jesteśmy społeczeństwem bardzo głęboko przenikniętym przez resentment, który w gruncie rzeczy jest źródłem zawiści, i to bezinteresownej. Jeśli ja czegoś nie osiągnąłem, a osiągnął to ktoś inny, to muszę go poniżyć. Jeśli nie mogę się wznieść na ten sam poziom, na którym on jest, obojętnie czy artystyczny, czy literacki, czy dziennikarski, czy jakkolwiek inny, to resentment się we mnie kumuluje. Jest to pięknie opisane przez Friedricha Nietzschego. Przytoczył on słynną bajkę Ezo-pa opowiadającą, jak lis, biegając wzdłuż lasu, patrzył na dojrzewające w winnicy słodkie winogrona i miał na nie ogromną ochotę, ale bał się psa gospodarzy, który pilnował winnicy. Ostatecznie żaden z motywów nie stał się na tyle silny, by dać impuls do decyzji. Napięcie między nimi poskutkowało pęknięciem: „Gorzkie winogrona”. Nie warto się o nie starać. Kumulujemy w sobie resentment. I wtedy my mamy ochotę na poniżanie tych, którym się udało, którzy osiągnęli sukces. A kiedy powinie im się noga, to zacieramy rączki, bo mamy możliwość uderzania w nich. W Polsce, żeby znaleźć się na pomniku, to trzeba albo emigrować, albo umrzeć. Wówczas już nam nie zagrażają.

Co do Jerzego Stuhra – przykro mi, że to się zdarzyło. Nie wolno czynić wyjątków dla wielkich i znanych, ale trzeba życie człowieka oceniać w całości, w pełnym dorobku. Taka nieumiejętność spojrzenia na całość dorobku i życia jest radykalnie niesprawiedliwa i Jerzy Stuhr ma prawo się tak czuć. Wszyscy śmiali się, oglądając „Seksmisję” i inne jego filmy, a jednocześnie nie tracą impetu, nieustannie go krytykując.

Współczesny resentment uśmierca autorytety, wydaje mi się nawet, że jest zaraźliwy. Ubolewam nad tą tendencją, bo o wiele bardziej ufam autorytetom niż ideom. W ludziach jest to prawdziwe pęknięcie, to uczy pokory, zrównuje nas. Idee bywają bezduszne, naiwne. Czuje pan to ryzyko, że ścinanie głów nas demoralizuje?

– Oczywiście, że tak, ja tego też doświadczałem. To bardzo przeszkadza w społecznym rozwoju. My nie potrafimy się rozwijać społecznie ze względu na ową resentmentalność. Nawet jest takie powiedzenie o polskim piekle, że jeśli jest piekło, to w sekcji polskiej nie potrzeba żadnych diabłów pilnujących smażących się w kotłach,

bo o ile komuś uda się głowę wychylić na powietrze, to inni i tak w imię równości za nogi go wciągną z powrotem.

I to jest bardzo polskie. Mam nadzieję, że to może się zmienić przez edukację, ale będzie trwało dziesiątki lat i może dopiero kolejne pokolenia wyleczą się z tego resentmentu. Ale skoro go dotknęliśmy, to on nas znowu prowadzi na trop fałszywie rozumianej sprawiedliwości, bo ci, którzy kumulują w sobie resentment, mówią, że to jest niesprawiedliwe, że inni są chwaleni, piszą książki, osiągnęli sukces, bo są znani, bo więcej zarabiają. Resentiment staje się takim narzędziem sprawiedliwości wyrównawczej, ale takiej wyrównawczej w dół, prawda? Jak wszyscy już zostaną błotem utapłani, to będzie sprawiedliwie. Równamy w dół. I to jest bardzo charakterystyczne dla naszej mentalności społecznej. A kiedy się tak zdarzy, nawet obecnie, bo więcej takie wiatry historyczne i polityczne, to ci mali ludzie, którzy przypominają żeglarzy pochowanych w portach z pozwijanymi żaglami, rozwijają żagle, płyną daleko i płyną na lewo i prawo, mówiąc: wreszcie nadeszły czasy sprawiedliwości. My im pokażemy, tym elitom, tym lepszym. Jeżeli widzę jakiś plus tych ostatnich ośmiu lat, to mam nadzieję, że większość małych ludzi już wypłynęła.

A jaki krajobraz społeczny tworzy resentment?

– Krajobraz absolutnej nieufności. Jeśli ktoś osiągnął sukces wyjątkowy, to znaczy, że ukradł. Jeśli udało się zdobyć tytuł naukowy, to znaczy, że jego promotor ma układy. Jeśli aktorka otrzymała dobrą rolę, to pewnie przez łóżko. Jesteśmy nieufni, i to jest dodatkowe obciążenie, które powoduje niski poziom życia społecznego. Jesteśmy nieufni wobec nauczycieli, mówimy, że niesprawiedliwie nas ocenili itd. Właśnie bardzo często ci, którzy wolają o sprawiedliwość, to mają na myśli. I to, co pani powiedziała, nasunę-

może po to ludzie wymyślili piekło, żeby ci inni nigdy stamtąd wyjść nie mogli. Żebyśmy mogli ich tam zepchnąć. Ja sobie ukłułem takie powiedzenie życiowe, że za zło karzą po śmierci, a za dobro jeszcze za życia. Niczego dobrego się nie spodziewam. I tak rozumiana sprawiedliwość jest po prostu chora. Natomiast ta pozytywna sprawiedliwość jest po to, by stworzyć takie warunki, żeby każdy mógł się rozwinąć. Właśnie w tym celu przywołałem to stare polskie słowo z tytułu mojej książki, które dziś wyparowało ze słownika: dobromyślność.

Co to jest?

– W myśleniu tkwią nie tylko skuteczność i sprawczość, ale i dobro. Kieruję się w moim myśleniu dobrem. I w związku z tym myślę tak, by inny mógł wieść życie sprawiedliwe, żeby mógł być w swoim życiu szczęśliwy. Także w relacjach między najbliższymi tak rozumiem sprawiedliwość, żeby była tam dobromyślność. Czyli jak kogoś kocham, to chcę jego najpełniejszej samorealizacji i robię wszystko, wspieram go w tym. Dobromyślność utożsamiam z rozumem. W języku polskim mamy ten sam przedrostek w słowach „rozmowa”, „rozumienie” i „rozważa”. Być człowiekiem rozumnym, dobromyślnym to znaczy umieć słuchać, wczuć się w czyjeś położenie, rozumieć go. Potem podjąć taką rozważną decyzję, która będzie dobra i dla niego, i dla mnie.

Wzrusza mnie to, co pan mówi. Mam wrażenie, że często pod poszukiwanie sprawiedliwości podszywa się poszukiwanie sensu. Żyjemy w czasach, kiedy ludzie są głodni usensownienia swojego życia. Mówią o sprawiedliwości jak o sensie, którego im brakuje. Nie lubią swojej pracy, nie mają mieszkania albo mają kredyty i czują, że żyją w kieracie codzienności pozbawionej sensu. Wyjałowionej z tego pojedynczego sensu,

Jesteśmy tylko jednorazowością, która się już nie powtórzy

ło mi na myśl pewną ideę, którą zawarłem w mojej ostatniej książce. Właśnie teraz wydałem „Etykę dobromyślności”, na wybory. W polityce musimy natychmiast przywrócić fundamentalne wartości etyczne. Nie tylko sprawiedliwość do nich należy, ale prawdomówność, przyzwoitość, zaufanie itd.

Pisze pan w książce o tym, że sama idea wielkiej etyki jest zagrożeniem.

– Kiedy posługujemy się wielkimi ideami i próbujemy te idee wprowadzać w życie, to kończy się zawsze dystopiami, jak z komunizmem, albo próbujemy je traktować jako narzędzie do walenia przeciwników po głowach. Tak jak to robią niektórzy politycy. Absolutnie konieczna jest etyka, ale etyka słaba. Etykę słabą rozumiem jako odpowiedzialną, czyli taką, która jest zdolna do odpowiedzi na słabość. Bo słabość jest w człowieku konkretna. Bardzo często, szczególnie w myśli żydowskiej, sprawiedliwość łączona jest z empatią. Wtedy się mówi, że sprawiedliwym człowiekiem jest ten, który jest wyczulony na czyjąś słabość, reaguje na człowieka upadającego na ulicy, pomaga, kiedy dziecko jest zamknięte w samochodzie, gdy jest gorąco, nie zostawia błądzących i słabych imigrantów na granicy.

Wydaje mi się, że kiedy panuje resentment, sprawiedliwość staje się namiętnością.

– Absolutnie tak. Staje się namiętnością, staje się narzędziem walki, staje się pewnym sposobem kompensaty, skumulowanych w sobie chorych resentmentów. Być

sensu dla mnie samego. To mi się łączy z biernością i resentmentem.

– Oczywiście. Człowiek żyje tylko raz. Powiedział kiedyś żydowski myśliciel Martin Buber: Jesteśmy tylko jednorazowością, która się już nie powtórzy.

I jak myślimy tymi kategoriami, to chcemy, żeby coś po nas zostało, żeby pozostało jakieś dobro. Jedni przez ten sens będą rozumieć czysty hedonizm, inni dążenie do celów. Natomiast kiedy dążą do tych celów, to widzą, że robią to kosztem życia, że życie im umknęło. Życie składa się z takich drobiazgów. Życie może mieć sens, nawet hedonizm ma wartość, jak sobie usiądę na Piazza Navona w Rzymie, gdzieś pod murem. Piję wino i przyglądam się leniwie przeciągającym się kotom. To są fantastyczne chwile, kiedy mogę dzielić się tym doświadczeniem z kimś innym, czyli mogę dzielić obecność. Jeśli pani pyta o sens, to mnie to prowadzi na kolejny trop, który wydaje mi się bardzo istotny. My w coraz większym stopniu nie doświadczamy obecności.

Człowiekowi nie wystarczy istnienie tak jak przedmiotom – pragnienie obecności, czyli bycia dla kogoś. Tym kimś mogę być też ja sam albo zwierzę. Wie pani, ja myślę, że egoista jest niesprawiedliwy wobec samego siebie.

Kiedy jestem egoistą, to nie jestem wobec siebie sprawiedliwy, bo siebie nie kocham, nie jestem wobec siebie obecny. Proszę zauważyć, że dzisiaj, w tym bardzo zaspieszonym świecie, kiedy mamy tak ogromną ilość narzędzi, za pomocą których możemy się komunikować, to bardzo wiele dzieci, młodych ludzi ma po-

czucie braku obecności. Tego, że ktoś się nie zatrzyma, nie pogłaszcze po głowie, że nie przytuli, nie zapyta, czy jesteś szczęśliwy, tylko czy osiągnąłeś sukces. Ostatnią książkę na temat szczęścia napisał Władysław Tatarkiewicz bodaj ponad 70 lat temu. Jak nie masz dobrych ocen, to jesteś przegrywem, jak nie masz odpowiedniej ilości lajków, to jesteś przegrywem. Ten krajobraz jest tak niesprawiedliwy wobec dzieci, że one często nie chcą żyć, nie widzą sensu.

Ja mam 37 lat, a pan – 68. Niech mnie pan czegoś jeszcze nauczysz o życiu, profesorze.

– W naturze ludzkiej pod żadnym względem nic się nie zmienia. Rozwój świata, narzędzi technologicznych jeszcze bardziej ujawnia różnego rodzaju braki. Teraz stajemy przed dylematem sztucznej inteligencji. I ona znowu ujawni w nas to, co najpiękniejsze, i to, co najgorsze. Warto w imię sprawiedliwości międzyludzkiej zacząć od rzeczy drobnych. Od zapytania dziecka, czy jest szczęśliwe, w szkole, z nami. Także dla siebie, mówię o dorosłych. Niekoniecznie, wpadając do restauracji, drugą czynnością po zajrzeniu w kartę musi być zajrzenie w telefon. A my tak robimy, prawda?

Myślałam ostatnio o byciu sobą, co to znaczy. Wymyśliłam na swój własny użytek definicję: to uczucie, że to, kim jestem, może być jak najbliżej świata na zewnątrz. Że moje autentyczne ja dosłownie dotyka skóry od wewnątrz. Proszę wybaczyć ten poetycki język, ale nie umiem tego inaczej oddać.

– Dotknęła pani problemu wolności. My najczęściej wolność utożsamiamy z przestrznią. Mam paszport, mam drogę, po której mogę pojechać, nie mam żadnych ograniczeń, mam pieniądze. Ale jest też wertykalny wymiar wolności, który ma swoją głębię i swoją wzniosłość. Ta głębia jest związana z byciem sobą. Tylko człowiek, który jest sobą, może być autentycznie wolny. Jeśli kupuję książkę, to ja ją kupuję, jeśli jadę na wakacje, to ja jadę. Ale jeśli kupuję tę książkę, bo teraz się takie czyta, albo jadę tam, gdzie wszyscy, bo ten kierunek jest modny, to nie ja jestem wolny, tylko moje ja powierzchowne. Nie jestem autentyczny w tym, co robię. Prawdziwa, autentyczna wolność jest głęboka. A wzniosłość wolności polega na tym, że im bardziej jestem wolny w swoich wyborach, tak jak muzyk, który chce grać i żmudnie godzinami ćwiczy, a potem wychodzi i widzę, że on cały jest tą muzyką, to wtedy czuję, że to jest autentyczne, że ta wzniosłość wolności i głębia zaczynają grać. Wówczas znikają także granice w przestrzeni. Jeśli człowiek jest tak wolny, to nie czuje ograniczeń. Będąc tak wolnym, może coś dać innym.

Co nam przeszkadza w odczuciu wolności? Jakie są przeszkody w nas?

– Przyzwyczajenie, rutyna, brak odwagi, bo do tak rozumianej wolności potrzeba odwagi. Odwagi odpowiadania za własne decyzje. Potrzeba także wierności sobie i trudu. Najłatwiej jest pozwolić się wsadzić do takiej malej kolejki dziecięcej, która jedzie po tych samych torach. I wtedy wiemy, co będzie: poniedziałek, wtorek, piątek, odebranie dziecka z przedszkola, w niedzielę obiad u babci i w poniedziałek zaczynamy od początku. Brak odwagi jest widoczny w oczekiwaniach społecznych. Na przykład takie głupawe pytanie skierowane do młodej kobiety ze strony rodziny: „Kiedy będziecie mieć dziecko?”. A może ona nie chce tego dziecka w ogóle? To jest jej wybór. Trzeba mieć odwagę, żeby powiedzieć: „Mam prawo do własnego życia”.

Jestem w tej kolejce, bo życie mnie tak ustawiło, nie mam przestrzeni do wewnętrznej wolności. Co by pan odpowiedział takiemu człowiekowi, który nawet nie ma czasu, żeby o tym pomyśleć?

– Ma czas. Bo jeśli wolności nie ma w nas, to jej nie ma w ogóle. Dla mnie Andrzej Pocz-

but skazany na osiem lat kolonii karnej jest człowiekiem absolutnie wolnym. Nie poddał się. To, że jest za kratami, to nic nie znaczy, on jest pięknie wolny. Nie ma takiej sytuacji, gdzie nie można czegoś zrobić, można ogłosić upadłość konsumencką, można sprzedać dom z kredytem, można opuścić korporację. Kupują ludzie domy na wsiach, kupują kozy i są szczęśliwi, chociaż ponoszą też konsekwencje, nie mogą mieć tyle, ile mieli wcześniej. Nie ma żadnego kieratu, możemy decydować i być wobec siebie sprawiedliwi.

Panuje taki automatyzm myślowy, że wolność jest związana z brakiem nieszczęścia. Kiedy myślałam o rozmowie z panem, wróciłam do mojej ukochanej książki z czasów nastoletnich: James Baldwin „Następnym razem pożar”. Baldwin pisze o głębokiej, przenikającej absolutnie wszystko niesprawiedliwości. O tak dojmującym cierpieniu, że przenika ono na zawsze nie tylko ludzi, ale też miejsca, budynki i całe pokolenia, ofiary i świadków, nawet tych, którzy nie chcieli być świadkami. Baldwin miał potrzebę i domagał się zmian, ale jednocześnie nie ulegał złudzeniu, że sprawiedliwość ocali go przed cierpieniem. I ta idea przyjęcia swojego losu, ciągłej osobistej dyskusji z nim sprawia, że nie pojawia się resentment. Pojawia się jakimś cudem wolność. Ponowna wolność.

– Ostatni rozdział mojej książki zatytułowałam „Udźwignąć człowieczeństwo”. Hannah Arendt, która była świadkiem procesów norimberskich i procesu Eichmanna w Jerozolimie, mówiła, że kiedy przekroczymy pewną miarę zła, a zło stanie się bezgraniczne, nie ma sądu, kary, i odwołała się do greckiego pojęcia, które występuje w Biblii, „scandalon”. Na język polski zostało ono przetłumaczone jako przeszkoda. Jak ktoś nie rozumie tego kontekstu, to nie rozumie, co jest przeszkodą. To jest zło, które jest przeszkodą zarówno do zapomnienia, jak i do przebaczenia. Dzieci zgwałcone w Ukrainie, pomordowanych w Buczy, te posiwałe kobiety, matki, które były świadkami śmierci dzieci, będziemy musieli jako ludzkość dźwigać i jakoś z tym żyć. Bo tego rodzaju zło jest nieusprawiedliwialne. W tym sensie sprawiedliwość nigdy nie zaistnieje. I nie mam złudzeń, że tak jak po II wojnie światowej nie wszyscy naziści byli osądzeni, nie mam też złudzeń, że nie wszyscy mordercy po wojnie ukraińskiej zostaną osądzeni. Sprawiedliwość nie zostanie

dopełniona. Być może układy polityczne znowu spowodują, że politycy rosyjscy będą witani na salonach i będą podawane im ręce. To burzy mi krew, ale wiem, że nic na to nie poradzę. Że muszę to dźwigać i jednocześnie się zdystansować.

W jaki sposób przyjąć wewnętrznie taką niesprawiedliwość. Jak o niej myśleć?

– Jako pięcioletni chłopiec pojechałam z ojcem do Auschwitz, gdzie tato szukał dokumentów po swojej mamie wywiezionej z placu Nowego na krakowskim Kazimierzu za handel chlebem. Babcia została zagazowana. I ja jako mały chłopiec chodziłam po jeszcze ciepłych jej śladach, nie wiedząc, co się stało. My to w sobie dźwigamy, nawet jeśli o tym nie myślimy.

Nie wiem, jaki jest sens istnienia naszego gatunku. Bo patrząc z perspektywy humanizmu zachodnioeuropejskiego, nie mogę powiedzieć, że człowiek to brzmi dumnie.

Wręcz odwrotnie, mogę powiedzieć, że wstydzę się człowieczeństwa w takich sytuacjach. Może wołałbym być mrówką albo ptakiem. Ale skoro jestem tu, gdzie jestem, mogę robić to, co mogę, aby dawać świadectwo temu, co moim zdaniem sprawiedliwe.

Takich małych różnic międzyludzkich nie wyeliminujemy, ale powinniśmy dążyć do wyeliminowania tych maksymalnych. To się marzyło Kantowi, że zbudujemy społeczeństwo obywatelskie nie tylko w Europie, ale w aspekcie światowym. Że nastąpi pokój, wszyscy ludzie będą w miarę wolni, równi. To się marzyło oświeceniowym myślicielom. Ale widzimy, że jest w nas gen samozagłady i jest on bardzo silny.

Co robić z bólem?

– Kiedyś Fryderyk Nietzsche użył takiego określenia, mówiąc też o sobie: „my, ludzie szklani”, możemy się łatwo potknąć na stopniu i rozbić. Niektórzy bardziej czują, inni mniej. Ktoś usłyszy, że w Ukrainie zginęło jednego dnia 15 osób, w tym dwoje dzieci, i będzie to dla niego tylko statystyka. Są też tacy, których to boli, którzy to czują i żyją z tym bólem. Ważne jest, żeby coś dobrego z tego wynikło, żeby przekłuwać to na dobromyślność. Ja tak kończę moją książkę, że nie zrozumiemy sensu zła. Cały XX wiek był próbą zrozumienia, dlaczego tak się dzieje. A może powinniśmy odwrócić to pytanie i teraz zastanowić się, jak czynić dobro.

Podsumowując naszą rozmowę, dochodzę do wniosku, że pan mówi o znacze-

niu myślenia, bo bardzo wiele nawet szlachetnych uczuć, jak np. sprawiedliwość, o którą dziś dopytuję, łatwo może zamienić się w namiętność. Jeśli nie zaopiekujemy myślą emocji, a to się dzieje dziś w społecznym dyskursie na wielką skalę, to wszystkiemu odbieramy wartość.

– A wie pani, dlaczego tak jest? Bo my jako jeden z nielicznych krajów europejskich nie przeszliśmy przez oświecenie.

Oświecenie podsumował Immanuel Kant artykułem „Sapere aude” („Miej odwagę myśleć samodzielnie”), myśleć krytycznie. Fantastycznie zaczynało się u nas oświecenie: projektem Konstytucji 3 maja, którą porównywano z konstytucją amerykańską, projektem reformy edukacji. Ale, niestety, nasz gen narodowy kazał nam sobie skoczyć do gardeł, skończyło się targowicą i rozbiorami. Następną epoką był romantyzm, który zimny intelekt dopełnił uczuciem. A ponieważ nie przeszliśmy przez oświecenie, to nasz romantyzm rozwinął się, mówiąc metaforycznie, dołem i górą. Dołem, jak pisze Maria Janion, grzebaniem się w grobach i trumnach. Cała polityka polska ostatnich ośmiu lat jest zbudowana na micie trumien polskich. A jednocześnie ta góra to są emocje, a emocje to nie są uczucia. Uczucia to miłość, życzliwość, prawda, dobromyślność. Uczucia otwierają oczy. A emocje to gniew, resentment, zawiść. Emocje nas zaślepiają. Dlatego cała polska polityka i cała polska religijność są emocjonalne, pozbawione myśli. W Polsce można publicznie, wielokrotnie łamać wszelkie normy, ale nie wolno naruszać uświęconych historyczną tradycją symboli. I to, co powinniśmy zrobić jako społeczeństwo, to najpierw się wyedukować i dopełnić tę edukację uczuciem. Bo nie tylko myślenie powinno kierować się dobrem, ale i dobro myśleniem.

Jak mielibyśmy nadrobić tę edukację?

– We Francji istnieje tradycja nauczania filozofii w liceach przez cały ubiegły wiek i obecnie. Filozofii w liceach uczyli tam m.in. Henri Bergson, Jean-Paul Sartre, Simone de Beauvoir. 80 proc. Francuzów czyta. Gdyby pani rozejrzała się, jadąc w metrze w Paryżu, to zobaczyłaby, że tam siedem na dziesięć osób czyta książki w drodze do pracy. A w Polsce – wiemy, jakie są wyniki czytelnictwa. Przywróciłbym obowiązkową naukę filozofii w liceach jako podstawę rozumienia świata, myślenia krytycznego i etyki ja-

ko nauki empatii. Zadeedykowałam tę moją książkę, o której wspominam, Oldze Tokarczuk, bo prowadziła mnie jej fantastyczna idea „czulego narratora”. Bo czuły narrator to czuły człowiek, który nie tylko czule opowiada świat, ale tak samo odnosi się do innych.

Pan mówi o takiej wrażliwej części w człowieku, że ona może być bardziej jawna, że ona może swobodnie wypływać, że moglibyśmy się od tej strony wzajemnie zobaczyć.

– Powinna absolutnie. I wszystko robię, żeby tak było, choć wiem, że nie jest to łatwe. Dobromyślne myślenie pomogłoby nam na przykład sprawiedliwie ocenić pontyfikat Jana Pawła II, ale nie pozwala, bo dostanie-my kamieniem albo od tych, którzy robią z niego demona, albo od tych, którzy zasłaniają się jego zdjęciami.

Myśli pan, że kiedyś ten spór może być rozstrzygnięty?

– Nie w tym pokoleniu. ●



FOT. MICHAŁ ŁEPECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tadeusz Gadacz

• filozof i religioznawca specjalizujący się w filozofii człowieka, wykładowca akademicki, tłumacz, profesor nauk humanistycznych, były prezbiter katolicki i członek Zgromadzenia Pijarów

OŚWIADCZENIE WŁASNE WYDAWCY

34248365

INNI JESTEŚMY TYLKO W MIŁOŚCI DO GÓR

KURCZAB

Biografia jednego z najwybitniejszych himalaistów XX wieku

Janusz Kurczab to obok Andrzeja Zawady i Piotra Młoteckiego jeden z trzech Wielkich Kierowników polskich wypraw wysokogórskich ze Złotej Ery Polskiego Himalaizmu. Przed Państwem fascynująca biografia Jano z historią polskiego sportu drugiej połowy XX wieku w tle. Serdecznie polecam.

LESZEK CICHY / HIMALAISTA

Wydawnictwo Agora

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

Z **ALEKSANDREM HALLEM***, HISTORYKIEM, POLITYKIEM ZWIĄZANYM Z RUCHEM KONSERWATYWNYM, ROZMAWIA **MIROŚŁAW MACIOROWSKI**

Jest pan zadowolony z wyników wyborów?

– Tak, choć pełnej satysfakcji nigdy nie ma. Wolalbym, żeby wynik PiS był niższy, a Trzeciej Drogi wyższy. Ale najważniejsze, że powstrzymana została metodyczna budowa państwa autorytarnego. To niebezpieczeństwo – moim zdaniem – zniknęło.

Popierał pan konsekwentnie Trzecią Drogę, stwierdził nawet, że każdy ucziwy konserwatysta powinien na nią głosować.

– Od początku popierałem najpierw Koalicję Polską, skupioną wokół Władysława Kosiniaka-Kamysza, a potem sojusz PSL z Polską 2050 Szymona Hołowni. Uważałem, że to porozumienie jest koniecznością, i ubolewałem, że nie doszło do niego szybciej. Praca na nowy szyld, na pokazanie, że to jest układ trwały, zaczęła się zbyt późno.

TD uzyskała nieco ponad 14 proc. poparcia, choć balansowała na granicy progu. Co się złożyło na ten sukces?

– Przede wszystkim zmęczenie części wyborców tym wieloletnim sporem pomiędzy PiS i PO. Znaczenie miało też – mówię o tym z ostrożnością, bo nie chcę kwalifikować Trzeciej Drogi w całości jako ugrupowania centroprawicowego – że jest to najbardziej na prawo wychylona część opozycji demokratycznej.

A nie pomógł apel Donalda Tuska, by głosować na TD, gdy była w sondażowym kryzysie?

– Nie sądzę. Moim zdaniem dobry wynik Trzeciej Drogi pokazuje po prostu, że potrafiła przyciągnąć wyborców o prawicowych poglądach, którzy nie chcieli mieć nic wspólnego z PiS. Widać to po wynikach, bo część elektoratu PiS, niewielka, kilkuprocentowa, zagłosowała właśnie na Trzecią Drogę. To wyborcy o poglądach centroprawicowych, ale też konserwatywnych, szanujący konstytucję i wybór europejskiego kierunku rozwoju.

Może to szansa na stworzenie nowoczesnej chadecji? Nie ma jej w Polsce, a na pewno są warunki, by powstała.

– Do tej pory Szymon Hołownia unikał definiowania się w takich kategoriach. Wokół niego nie brak ludzi o poglądach prawicowych, ale również liberalów, zwolenników daleko idących zmian w prawie dotyczących kwestii obyczajowych. Na pewno bardziej centroprawicowy charakter ma Koalicja Polska. Przypominę, że oprócz PSL jest w niej także Centrum dla Polski, nieduże ugrupowanie, ale mające w swoim składzie polityków istotnych, o sporym dorobku, takich jak Kazimierz Michał Ujazdowski czy Ireneusz Raś.

Trzecia Droga to był złożony z osobnych podmiotów. Jak potoczy się jej przyszłość, zależy od jej liderów, ale wynik zachęca, by inwestować w ten projekt. Tym bardziej że zgłaszało na niego stosunkowo dużo młodych i dobrze wykształconych wyborców.

Hołownia i Kosiniak-Kamysz konsekwentnie trzymali sztamę, nie puścili im nerwy, gdy sondaże były złe. A Hołownia dodatkowo świetnie wypadł w debacie w TVP. Opinia, że ten występ miał wpływ na dobry wynik, nie jest chyba przesadzona?

– Władysława Kosiniaka-Kamysza znam od dawna i gorąco wierzę w jego przyszłość. Poparłem go w wyborach prezydenckich, które nie okazały się dla niego szczęśliwe. Uważam go za człowieka rzetelnego, prawego, dotrzymującego słowa. Przypomina ludzi z elity początków III RP, czyli wywodzących się z obozu solidarnościowego, którzy politykę traktowali jako służbę.

Hołowni aż tak nie znam. Ale to przecież człowiek, który założył dwie fundacje pomagające biednym ludziom w różnych regionach świata. Rzucił bardzo atrakcyjną pra-

cę, rezygnując z roli dobrze opłacanego medialnego gwiazdora, by zaangażować się w działalność publiczną. To budzi mój głęboki szacunek. Miał w tej kampanii słabsze momenty, lecz był też bardzo atakowany. Część zwolenników PO uznała po prostu za obrazę majestatu, że ktoś, kto ich zdaniem powinien być razem z Donaldem Tuskiem, idzie inną drogą. Hejtu nie zabrakło. Czasami źle to znosił, reagował nerwowo, jednak końcówka kampanii to... chapeau bas. W debacie był bez wątpienia znakomity.

Wyniki wyborów są jednoznaczne – zwyciężyła opozycja, zyskała solidną większość, ale to Jarosław Kaczyński odtrąbił zwycięstwo. Może to mieć jakieś konsekwencje?

– Nie sądzę. Wygrana jest tak zdecydowana, że w grę może wchodzić jedynie opóźnianie przejścia władzy. Nawet gdyby komuś chodziło po głowie jakieś siłowe rozwiązanie, to przecież dowódcy wojskowi i policji zdają sobie sprawę, jakie nastroje panują w większości społeczeństwa. Zamachu stanu czy wprowadzenia jakiegoś stanu nadzwyczajnego moim zdaniem nie będzie.

Premierem powinien zostać Donald Tusk?

– Wynik wyborów jest jednoznaczny, Tusk otrzymał gigantyczne poparcie, kwestionowanie jego pozycji nie byłoby rozsądne.

Należy bezwzględnie ukarać ludzi, którzy złamali prawo i naruszyli zapisy konstytucji

TO SCHYLEK KACZYŃSKIEGO

Prezydentowi Dudzie zostały dwa lata kadencji. Czego możemy się spodziewać? W dniu ogłoszenia wyników wyborów mianował kolejnych neosędziów.

– Przykro mi to mówić, ale charakter nie jest najmocniejszym atutem tego człowieka. Nie wiem, co robi, lecz powinien kierować się dobrem państwa: uznać rzeczywistość polityczną i pójść drogą prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, który znalazł się w analogicznej sytuacji w 1997 r., gdy rządem centroprawicowym kierował Jerzy Buzek. Prezydent Kwaśniewski sięgał po weto, na ogół moim zdaniem niesłusznie, m.in. wetując ustawę o IPN czy o reptrywatacji, jednak robił to rzadko.

Wierzy pan, że to już koniec tej „wielkiej smuty”?

– Tak, wyniku opozycji nie da się zakwestionować. W dodatku został uzyskany przy imponującej mobilizacji społeczeństwa. To dodatkowo wzmacnia mandat opozycji do rządzenia.

Spróbuj pan podsumować te osiem lat rządów PiS?

– Jarosław Kaczyński i Zjednoczona Prawica wybrali fatalny model rządzenia, uznali, że wszystkie instytucje państwa trzeba podporządkować jednemu, centralnemu ośrodkowi władzy, umiejscowionemu w dodatku nie w Sejmie czy Urzędzie Rady Ministrów, tylko w siedzibie PiS na Nowogrodzkiej. Kaczyński chciał kontrolować wymiar sprawiedliwości, policję, wojsko, gospodarkę i NBP. Zawłaszczenie niektórych instytucji dokonywało się z pogwałceniem konstytucji, nie mówiąc o dobrych obyczajach.

Programy mediów publicznych przypominały najczarniejsze obrazy z czasów Polski Ludowej, przywołując nawet epokę stalinowską.

Znaleźliśmy się w izolacji w Unii Europejskiej. PiS lekceważył jej instytucje, a samą Unię definiował jako przeciwnika. Konflikty z Unią są nieuniknione, bo nasze interesy niekiedy są rozbieżne, ale o stopniu absurdalności poczynań PiS najdobitniej świadczy to, że najważniejszy konflikt dotyczył nieprzestrzegania przez tę partię polskiej konstytucji. To Unia stawiała zatem w obronie polskich obywateli.

PiS postawił na jednego sojusznika, czyli na Stany Zjednoczone. Tymczasem nikt nie zagwarantuje, że utrzymają one zaangażowanie w sprawy europejskie, bo perspektywa powrotu do władzy Donalda Trumpa jest realna. Taka polityka zagraniczna jest w długiej perspektywie fatalna.

Nawet to, co wydawało się pozytywne, czyli pomoc Ukrainie, zostało zepsute. Wiem, że i ukraińskie władze nie ustrzegły się błędów, ale doprowadzić do takiej eskalacji, że to, co było naszym atutem, zostało zmarnowane, to mistrzostwo świata. Powinniśmy mieć w niej sojusznika i przyjaciela; pomagać jej z całych sił, bo to leży także w naszym interesie.

Kolejny pomysł PiS na rządzenie będzie miał skutki długofalowe, a nowy rząd będzie się z tym zmagać i nie wiem, jak z tego wybrnie. W kampaniach wyborczych w czasach III RP partie oczywiście zawsze coś obiecywały, choćby poprawę warunków życiowych, ale do 2015 r. nigdy nie zdarzyła się oferta, jaką złożył PiS: „My wam damy pie-

niądze do ręki, ale oczekujemy od was głosów”.

To mechanizm, do którego społeczeństwo łatwo się przyzwyczaja. Będę głosował na te partie, które dadzą mi więcej. A te partie, by wygrać, przestają się zastanawiać, skąd te pieniądze pochodzą i jakie to będzie miało skutki dla przyszłości. To będzie trudno zmienić. Proszę zauważyć, że zarówno Koalicja Obywatelska, jak i Lewica stanęły do tej licytacji.

Wszyscy stanęli, Trzecia Droga też.

– Moim zdaniem w najmniejszym stopniu. Nie bez powodu poparł ją Leszek Balcerowicz, który takie licytowanie się na obietnice finansowe ostro potępia. Krytykował za to Tuska.

Trochę potrwa, zanim opozycja ulepi rząd, a to dopiero będzie początek. Jak odbić zawłaszczone instytucje? Jak rozliczać winowajców i zadośćuczynić skrzywdzonym? I jak rządzić? Demokraci przegrali osiem lat temu z populistami z PiS, bo stracili wrażliwość, słuch społeczny, patrzyli wąsko i partykularnie.

– Myślę, że odebranie PiS instytucji nie będzie tak trudne. Nie oglądam TVP, jednak z różnych relacji wiem, że następuje tam już zmiana, zaczął obowiązywać inny język. Ludzie, którzy pracują w instytucjach, w aparacie władzy, też widzą, co się dzieje. To może być proces rozłożony w czasie, ale nie mam wątpliwości, że jak powstanie rząd, to aparat państwowy zachowa lojalność i ludzie skompromitowani – niekompetencją, korupcją, służalczością, naginaniem prawa – stracą pracę.

ILUSTRACJA JACEK GAWŁOWSKI



Dwie sprawy uważam za najważniejsze: przywrócenie dobrych stosunków z UE i na-
prawę wymiaru sprawiedliwości. Politycy
wszystkich zwycięskich partii zdają sobie
sprawę, że w czasie, w którym żyjemy, Unia
nie może być słaba. Musi w każdej dziedzi-
nie umacniać swoją pozycję w coraz bar-
dziej niebezpiecznym świecie. Nie może po-
legać jedynie na USA. Oczywiście trzeba za-
dać pytanie, jak tę potęgę strukturalnie zbu-
dować. Jestem przywiązany do znaczącej
roli państw narodowych w konstrukcji UE.
Powrót do dobrych relacji z Unią jest oczy-
wistością, jestem pewien, że wszystkie koali-
cyjne ugrupowania będą prowadzić politykę
zagraniczną solidarnie.

Natomiast z wymiarem sprawiedliwo-
ści sprawa będzie trudniejsza, ale już sa-
mo to, że zmieni się minister sprawiedliwo-
ści, sprawi, że prokuratorzy nie będą w peł-
ni podporządkowani nominatowi politycz-
nemu. To istotna zmiana...

Zbigniew Ziobro zastawia jednak pułap-
kę – niedawno weszło w życie prawo prze-
widujące, że bez aprobaty prezydenta nie
można zmienić prokuratora krajowego,
a tym Ziobro mianował swego nominata.

– Nie jestem prawnikiem, lecz uważam, że
znajdzie się sposób, by sobie z tym poradzić.

Natomiast rozliczenia są konieczne. Na-
leży bezwzględnie ukarać ludzi, którzy zła-
mali prawo i naruszyli zapisy konstytucji.

Mam jednak nadzieję, że przyszły rząd
nie będzie brał rewanzu na zwykłych lu-
dziach, którzy popierali PiS, którzy ulegli re-
toryce patriotycznej czy też uwierzyli, że tyl-
ko prawica broni pamięci Jana Pawła II i je-
go roli w historii. Trzeba unikać też – mówię
to z perspektywy człowieka o poglądach
konserwatywnych i propaństwowych – ko-
lejnego ideologicznego przegięcia. Przez
osiem lat mieliśmy z nim ewidentnie do czy-
nienia. A w ostatnim czasie, gdy ministrem
edukacji był Przemysław Czarnek, człowiek
o radykalnych poglądach, a w dodatku źle
wychowany, to przegięcie osiągnęło apo-
geum. Niewątpliwie część polityków, którzy
doszli do władzy, a także część społeczeń-
stwa, które ich poparło, będzie się doma-
gała, żeby nastąpił przechyl w drugą stronę
– żeby szkołę czarnkowską zastąpić szkołą
indoktrynacji lewicowo-liberalnej. Uważam
to za niebezpieczne.

*Wygrana jest tak
zdecydowana, że w grę może
wchodzić jedynie
opóźnianie przejęcia władzy*

*Mam nadzieję, że przyszły
rząd nie będzie brał rewanzu
na zwykłych ludziach,
którzy popierali PiS*

Co pan ma na myśli?

– Atutem PiS było odwoływanie się do retory-
ki patriotycznej, godnościowej, do tradycji nie-
podległościowej, walki z komunizmem. Oczy-
wiście robili to wybiórczo i nierzetelnie, ale ten
zbiór idei oddziaływał na autentyczne emocje
i był wielu Polakom bliski. PiS konsekwent-
nie tworzył własną mitologię, pisał na nowo
historię Polski opartą na półprawdach. Duża
część polityków o liberalno-lewicowych pogląd-
ach tych spraw po prostu nie czuje. Przykro
mi to powiedzieć, ale takie są fakty. Dla mnie
namacalnym dowodem są obchody Narodo-
wego Dnia Pamięci „Żołnierzy Wyklętych”. Je-
go nazwa mi się nie podoba, ale uważam, że
samo święto jest potrzebne. Z inicjatywą je-
go powołania wystąpił Lech Kaczyński, a już
po jego śmierci pomysł zrealizował Bronisław
Komorowski. Z niesmakiem wspominam rok
2020 i wystąpienia Adriana Zandberga, Ro-
berta Biedronia, Włodzimierza Czarzastego,
którzy o partyzantach powojennego podzie-
mia powtarzali ohydne rzeczy wzięte wprost
z propagandy czasów stalinowskich, bo w go-
mułkowskich czy gierkowskich takich bredni
już nikt nie miał odwagi powtarzać.

**Mordy na ludności prawosławnej czy
Żydach dokonywane przez niektórych
członków powojennego podziemia są
jednak faktem.**

– Oczywiście nie wszyscy „żołnierze wyklęci”
byli bez skazy, lecz zdecydowana większość
była tragicznymi bohaterami. I tym kierow-
ali się obaj prezydenci, ustanawiając to święto,
poparte zresztą przez olbrzymią większość
sejmową. Tymczasem liderzy Lewicy nie za-
jąknęli się o pięknych, tragicznych i heroicz-

nych kartach powojennego podziemia, tyl-
ko dokonali uogólnienia, wykorzystując nie-
chlubne przypadki, które są w zdecydowa-
nej mniejszości.

Pamiętam też wystąpienie Biedronia,
który mówił, że we Wrocławiu powinien
być pomnik ofiar Jana Pawła II.

**Czy jednak słowa Biedronia nie wynikają
z grzechów samego Jana Pawła II? Można
mu zarzucić różne zaniechania. Papież
Polak nie podlega krytyce?**

– Ale krytyka wobec Jana Pawła II jest formu-
lowana – także na łamach „Gazety Wyborczej”
– przez zapiekłych antyklerykalnych publicy-
stów. Ukazują się książki w tym duchu. Tym-
czasem rzetelna ich krytyka, a pojawiła się ta-
ka m.in. w „Rzeczpospolitej”, dowiodła, że za-
rzuty nie miały uzasadnienia. Na tej antyko-
ścielnej fali postanowiła płynąć część liderów
Lewicy, niektórzy robili to z przekonania, in-
ni ze względów czysto koniunkturalnych. Dla
mnie to było oburzające. Na szczęście w kam-
panii z tego zrezygnowali.

**Pomija pan jednak rolę Kościoła, który
ukrywał sprawców czynów pedofilskich,
a jego zaangażowanie polityczne po stro-
nie PiS było ewidentne.**

– Za bardzo znam Kościół, żeby stosować ta-
kie generalne oceny. Oczywiście byli w Koście-
le ludzie, którzy nie zachowali się jak należy
w kwestii karania sprawców pedofilii. Ale by-
li i tacy, którzy ją demaskowali i piętnowali.
Także pod względem sympatii politycznych
Kościół nie jest jednolity. Są gorszące audycje
Radia Maryja, które de facto jest elementem
obozu władzy, ale są też zupełnie inni księża
i zupełnie inne zakony.

**Są też oburzające wypowiedzi hierar-
chów, na przykład biskupa Marka Jędra-
szewskiego.**

– Ale są też inni biskupi, na przykład Grzegorz
Rys, i to on awansuje w Kościele, a nie Jędra-
szewski. Uogólnienie, że Kościół w całości po-
szedł na współpracę z PiS, jest nieprawdziwe.

Cóż, jak pójdziemy w debacie publicznej
w tę stronę, to u części społeczeństwa szyb-
ko rozbudzimy emocje, które tak umiejętnie
wykorzystał PiS.

Pani Joanna Scheuring-Wielgus uzyskała
światny wynik wyborczy, lecz pamiętam jej
różne wypowiedzi w podobnym duchu jak
te Biedronia czy Zandberga. Bałem się szko-
ły Czarnka, ale powiem szczerze, że bałbym
się również szkoły, gdyby na czele resortu
edukacji stała pani Scheuring-Wielgus.

**Chyba pan jednak przesadza, lewica czy
liberałowie mówią raczej o szkole otwar-
tej, a nie zindoktrynowanej.**

– Inaczej to widzę. Szkoła powinna szanować
wybory ideowe rodziców, którzy mają prawo
decydować, w jakim duchu mają być eduko-
wane ich dzieci. Nie wszyscy podzielają war-
tości, którym hołduje pan Czarnek, tak jak nie
wszyscy dzielą wartości pana Zandberga.
W sprawie edukacji, ale też kultury, wahadło
musi się zatrzymać w punkcie równowagi.
To moim zdaniem kolejne niezwykle ważne
zadanie, od którego wiele zależy, na przykład
pojednanie Polaków.

Zdaję sobie sprawę, że radykalna lewi-
ca jest niezbędna do stworzenia rządu, ale,
proszę wybaczyć, nie zostałem wielbicie-
lem Włodzimierza Czarzastego ani jego po-
litycznych partnerów.

**Trzeba będzie jednak jakoś tę koalicję zle-
pić, wróci sprawa obalenia drakońskiego
prawa aborcyjnego. Tymczasem PKW
nie skończyła jeszcze liczyć głosów, a już
doszło do spięcia między Trzecią Droga
i Lewicą, kiedy Kosiniak-Kamysz zapo-
wiedział, że sprawy światopoglądowe nie
mogą być regulowane umową koalicyjną.**

– I ja też uważam, że absolutnie nie powinny
się w niej znaleźć. Trzeba tę sprawę pozost-
awić sumieniu posłów. Bardzo negatywnie oce-
niam decyzję Donalda Tuska, który od kandy-
datów KO wymagał opowiedzenia się za swo-
bodą przerywania ciąży do 12. tygodnia. Przez
wiele lat nie głosił takich poglądów i w tych
sprawach się w ogóle nie wypowiadał.

**Jest politykiem europejskim, w XXI-
wiecznej Europie prawo do aborcji jest
rzeczą oczywistą, a nie jakimś przywile-
jem.**

– Ja tak nie myślę, dla mnie chodzi po prostu
o życie innego człowieka. I czy się to komuś
podoba, czy nie, tak do tego podchodzi bar-
dzo wielu Polaków. Od lat zresztą spór na ten
temat toczy się również na świecie – w Sta-
nach Zjednoczonych, a także w Europie Za-
chodniej, którą pan przywołuje.

Na początku lat 90. XX w. klub Unii De-
mokratycznej w Sejmie w sprawie abor-
cji był niezwykle podzielony, ale nikomu do
głowy nie przyszło, żeby wprowadzać w tej
sprawie dyscyplinę partyjną. Pomysł, by dziś
coś takiego robić, jest aberracją. Dlatego
szacunek budzi to, że obaj liderzy Trzeciej
Drogi w sprawach światopoglądowych zo-
stawiają absolutną wolność swoim posłom.
Bo to wcale nie jest kwestia wiary czy reli-
gii, tylko właśnie sumienia. Żaden polityk nie
ma prawa czymś sumieniem zawładnąć.

Natomiast zgadzam się, że decyzja Try-
bunału Julii Przyłębskiej o zaostrzeniu usta-
wy aborcyjnej była niezwykle szkodliwa,
i jest dla mnie zrozumiałe, że spowodowa-
ła tak gwałtowne reakcje. W kwestii abor-
cji wahadło również powinno zatrzymać się
w punkcie równowagi.

Czyli gdzie?

– Dla mnie tym punktem jest powrót do zapi-
sów ustawy z 1993 r. Byłem jednym z trzech
posłów, którzy zgłosili poprawkę mówiącą
o trzech wyjątkach, gdy aborcja jest dopusz-
czalna. Jeden z nich wyrzuciła z ustawy wła-
śnie pani Przyłębska.

**Jaką pan widzi rolę dla Kaczyńskiego?
Ma silny klub w Sejmie, ale nie sposób nie
dostrzec erozji PiS.**

– Myślę, że to schyłek jego kariery politycz-
nej. Prawdę mówiąc, to on jest głównym ar-
chitektem przegranej w tych wyborach. Re-
toryka oskarżająca przeciwników politycz-
nych o zdradę narodową, ataki na Niemcy,
właściwie stawianie znaku równości między
nimi a Rosją Putina, to dla wielu potencjal-
nych wyborców PiS było jednak zbyt skraj-
ne. Znam historię niełatwych relacji między
Tuskiem a Kaczyńskim, ale to, co prezes PiS
wygadywał w kampanii o swoim przeciwni-
ku, to była już obsesja. Niestety, przeszła ona
także na premiera Mateusza Morawieckie-
go. W jego przypadku było to zresztą trochę
komiczne, gdyż w swoim czasie był przecież
doradcą Tuska.

**Kaczyński odpowiada nie tylko za poraż-
kę PiS, ale również za wszystkie niegodzi-
wości, jakich świadkami byliśmy przez
te osiem lat. Bez niego nigdy by się to całe
zło nie wydarzyło. Powinien ponieść za to
odpowiedzialność?**

– Naturalnie, jestem za rozliczeniem tego po-
lityka zgodnie z polskim prawem i konsty-
tucją. ●



FOT. RAFAŁ MALKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Aleksander Hall

• ur. w 1953 r., historyk, w czasach PRL
działacz opozycji, lider Ruchu Młodej Polski,
minister w rządzie Tadeusza Mazowieckiego
i poseł na Sejm, jeden z liderów prężnego
w latach 90. obozu konserwatywnego. Wykła-
dowca akademicki, pracuje w Wyższej Szkole
Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, autor
książek historycznych i politycznych, kawaler
Orderu Orła Białego

N A S Z A E U R O P A

„The New York Times”

INWAZJA NA GAZĘ?
FATALNA NIE TYLKO DLA IZRAELA

Z Izraela coraz częściej dochodzi komunikat: trzeba rozprawić się z Gazą „raz na zawsze”. Tymczasem trzy najbardziej niebezpieczne słowa na Bliskim Wschodzie to właśnie „raz na zawsze”.

Thomas L. Friedman*

Kiedy izraelska korespondentka „NYT” Isabel Kershner poprosiła niedawno 37-letniego dowódcę czołgu izraelskiej armii Szaja Lewiego o opisanie celu zbliżającej się izraelskiej inwazji na Strefę Gazy, powiedział on coś symptomatycznego, co przykuło moją uwagę. Powiedział mianowicie, że chodzi o „przywrócenie honoru Izraelowi”. „Obywatele liczą na to, że pokonamy Hamas i raz na zawsze usuniemy zagrożenie ze Strefy Gazy”.

Wpadło mi to w ucho, ponieważ przez lata nauczyłem się, że trzy najbardziej niebezpieczne słowa na Bliskim Wschodzie to „raz na zawsze”.

Wszystkie te ruchy islamistyczno-dżihadystyczne – talibowie, Hamas, ISIS, Al-Kaida, Palestyński Islamski Dżihad, libański Hezbollah, Huti w Jemenie – mają głębokie korzenie, kulturowe, społeczne, religijne i polityczne, w swoich społeczeństwach. Mają też dostęp do niewyczerpanych zasobów upokorzonych młodych mężczyzn, z których wielu nigdy nie miało pracy, poczucia sprawczości ani nawet nie było w związku z kobietą, a to wybuchowa mieszanka rodząca nieokiełznaną frustrację, która sprawia, że łatwo ich zmobilizować do siania chaosu.

I właśnie dlatego do dziś żaden z tych ekstremistycznych ruchów nie został wyeliminowany „raz na zawsze”. Można je jednak izolować, zmniejszać ich wpływy, delegitimizować i pozbawiać dowództwa – tak jak zrobiła to Ameryka z ISIS i Al-Kaidą. Wymaga to cierpliwości, precyzji, wielu sojuszników i oferowania alternatyw, które mają legitymację w społeczeństwach, w których wyrastają ci młodzi mężczyźni.

Pozwólcie więc, że powiem głośno i wyraźnie: zgadzam się z prezydentem Bidenem, który powiedział przed środową interwencyjną podróżą do Izraela, że byłoby „wielkim błędem”, gdyby Izrael „ponownie okupował Gazę”.

Uważam, że takie posunięcie mogłoby zmienić upokarzającą taktyczną porażkę Izraela doznaną z rąk Hamasu, która w dodatku obejmowała niewyobrażalne barbarzyństwo, w długoterminowy moralny i wojskowy kryzys strategiczny. Może on zamknąć Izrael w Strefie Gazy jak w pułapce bez wyjścia, wciągnąć USA w kolejną wojnę na Bliskim Wschodzie i podważyć trzy najważniejsze obecnie cele amerykańskiej polityki zagranicznej: pomoc Ukrainie w uwolnieniu się od rosyjskiej agresji i przyłączeniu się do Zachodu; powstrzymanie ekspansji Chin oraz ostateczne ukształtowanie proamerykańskiego bloku obejmującego Egipt, Izrael, umiarkowane kraje arabskie oraz Arabię Saudyjską, który mógłby stanowić przeciwwagę dla Iranu i walczyć z globalnym zagrożeniem generowanym nadal przez radykalny islam.

Jeśli Izrael wkroczy teraz do Strefy Gazy, podrze i wyrzuci do kosza porozumienia abrahamowe (normalizujące relacje Izraela z arabskimi umiarkowanymi sąsiadami), jeszcze bardziej zdestabilizuje dwóch najważniejszych sojuszników Ameryki w świecie arabskim (Egipt i Jordanię) i uniemożliwi normalizację stosunków z Rijadem – co będzie ogromnym strategicznym niepowodzeniem. Umożliwi to również Hamasowi prawdziwe rozpalenie Zachodniego Brzegu Jordanu, gdzie żydowscy osadnicy i Palestyńczycy będą się wzajemnie zabijać czym popadnie. W sumie będzie się to bezpośrednio wpisywać w strategię Iranu polegającą na wciągnięciu Izraela w ślepą imperialną pychę i osłabieniu w ten sposób żydowskiej demokracji od wewnątrz.

Strategicznym celem Iranu wobec Izraela zawsze było doprowadzenie do uwikłania tego kraju w chaos na Zachodnim Brzegu, wciągnięcie go w ponowną okupację południowego Libanu i, w najbardziej pożądanym dla siebie scenariuszu, skłonienie go do militarnego zajęcia Strefy Gazy. Wtedy Izrael byłby bowiem tak osłabiony ekonomicznie i militarnie, a przede wszystkim moralnie, tracąc stopniowo sympatię świata, że już nigdy nie mógłby zagrozić irańskiemu programowi nuklearnemu i mocarstwowym ambicjom ajatollahów.

Co powinien zrobić Izrael, aby atak, taki jak ten przeprowadzony w „czarną sobotę” przez Hamas, nigdy się nie powtórzył? Nie znam teraz odpowiedzi. Wiem tylko, że bez względu na to, jak brzmi właściwa od-

powiedź, na pewno nie jest nią mobilizacja 360 tys. strauatyzowanych izraelskich rezerwistów do rozpoczęcia wojny miejskiej w jednym z najgęściej zaludnionych miejsc na świecie. Zrujnuje to nie tylko gospodarkę Izraela, ale też jego międzynarodową pozycję.

Wszystkie te okoliczności muszą skłonić prezydenta Bidena do zaostrzenia stanowiska w sprawie tego kryzysu.

Netanjahu musi odejść

Biden musi wyciągnąć wnioski z przekonania, że Benjamin Netanjahu nie nadaje się do zarządzania tą wojną, gdyż nie jest już racjonalnym graczem. Po tak kolosalnej porażce najsukuteczniejszym, bo najbardziej jednoczącym ruchem, jaki mógłby zrobić Netanjahu, jest rozpoznanie nowych wyborów w Izraelu za sześć lub dziewięć miesięcy – i ogłoszenie, że on sam nie będzie kandydował. Netanjahu kończy swoją karierę polityczną, ale dopiero gdyby to przyznał, Izraelczycy mogliby ufać, że wszelkie decyzje, jakie podejmie w sprawie Gazy i Hamasu, będą miały na uwadze wyłącznie rację stanu Izraela.

Nie będzie bowiem wtedy miał na uwadze przede wszystkim własnego interesu, jakim jest uniknięcie więzienia w związku z zarzutami korupcyjnymi, co jak dotąd wymaga od niego utrzymywania ultraprawicowych szaleńców w swoim rządzie (którzy naprawdę fantazjują o ponownym zajęciu Strefy Gazy i budowie tam izraelskich osiedli). Nie będzie też zakładnikiem

■

Wystarczy zadać sobie jedno pytanie: gdyby Izrael ogłosił, że rezygnuje z pełnej inwazji na Strefę Gazy, kto odetchnąłby z ulgą, a kto byłby niezadowolony? Otóż Iran byłby tym sfrustrowany, Hamas czułby się zdruzgotany, bo cały jego plan spaliłby na panewce, a Putin musiałby zakorkować otwarte już szampany, gdyż Izrael nie zużywałby amunicji, którą USA muszą wysłać do Ukrainy

przekonania, że tylko błyskawiczne, wielkie, ale i tak krótkoterminowe zwycięstwo militarne, które mógłby przedstawić izraelskiemu elektoratowi jako rekompensatę za klęskę, uratuje jego polityczną karierę.

Jak zauważył jeden z najlepszych izraelskich ekspertów wojskowych Amos Harrel z „Haarec” na szczytach decyzyjnych w Izraelu mamy do czynienia z niezwykle niebezpieczną kombinacją.

„Z jednej strony mamy premiera niezadowolonego do poradzenia sobie z tą w dużej mierze wygenerowaną przez siebie sytuacją – niemal szekspirowską postać, która stoi w obliczu haniebnego zakończenia skądinąd błyskotliwej kariery. Obok zaś stoi generalicja, zawstydzona i tkwiąca w głębokim poczuciu winy (szkoda, że Netanjahu nie poczuwa się do choćby ułamka tej winy). To nie jest idealny koktajl, jeśli oczekujemy podejmowania przemyślanych decyzji”.

Gdyby Izrael ogłosił dziś, że na razie zdecydował się zrezygnować z inwazji na Strefę Gazy i poszuka bardziej chirurgicznych sposobów na wyeliminowanie lub schwytanie przywódców Hamasu, próbując jednocześnie zorganizować wymianę ponad 150 zakładników przetrzymywanych przez Hamas, nie tylko uniknąłby dalszej traumatyzacji własnego społeczeństwa oraz palestyńskich cywilów w Strefie Gazy, ale także dałby Izraelowi i jego sojusznikom czas na zastanowienie się, jak zbudować – z Palestyńczykami – legalną alternatywą dla Hamasu.

Takie posunięcie przyniosłoby Izraelowi poparcie na całym świecie i pozwoliłoby światu zobaczyć Hamas takim, jakim jest: jako palestyński wariant ISIS.

„W dzisiejszym świecie wszystko, co dzieje się na wojnie, może zostać wypaczone w sferze informacyjnej, więc bitwa o narrację ma takie samo znaczenie jak bitwa na polu walki – uważa John Arquilla, wykładowca strategii w Naval Postgraduate School. – Jeśli Izrael przesadzi z reakcją w Strefie Gazy, nadwątlą to wszelkie dobre uczucia świata wobec tego państwa – a to jest wielki cel Hamasu. Izrael wnosi do naszej cywilizacji tak wiele, tak wiele ma też wciąż do zaoferowania w przyszłości, że ryzykowanie tego wszystkiego w akcie zemsty lub gniewu, który i tak nie zmienia zasadniczo jego strategicznych dylematów, jest wyjątkowo nierozsądne”.

Nie da się bez partnera po stronie palestyńskiej

Ale gdyby Izrael mimo wszystko zdecydował, że musi wkroczyć do Strefy Gazy, aby schwycić i zabić przywódców Hamasu, nie może tego zrobić, zanim nie znajdą się palestyńscy liderzy ze społecznym manda-

NASZA EUROPA

tem, którzy będą gotowi zastąpić władzę Hamasu. Jeśli bowiem Izrael zostanie uwikłany w długotrwałą okupację Gazy, każdy dzień, w którym nie ma tam wody pitnej ani prądu, a zamiast tego są głód i choroby, będzie winą każdego Izraelczyka, a nawet każdego Żyda na świecie. Czy Izrael jest gotowy na przyjęcie na barki takiego ciężaru?

Chociaż Biden ma rację, wspierając Izrael, musi uzyskać jasne odpowiedzi od Netanjahu teraz, zanim będzie za późno. Gdy Izrael zniszczy Hamas, kto będzie rządził Strefą Gazy? Jeśli Izrael zamierza rządzić Strefą Gazy, to czy zapłaci za odbudowę infrastruktury, którą niszczy? A jeśli nie, to kto to zrobi? Jak długo Izrael zamierza pozwolić na rozwój kryzysu humanitarnego w południowej Gazie? Czy Izrael planuje budowę osiedli w Strefie Gazy? Czy Izrael respektuje granice Gazy? Czy ma plan pomocy w odbudowie Autonomii Palestyńskiej na Zachodnim Brzegu?

Autonomia Palestyńska pod rządami prezydenta Mahmuda Abbasa jest słaba, skorumpowana i coraz bardziej nieskuteczna; nie jest w stanie zarządzać Zachodnim Brzegiem, nie mówiąc już o Gazie – tego właśnie zresztą chciał Netanjahu, aby zawsze móc powiedzieć, że nie ma żadnego partnera do rozmawiania o pokoju.

Oczywiście to nie wszystko wina Netanjahu. Palestyńczycy też mają swoje za uszami, a korupcja tolerowana przez Autonomię Palestyńską i fakt, że Abbas wygnał najskuteczniejszego lidera, jakiego kiedykolwiek miał, byłego premiera Salama Fajjada, jest również czynnikiem generującym kryzys – o czym każdy przyjaciel Palestyńczyków powinien głośno mówić, a nie wyłącznie obwiniać Izrael.

Jeśli jednak Izrael chce zastąpić kimś Hamas w Strefie Gazy, musi całkowicie przemyśleć swoje stosunki z Palestyńczykami na Zachodnim Brzegu, a tym samym z całym żydowskim ruchem osadniczym. Jeśli to radykalny ruch osadniczy nadal będzie ustalał, co jest dopuszczalne w izraelskiej polityce, znad Zachodniego Brzegu nadciągnie kolejna katastrofa.

Zmierzam do tego, że wystarczy zadać sobie jedno pytanie: gdyby Izrael ogłosił dziś, że na razie rezygnuje z pełnej inwazji na Strefę Gazy, kto odetchnąłby z ulgą, a kto byłby niezadowolony? Otóż Iran byłby tym sfrustrowany, Hezbollah – rozczarowany, Hamas czułby się zdruzgotany, bo cały jego plan spaliłby na panewce, a Władimir Putin musiałby zakorkować otwarte już szampany, gdyż Izrael nie zużywałby amunicji i broni, którą USA muszą wysyłać do Ukrainy. Natomiast osadnicy na Zachodnim Brzegu byłiby wściekli.

W tym czasie rodziny każdego izraelskiego żołnierza i każdego zakładnika odczułyby ulgę, każdy Palestyńczyk w Strefie Gazy, dziś kryjący się przed krzyżowym ogniem, odczułby ulgę, każdy przyjaciel i sojusznik Izraela na świecie – począwszy od Joego Bidena – odczułby ulgę. ●

tłum. Łukasz Grzymiśławski
© 2023 The New York Times Company

***Thomas L. Friedman**
– jeden z najbardziej wpływowych komentatorów w USA, trzykrotny laureat Pulitzera, publicysta „NYT”, w przeszłości korespondent wojenny m.in. na Bliskim Wschodzie

Jaki wybór ma Izrael

Hamas chce być jak Al-Kaida

Uderzając na Strefę Gazy „bez względu na koszty”, Izrael spełni nadzieje Hamasu. Analogia z 11 września zaczyna być coraz bardziej adekwatna i coraz bardziej niepokojąca.

Robert Stefanicki

Od dwóch tygodni eksperci od Bliskiego Wschodu i terroryzmu zachodzą w głowę, co chciał osiągnąć Hamas, dokonując bestialskiej napaści na izraelskich cywilów. Jedna z teorii sugeruje, że sytuacja wymknęła się spod kontroli, że zapalczywi młodzieńcy po wtargnięciu na teren wroga dali się ponieść pierwotnemu, morderczemu instynktowi, że chcieli porwać dwóch Izraelczyków, ale porwało im się 200. To mało prawdopodobne. Atak miał taką skalę, że musiano go długo planować i brać pod uwagę łatwe do przewidzenia konsekwencje.

Izraelczycy mówią, że 7 października to ich 11 września, porównując napasć Hamasu do ataków Al-Kaidy na USA 22 lata wcześniej. Hamas też może tak to widzieć. Jest prawdopodobne, że świadomie postanowił pójść w ślady Al-Kaidy.

Osama ben Laden zaatakował Amerykę, żeby sprowokować odwet i wywołać wojnę amerykańsko-arabską. Poniekąd mu się to udało, choć nie mógł przewidzieć, że rozochocona administracja G.W. Busha zechce z nim „współpracować” do tego stopnia, że najedzie Irak pod zmyślonym pretekstem. To dopiero wywołało wojnę, o jakiej marzył szef Al-Kaidy. Współzucie dla Amerykanów po 11 września wyparowało. Radykałom udało się zmobilizować setki tysięcy bojowników i dziesiątki grup zbrojnych na całym świecie, by przez prawie dwie dekady walczyli z niewiernym Zachodem pod przywództwem USA. Dżihadysty przegrali – choć nigdy nie przegrają całkowicie, tak jak nigdy nie uda się wypłenić terroryzmu – lecz na przegraną byli od początku skazani i musieli mieć tego świadomość. Atak Al-Kaidy na USA był zamachem samobójczym pod każdym względem: najpierw w porwanych samolotach zginęli zamachowcy, potem życie tracili kolejni członkowie terrorystycznej międzynarodówki włącznie z przywódcami. Musieli wiedzieć, że tak będzie, lecz ich to nie powstrzymało.

Miarą sukcesu czy porażki rewolucji nie jest przeżywalność ich przywódców. Al-Kaida nie poniosła klęski, to raczej zwycięstwo USA było pyrrusowe. Największe mocarstwo przez 20 lat było zajęte gaszeniem pożaru wznieconego przez jednego saudyjskiego biznesmena. Wydano na to biliony dolarów. Zginęły tysiące Amerykanów i setki tysięcy obywateli innych państw. Idea dżihadyzmu, po inwazji na Irak podchwycona przez Państwo Islamskie, zakazała umysły niczym nowotwór i zawsze będzie stanowić zagrożenie. W krajach rozwijających się, zwłaszcza muzułmańskich, USA straciły wiele powabu kulturowego i resztki zaufania. W Ameryce państwo prawa uległo erozji wraz z „czarnymi dziurami”, gdzie torturowano domniemanych terrorystów, więzieniem Guantanamo, gdzie od 22 lat trzyma się ich bez wyroku, oraz bombardowania-

mi z dronów, w których ginęli zarówno zbrojni, jak i cywile.

Co to ma wspólnego z Izraelem? Bardzo dużo. Hamas dokonał samobójczego w istocie ataku, pragnąc zrobić Izraelowi to, co Al-Kaida zrobiła Ameryce. Sprowokować brutalny odwet, który na długo pogrzebie proces normalizacji stosunków państwa żydowskiego z państwami arabskimi. I przyciągnie do walki z Izraelem rzesze nowych rekrutów.

Na razie Izrael „współpracuje”. Liczba ofiar nalotów na Strefę Gazy w kilka dni prześcignęła liczbę ofiar ataku Hamasu. Obrazy rodzin wśród gruzów, rozpaczających matek, uchodźców donikąd – bo żadne państwo ich nie chce wpuścić, a w Strefie żadne miejsce nie jest bezpieczne – powoli zacierają obrazy zbrodni dokonanych przez Hamas. Jeszcze tylko przez wzgląd na ukrywanych w Gazie zakładnikach podtrzymywany jest płomień współzucia dla Izraela.

Zaatakowany naród ma prawo wziąć odwet na napastnikach, jednak powinien chronić cywilów, w tym izraelskich zakładników, nawet kosztem tego, że zemsta się opóźni – ale czy i tak nie smakuje lepiej na zimno?

Nie jest to jedynie kwestia moralności i prawa, lecz imperatyw strategiczny

Izrael jest w trudnej sytuacji. Nie może nie odpowiedzieć na atak, który brutalnością wyróżnia się nawet w historii terroryzmu. Hamasowcy mordowali niemowlęta, kobiety i starców, gwałcili i porywali. Ostatnio tyle ludzi Izrael stracił podczas wojny Jom Kippur w 1973 r., ale jest różnica: 2656 Izraelczyków, którzy wówczas zginęli, było żołnierzami.

Jest jednak jeszcze jedna istotna różnica w porównaniu z sytuacją sprzed pół wieku. Wtedy Izrael został zaatakowany przez armie sąsiednich krajów i walczył o przetrwanie. Nie miał wyboru i czasu, by myśleć o niuansach. Tymczasem Hamas nie zagraża egzystencji Izraela jako państwa ani narodu, a porównania do Holocaustu to jednak emocjonalna retoryka.

Oburzenie i chęć zemsty są zrozumiałe. Według ministra obrony Jo'awa Galanta celem Izraela jest „zetrzeć Hamas z powierzchni ziemi”. Rzecznik izraelskiego MSZ wezwał do „całkowitego i jednoznacznego pokonania wroga za wszelką cenę”.

W tym miejscu warto wziąć głęboki oddech i zapytać, kto miałby tę wszelką cenę zapłacić. Hamas? Nie ma wątpliwości, że zbrodniarze zasługują na śmierć. Niestety, Hamasu nie da się oddzielić od cywilnych mieszkańców Gazy. Hamas można zetrzeć z powierzchni ziemi tylko razem z całą Strefą. To

jednak spowoduje reakcje w świecie muzułmańskim. Czy Izraelczycy są gotowi tę cenę zapłacić?

„Mówi się, że nadzieja nie jest strategią – i gniew też nią nie jest” – pisze Audrey Kurth Cronin w tekście „Jak Izrael może wygrać” zamieszczonym na łamach „Foreign Affairs”. Amerykańska ekspertka od terroryzmu apeluje, by zemsty nie stawiać ponad logiką. „Zamiast po prostu reagować, Izrael musi dokonać trudnych wyborów strategicznych i politycznych nie dlatego, że jest słaby, ale dlatego, że jest silny. Jak przekonały się USA po atakach z 11 września 2001 r., reakcja rządu na poważny atak terrorystyczny może wyznaczyć trajektorię rozwoju kraju na dziesięciolecie”.

Represje są naturalną reakcją na terroryzm, a rządy w każdej części świata je stosują, zanim nauczą się skuteczniejszych strategii. Ale represje sprawdzają się najlepiej tam, gdzie można oddzielić członków grup terrorystycznych od szerszej populacji. Inaczej pociągają za sobą ogromne koszty również dla strony, którą je stosuje. Zwłaszcza jeśli jest to kraj demokratyczny. Terroryzm stanowi ogromne wyzwanie dla demokracji, ponieważ jest zaproszeniem do wojny, a wojna demokrację niszczy. Kraj, który przez ostatni rok żył protestami przeciwko niszczeniu demokracji (chodziło o zamach na niezależne sądownictwo dokonywany przez rząd Beniamina Netanjahu), powinien mieć to na uwadze.

Izrael zarządził oblężenie Gazy, odcinając dostawy prądu, żywności i wody, nie zważając na skutki dla ogromnej większości mieszkańców, którzy nie mają nic wspólnego z Hamasem. Nakazał 1,1 mln ludzi ewakuację na południe i szykuje się do inwazji lądowej, ryzykując katastrofę humanitarną na pełną skalę. W stronę rakieta trafiła szpital w Gazie, zabijając nawet 500 Palestyńczyków. Według rozmowy telefonicznej liderów Hamasu przechwyconej przez Izrael ta rakietą należała do Islamskiego Dżihadu, ale następna może być izraelska – tak było podczas poprzednich wojen, oskarżenia o zbrodnie na cywilach były obustronne.

Nie da się argumentować, że skoro terroryści palestyńscy zaatakowali izraelskich cywilów, to izraelska armia może nie zważać na cywilów palestyńskich. Następnym razem ktoś w ten sposób uzasadni zabijanie izraelskich niemowląt. Koło nienawiści i przemocy będzie się kręcić coraz szybciej. Izrael, uwikłany w niekończący się konflikt, dobrze wie, jak to działa. Zaatakowany naród ma prawo wziąć odwet na napastnikach, jednak powinien chronić cywilów, w tym izraelskich zakładników, nawet kosztem tego, że zemsta się opóźni – ale czy i tak nie smakuje lepiej na zimno?

Nie jest to jedynie kwestia moralności i prawa, lecz imperatyw strategiczny. Jeśli celem kampanii są wszyscy mieszkańcy Gazy, Izrael ryzykuje katastrofalną porażkę. Hamas będzie wykrywawiany w nalotach, lecz na poziomie ideologicznym będzie rósł. W oczach opinii publicznej, zwłaszcza muzułmańskiej, przemieni się w ofiarę. Nawet jeśli zostanie „całkowicie zniszczony”, może się odrodzić w innej formie, tak jak Państwo Islamskie zastąpiło Al-Kaidę. ●

• Izraelscy czołgiści w pobliżu granicy ze Strefą Gazy, 11 października

FOT. OHAD ZWIGENBERGAP



• Ranni Palestyńczycy w szpitalu Al-Shifa w Gazie przeniesieni tu po wybuchu w szpitalu Al-Ahli, 17 października 2023 r.
FOT. ABED KHALED/AP

BIDENOWI ROZSYPAŁY SIĘ PUZZLE

„Nie sądziłem, że kiedyś zobaczę zdjęcia, na których terroryści ucinają dzieciom głowy” – powiedział prezydent. Okazało się, że takich zdjęć nie ma.

Maciej Jarkowiec

Opisując barbarzyństwo ataku Hamasu na Izrael z 7 października, dziennikarka CNN opowiadała o matce, która idąc spaloną ulicą, niosła na ramionach dwa niemowlęta. Każde z nich miało dziurę na samym środku czoła, z której wyciekała krew. Zostały zabite precyzyjnym strzałem z bliskiej odległości, w egzekucji. Odwet Izraela też jest barbarzyński. Organizacje humanitarne mówią, że Izrael stosuje odpowiedzialność zbiorową. Według danych strony palestyńskiej w ciągu kilku dni w bombardowaniach zginęło ok. 3 tys. osób, w większości cywilów. Dla porównania: po 17 miesiącach wojny w Ukrainie liczba ofiar cy-

wilnych według szacunków ONZ wynosi 9-10 tys. Gdy ten tekst szedł do druku, Izrael ostrzałami blokował przejście do Strefy Gazy z egipskiego Rafah, którym mogłyby przejechać ciężarówki z pomocą humanitarną dla społeczności umierającej bez wody, żywności i leków.

Sekretarz stanu USA Antony Blinken po dziewięciu godzinach negocjacji ogłosił, że uzgodniono plan wpuszczenia pomocy do Gazy, ale komunikat nie zawierał konkretów. Niedługo później rakiety spadły na szpital w Gazie, zabijając kilkaset osób. Izrael utrzymuje, że były to zbłąkane pociski organizacji Islamski Dżihad. Palestyńczycy wskazują na siły zbrojne Izraela prowadzące ostrzał w rejonie, w którym znajduje się szpital. Przypominają, że Izrael kampanię ostrzału szpitali prowadził już 2014 r. – domagał się ewakuacji wszystkich, utrzymując, że skrywają się w nich bojownicy.

W środę prezydent Joe Biden wylądował w Tel Awiwie. Lada chwila miała się rozpocząć izraelska ofensywa lądowa w Gazie. Iran zapowiadał przystąpienie do konfliktu. Zadaniem Bidena było nakłonić Izrael do otwarcia przejścia w Rafah dla pomocy humanitarnej, wymusić na sojuszniku ochronę cywilów w czasie wojny i przede wszystkim nie dopuścić do rozlania się wojny na cały region.

AMERYKAŃSKA „WOJNA BEZ ŚLADÓW”

Kilkanaście godzin po ataku Hamasu sekretarz obrony Lloyd Austin wydał rozkaz wysłania do wschodniej części basenu Morza Śródziemnego okrętu USS „Gerald R. Ford”, najnowocześniejszego z floty 11 amerykańskich lotniskowców. Do wybrzeży Izraela zmierzał też USS „Dwight D. Eisenhower”. Lotniskowce odgrywają kluczową rolę w operacjach amerykańskiej marynarki i służą do demonstrowania siły. Rzadko zdarza się, aby do regionu, w którym USA formalnie nie prowadzą wojny, zostały wysłane dwa jednocześnie. Łącznie lądowiska „Ford” i „Eisenhowera” mogą pomieścić 135 myśliwców. Poza nimi w regionie znajdzie się osiem innych okrętów wojennych i 12 tys. osób obsługi wojskowej i cywilnej, w tym 2,2 tys. marines, żołnierzy piechoty morskiej. Dodatkowo Austin uruchomił procedurę, zgodnie z którą 2 tys. żołnierzy pozostaje w gotowości wyruszenia na Bliski Wschód w każdej chwili. Waszyngton zapewnia, że cel mobilizacji jest wyłącznie odstraszający. USA są zdeterminowane, aby konflikt nie rozszerzył się na państwa ościennie.

„Bliski Wschód ma tę właściwość, że wypycha się na sam szczyt listy największych problemów każdego prezydenta” – pisze Suzanne Maloney, wiceszefowa think tanku Brookings Institution. W ostatniej dekadzie obserwowano schyłek tej reguły. Ocenio-

ne jako pośpieszne i nieudolne wycofanie przez Bidena wojsk z Afganistanu można było uznać za symboliczny koniec amerykańskiej obecności w regionie (na potrzeby geopolityki leżący w Azji Środkowej Afganistan zaliczany jest do strefy Większego Bliskiego Wschodu).

Jednak odwrót był pozorny – 20 lat po rozpoczęciu wojny w Iraku i 12 lat po jej formalnym zakończeniu nadal przebywa tam 2,5 tys. amerykańskich żołnierzy. Amerykanie mają niemal 1 tys. wojskowych w Syrii, prawie 3 tys. w Jordanii i podobną liczbę w Arabii Saudyjskiej. W lipcu zeszłego roku Biden opublikował tekst w „Washington Post”, w którym stwierdził, że jako pierwszy prezydent od czasu ataków terrorystycznych z 11 września 2001 r. odwiedzi Bliski Wschód w czasie, kiedy USA nie prowadzą tam żadnej misji bojowej. W tych samych godzinach amerykański dron zabił w Syrii wysokiego rangą dowódcę Państwa Islamskiego, a „New York Times” donosił, że wzrasta liczba tajnych operacji amerykańskich służb opatrzonych sygnaturą „127e”. W ostatnich latach przeprowadzano je w co najmniej 12 krajach, m.in. w Syrii, Jemenie, Iraku, Tunezji czy Libii. Są one częścią strategii, jaką Katherine Yon Ebright z progresywnego instytutu badawczego Brennan Center for Justice nazwała „wojną bez śladów”. W czerwcu Dana Stroul z De-

partamentu Obrony, doradczyni Austina do spraw Bliskiego Wschodu, przyznała, że faktyczna liczebność amerykańskich sił w regionie sięga ok. 30 tys.

USA są też tam obecne jako żelazny sojusznik Izraela. W marcu Biuro Badań Kongresu (Congressional Research Service) podało, że łączna pomoc wojskowa dla tego kraju od 1948 r. wyniosła 158 mld dol. Ostatnia umowa na lata 2019-28 opiewa na 38 mld dol. W styczniu odbyły się największe w historii wspólne manewry wojskowe 6,5 tys. żołnierzy amerykańskich i 1,5 tys. izraelskich. Izrael jako pierwszy kupił – w dużej mierze z amerykańskich grantów – 50 myśliwców F-35 piątej generacji, najnowocześniejszych samolotów bojowych na świecie. Z wydatną pomocą USA (1,6 mld dol. w latach 2011-21) powstał też i działa system obrony powietrznej Żelazna Kopuła.

WYKARMIONE CHINY

Powyższe nie zmienia tego, że po erze wojny z terrorem rozpoczętej przez Busha juniora i kontynuowanej przez Obamę zarówno liczba amerykańskich wojsk na Bliskim Wschodzie, jak i znaczenie regionu w amerykańskiej polityce zagranicznej spadły.

Dziś wieloletnie wojny w Afganistanie i Iraku, które pochłonęły 300 tys. ofiar, głównie cywilnych, postrzegane są przez strategów jako dziejowy błąd. Ameryka utopiła w nich biliony dolarów, a skoncentrowanie tam środków, ludzi i uwagi strategicznej przyczyniło się do tego, że przegapiony został militarny wzlot Chin. Zresztą to w dużym stopniu USA wykarmiły swojego dzisiejszego największego rywala przyjazną polityką handlową. To chiński eksport, którego Stany były największym odbiorcą, dawał wzrost, pozwolił Chinom na skok cywilizacyjny i obudził ich mocarstwowe ambicje. Gdy w 2001 r. – tym samym, w którym dżihadyści zaatakowali Amerykę – Pekin zapisał się do Światowej Organizacji Handlu, 80 proc. krajów miało większą wymianę handlową z USA niż z Chinami. W 2018 r. ten stosunek się odwrócił. Dziś Chiny są najważniejszym partnerem handlowym dla 120 krajów świata, w tym kluczowych graczy na Bliskim Wschodzie. Rośnie ich siła dyplomatyczna w regionie. W maju Pekin doprowadził do wznowienia stosunków między Iranem a Arabią Saudyjską.

Również Rosjanie po długiej nieobecności od czasu przegranej w Afganistanie (1979-89) na nowo zadomowili się w regionie. Ich interwencja w wojnie domowej w Syrii ocaliła reżim zwalczanego przez USA Baszara al-Asada i dała Moskwie propagandowe paliwo do ogłoszenia powrotu na pozycję pośród mocarstw. Jednocześnie Putin konsekwentnie zacieśniał kluczewy dla geopolitycznej rozgrywki sojusz z Iranem.

SOJUSZ WROGÓW

Tymczasem Amerykanie układali swoje dyplomatyczne puzzle, które – jak przyznał niedawno Jake Sullivan, doradca Bidena ds. bezpieczeństwa narodowego – miały zapewnić względną stabilność i zabezpieczenie ich interesów, tak aby mogli się skupić na zagrożeniu ze strony Chin w Azji Wschodniej i ze strony Rosji w Europie.

Najpierw administracja Trumpa doprowadziła do podpisania przelomowych umów między Izraelem a Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi, Bahrajnem, Sudanem i Marokiem, nazwanych porozumieniami abrahamowymi. Biden kontynuował tę strategię, angażując służbę zagraniczną w proces pokojowy między Izraelem a Arabią Saudyjską. Częścią negocjowanej umowy miała być zgoda USA na rozpoczęcie przez Saudów cywilnego programu wzbogacania uranu na potrzeby energetyki. Eksperci od proliferacji broni jądrowej bili na alarm, ostrzegając, że taki układ doprowadzi do nuklearnego wyścigu zbrojeń między Arabią a Iranem. Iran dostał w tej sprawie

list od 27 wybitnych i wybitnie zaniepokojonych naukowców, ale niezrażony brnął dalej w układ. Jego podpisanie miało być największym sukcesem w polityce zagranicznej ogłoszonym w czasie kampanii wyborczej. Sygnowany przez Amerykę sojusz odwiecznych wrogów dałby też odpowiedź na rosnącą pozycję Chin w regionie.

PUZZLE Z AJATOLLAHAMI

Inna ważną częścią układanki był Iran. Po tym jak Trump wyprowadził USA z międzynarodowego porozumienia nuklearnego, państwo ajatollahów przyspieszyło prace nad produkcją bomby. Negocjatorom wysłanym przez Bidena przez rok rozmów nie udało się nakłonić reżimu do wznowienia umowy. Waszyngton uciekł się więc do negocjowania nieoficjalnych ustnych porozumień. W zamian za złagodzenie sankcji Teheran obiecał nie wzbogacać uranu powyżej 60 proc. (do wyprodukowania bomby atomowej potrzebny jest uran wzbogacony w 90 proc.), a także zaprzestać ataków na amerykańskich kontraktorów w Iraku i Syrii. Ustalono też wymianę więźniów przetrzymywanych w amerykańskich i irańskich więzieniach. Doszło do niej miesiąc temu, a żeby ją przeprowadzić, Waszyngton zgodził się, aby Iran odzyskał 6 mld dol. zamrożonych w wyniku sankcji w Korei Południowej.

Gdy wydawało się, że wszystkie klocki układanki znalazły właściwe miejsce, Jake Sullivan udzielił wywiadu, w którym stwierdził: „Na Bliskim Wchodzie jest dziś spokój, jakiego nie było tam od dwóch dziesięcioleci”. Osiem dni później Hamas napadł na Izrael.

NIE MIELIŚMY TEGO NA RADARZE

Gambit się nie udał i dziś USA śnią na jawie koszmar kolejnego zaangażowania w rzeź na Bliskim Wschodzie. „Wojna bez śladów” zamienia się w wojnę śledzoną przez cały świat w telewizorach. Jak pisze Suzanne Maloney z Brookings Institution, jeśli Izrael zdecyduje się na zapowiadaną lądową ofensywę w Strefie Gazy, wojna niemal na pewno rozszerzy się na inne terytoria: „Jedynę pytanie brzmi – jak szybko i w jakiej skali”.

Dlatego główny, niewerbalizowany w mediach cel wizyty Bidena w Tel Awiwie był jeden: przekonać Izrael do zaniechania inwazji. USA chcą, aby Izrael skupił się na mierzonych, precyzyjnych atakach na pozycje Hamasu i jasno określił cel operacji odwetowej. Gdy ten tekst szedł do druku, nie było wiadomo, czy misja się powiodła.

Wiadomo za to, że klęskę poniosła amerykańska strategia zapoczątkowana przez Trumpa i kontynuowana przez Bidena.

„Nie mieliśmy tego na radarze” – przyznał anonimowo w NBC wysoki oficer amerykańskiego wywiadu, komentując fakt, że izraelskie i amerykańskie służby zostały zaskoczone atakiem Hamasu. Jego słowa mają szersze znaczenie. Dyplomatyczna rozgrywka budująca nowe sojusze między państwami arabskimi a Izraelem miała jedną zasadniczą wadę – zupełnie pomijała kontekst Palestyny. Słoń, jakim jest konflikt Palestyńczyków z Izraelem i nierozwiązana kwestia palestyńskiego państwa, tak długo siedział w pokoju, że amerykańscy stratedzy przestali go zauważać. „To zaniedbanie doprowadziło do tego, co dziś oglądamy” – powiedział Khaled Elgindy, były doradca palestyńskich negocjatorów w rozmowach z Izraelem, dziś ekspert waszyngtońskiego ośrodka Middle East Institute.

Również szlachetny w zamierzeniu wysiłek nad pojednaniem saudyjsko-izraelskim okazał się zgubny. Taki sojusz zagrazałby Iranowi, i to właśnie najprawdopodobniej w porozumieniu z Teheranem Hamas przygotował operację. W jej pierwszych godzinach Waszyngton próbował ratować sytuację, błagając Saudów, aby potępił rzeźnicki napad. Jednak Rijad milczał. „Nie mamy bliskich związków z Hamasem, ale nie możemy być ślepi wobec wieloletniej blokady

Strefy Gazy i działań Izraela na Zachodnim Brzegu” – powiedział Reutersowi anonimowy saudyjski oficjel. Dziś, po morderczym kontrataku Izraela, porozumienie wydaje się skazane na klęskę.

Jeśli powtórzą się niewyjaśnione ostrzały szpitali i masakra ludności cywilnej, umowy Izraela z innymi państwami arabskimi też będą zagrożone.

Tymczasem w Stanach triumfują jastrzębie. Z ich perspektywy odblokowane 6 mld dol. pomogło jakoby Teheranowi domknąć operację wsparcia dla Hamasu. Silna republikańska frakcja zwolenników siłowego rozprawienia się z Iranem przemówiła głosem senatora Lindseya Grahama: „Jak wiele jeszcze śmierci i zniszczenia z rąk ajatollahów znisze świat, zanim zapłacą cenę. Jeśli to oni stoją za operacją Hamasu, w której zginęli Amerykanie, uzasadniona jest interwencja wojskowa w celu zapobieżenia dalszej agresji”.

ŚMIERĆ SZEŚCIOŁATKA WADEI AL-FAYOUME

Departament stanu potwierdza, że w ataku Hamasu w Izraelu zginęło co najmniej 29 Amerykanów. Trzydziestą amerykańską ofiarą nowej wojny jest Wadea al-Fayoume

W Pekinie Putin i Xi Jinping ogłosili, że odpowiedzią na globalne zagrożenia będzie coraz silniejszy sojusz Chin i Rosji

z Bridgeview na przedmieściach Chicago, którego zdjęcie – uśmiechniętego sześciolatka w kraciatej koszuli i kapeluszu z napisem „Happy birthday” – obiegło świat. Jego matka, Palestynka, 12 lat temu z uciekła do Ameryki z Zachodniego Brzegu. W ubiegłą sobotę do ich drzwi zapukał 71-letni Joseph Czuba, od którego wynajmowali mieszkanie. Wszedł, wyciągnął wojskowy nóż. Wadea al-Fayoume został dźgnięty 26 razy i poniósł śmierć. Matka chłopca, której napastnik zadał kilkanaście ciosów, w ciężkim stanie przebywa w szpitalu. W czasie ataku Czuba krzyczał: „Śmierć wszystkim muzułmanom”. Wstępne ustalenia prokuratury wskazują, że do napadów skłoniła go audycja w jednej z konserwatywnych stacji radiowych.

Uroczystości pogrzebowe zgromadziły tłumy pod palestyńskimi flagami skandujące: „Wolna Palestyna”. Postawiono elektronicznie banery ze zdjęciem Wadei i hasłem: „Dehumanizacja wskutek propagandy prowadzi do zbrodni nienawiści”. Krewni chłopca i przyjaciele rodziny mówili dziennikarzom o żalu, jaki mają do Bidena. W jednym z pierwszych wystąpień po ataku Hamasu prezydent powiedział: „Nie sądziłem, że kiedyś zobaczę zdjęcia, na których terroryści ucinają dzieciom głowy”. Szybko okazało się, że takich zdjęć nie ma, a informacja o dekapitacjach pochodzi z wypowiedzi rzecznika izraelskiego rządu.

Ta zbrodnia jest znakiem wielu zjawisk zachodzących w amerykańskim społeczeństwie: zmian demograficznych, wzbierającej nienawiści na tle etnicznym, dezinformacji i propagandy szerzonych w mediach i internecie.

Zmienia się też krajobraz polityczny w Stanach, co wpływa na nowe interpretacje konfliktu palestyńsko-izraelskiego. Z jednej strony radykalna prawica przyczynia się do paranoi, jaka udzieliła się Czubie. Z drugiej – Palestyńczycy mają w USA coraz więcej sojuszników. Do niedawna obie partie jednoznacznie wspierały Izrael. Zmiana pokoleniowo-ideowa, jaka następuje w łonie Demokratów, wytworzyła silne skrzydło sympatyków sprawy palestyńskiej. Przedstawiło ono rezolucję domagającą się od Bidena doprowadzenia do zawieszenia ognia w Gazie. W Izbie Reprezentantów zasiada Rashida Tlaib, pierwsza przedstawicielka palestyńskiej diaspory na Kapitolu.

Od lat rośnie opozycja w społeczeństwie obywatelskim wobec niezmiennej od 1948 r. polityki pompowania miliardów w pomoc wojskową dla Izraela. Lewica wskazuje, że nacjonalistyczne rządy Netanjahu zbudowały swoją markę na obietnicy bezpieczeństwa. Atak Hamasu jest ich klęską, do której polityka USA przyłożyła rękę. Nastroje w tej części społeczeństwa wyraził mem krążący w sieci w godzinach poprzedzających wyjazd Bidena do Izraela, w którym prezydent USA zapewnia Netanjahu: „Popieramy prawo Izraela do samoobrony z użyciem każdej zbrodni wojennej, jaką uzna za skuteczną”.

W dużo poważniejszym tonie koalicja 60 organizacji pozarządowych i religijnych – muzułmańskich, żydowskich i chrześcijańskich – zaapelowała do administracji, aby priorytetem działań dyplomatycznych było natychmiastowe przerwanie przemocy wobec ludności cywilnej.

PUTIN Z XI JINPINGIEM

Zanosi się na to, że pierwszy raz od 2008 r., kiedy stosunek do wojen w Iraku i Afganistanie dzielił Amerykanów, polityka zagraniczna będzie najważniejszym tematem przyszłorocznych wyborów. Notowania Bidena są rekordowo niskie. Słabnie jego pozycja w łonie Demokratów i w nadciągającym starciu z jednym z republikańskich pretendentów, którym według dzisiejszych sondaży może być Trump. Jeśli Bidenowi nie uda się doprowadzić do uspokojenia sytuacji na Bliskim Wschodzie, a Ukraina nie poczyni znaczących postępów na froncie wojny z Rosją, sytuacja prezydenta stanie się beznadziejna. Gdy kampania wejdzie w decydującą fazę, przeciwnicy bez ogródek wykażą, że to za jego prezydentury Putin odważył się zaatakować Ukrainę, w innych częściach globu zapanowały chaos i zniszczenie, a na całym świecie – strach przed wybuchem trzeciej wojny światowej.

W środę, po naradzie z rządem jednostki narodowej Izraela, Biden miał lecieć do Jordanii na spotkanie Mahmudem Abbasem, prezydentem Palestyny. Państwo Palestyna obejmuje okupowane przez Izrael terytorium Strefy Gazy i Zachodniego Brzegu. Uznaje je 138 krajów (w tym Polska), ale nie ma pośród nich największych państw Zachodu – USA, Wielkiej Brytanii, Francji czy Niemiec. Po zbombardowaniu szpitala w Gazie Abbas w ostatniej chwili odwołał szczyt. Komentatorzy zauważyli, że nigdy wcześniej prezydent USA nie został w taki sposób potraktowany przez arabskiego lidera.

W tym samym czasie Władimir Putin przybył do Pekinu. Wspólnie z przewodniczącym Chin Xi Jinpingiem ogłosili powstanie „uczciwszego, wielobiegunowego świata”. Wskazali, że USA są winne eskalacji konfliktu na Bliskim Wschodzie. Stwierdzili, że odpowiedzią na globalne zagrożenia będzie coraz silniejszy sojusz Chin i Rosji.

Na naszych oczach kształtują się nowe fronty w konfrontacji mocarstw, a gwarancja pokoju, jaką sojusznikom Zachodu przez dekady dawały odstraszająca siła militarna i potęga USA, staje się coraz mniej pewna. ●

JAJKO CZY KURA

Czyli kto był pierwszym Palestyńczykiem

Z POLITOLOGIEM **ŁUKASZEM
FYDERKIEM*** ROZMAWIA **KASPER
KALINOWSKI**

Paul Johnson swoją słynną „Historię Żydów” rozpoczyna zdaniem: „Żydzi to najbardziej odporny naród w dziejach”. Zgodziłby się pan?

– To teza, z którą mogliby polemizować na przykład Ormianie. Ale przede wszystkim co właściwie znaczy naród?

Każda opowieść o narodach to wymysł doby nowoczesnej. W czasach przednowoczesnych wspólnoty polityczne składały się z notabli i arystokracji, których przedstawiciele uczestniczyli w polityce. Zwykłych śmiertelników przez całe stulecia nikt nie pytał, jak się identyfikują. Masowa identyfikacja z narodem to zjawisko nowe. Jeszcze w latach 30. XX w. w Polsce w spisie powszechnym niemal o ludzi, zwłaszcza na Kresach, na pytanie o identyfikację narodową odpowiadało: „Jestem tutejszy”. Taką odpowiedź uzyskalibyśmy przez większość historii w większości społeczeństw świata. W warunkach wiejskich granice wspólnoty były jasne niezależnie od tego, czy była to habsburska Galicja, czy osmańska Palestyna.

A jednocześnie bez nacjonalizmu trudno opowiedzieć historię jakiegokolwiek kraju, również Izraela. Nie chodzi o potoczne skojarzenie. W naukach społecznych nacjonalizm nie ma zabarwienia negatywnego. To ideologia polityczna, która jest produktem współczesności i wydaje się konieczna dla istnienia współczesnego narodu. Zakłada jakiś wyobrażony cel: autonomię i tożsamość, mówi, jak powinna wyglądać rzeczywistość, i wskazuje, jak do tego celu dążyć. Doktryna narodu jest cechą każdego społeczeństwa współczesnego.

Teza Johnsona tworzy mit, rzutując współczesne pojęcie narodu na wydarzenia historyczne. Johnson nie jest, rzecz jasna, odosobniony, wizję narodu jako trwającego odwiecznie powszechnie stosuje wielu badaczy oraz oczywiście ideologów, by budować morale. Współczesne wspólnoty są już zbyt duże, aby łączyły ja dawne więzi klanowe czy plemienne. Potrzebują mitów i symboli jako spoiwa.

W czasach przednowoczesnych wspólnoty łączyły się wokół symboli i mitów płynących z religii. Ale od czasu rewolucji przemysłowej religia nie wypełnia już funkcji dostarczyciela tożsamości dla dużych

grup społecznych – pojawiają się więc ideologie, a jedną z najważniejszych „rodzin” ideologii są właśnie nacjonalizmy. W Polsce rozwój nacjonalizmu zbiega się w czasie z utratą państwowości. Dlatego nasz nacjonalizm rozwija się w opozycji do trzech państw zaborczych i przez to jest inny niż pozostałe w Europie. Z kolei nacjonalizm żydowski rozwija się w kontrze do raczkujących w XIX w. nacjonalizmów europejskich. Równolegle na Bliskim Wschodzie powstają nacjonalizmy turecki i arabski. Ten ostatni szybko ewoluuje od panarabizmu do nacjonalizmów mniejszych: syryjskiego, libańskiego, irackiego czy palestyńskiego.

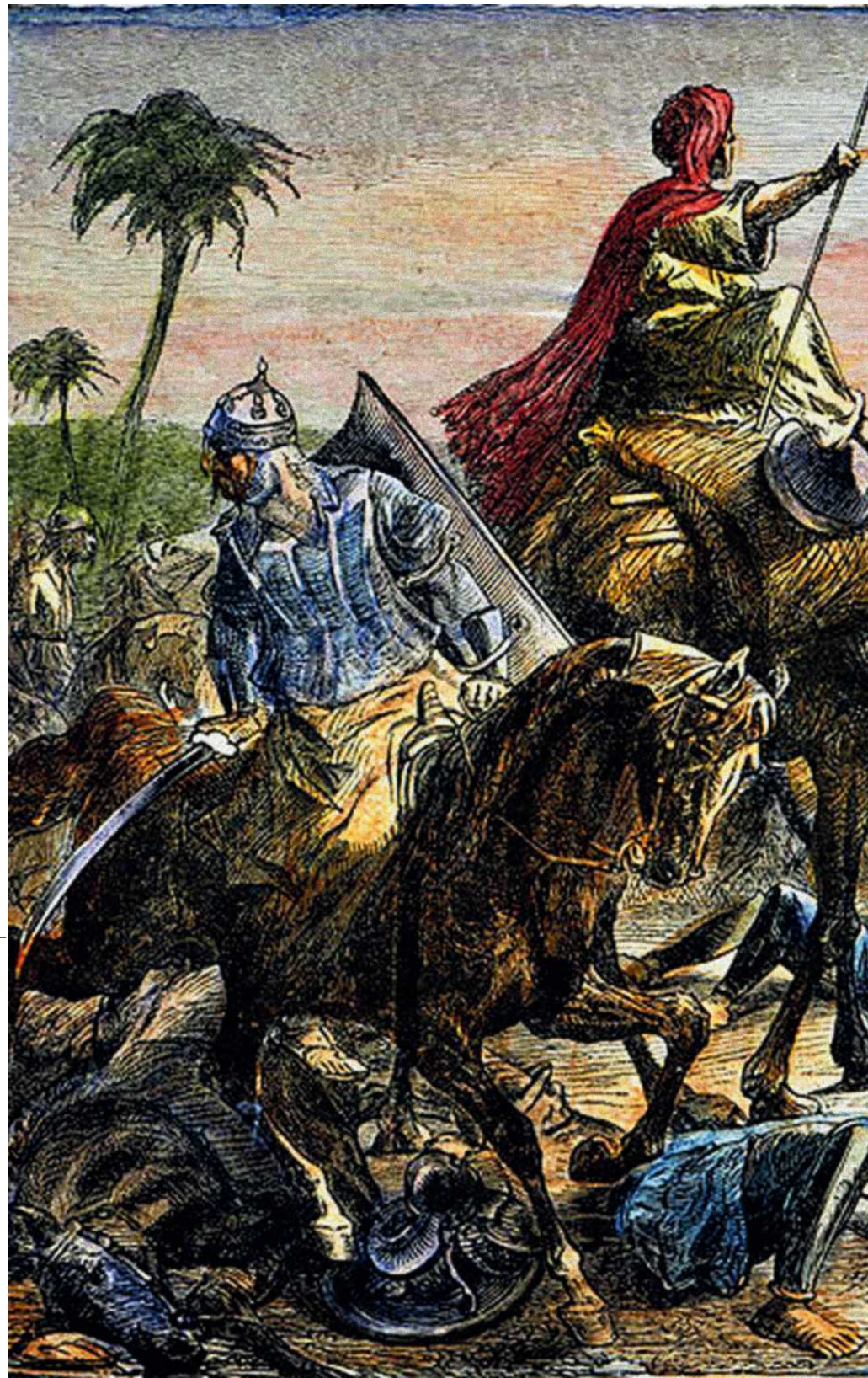
Konflikt arabsko-żydowski, a później izraelsko-palestyński możemy postrzegać właśnie jako starcie dwóch nacjonalizmów. Obie strony wytworzyły własne mity i uzasadnienie roszczeń, opierając się na własnej interpretacji historii. Izrael to linia ciągła od czasów Mojżesza, który otrzymuje tablicę z Dekalogiem. Palestyńczycy również sięgają do źródeł biblijnych, wywodząc swoje pochodzenie od Kananejczyków czy Jebusytów, którzy przecież zbudowali Jerozolimę.

Tylko kto może uważać się za Żyda? To trudne pytanie.

– Mówimy o definicji na płaszczyźnie religijnej, która ma znaczenie polityczne, bo została wprowadzona do prawodawstwa Izraela, który jest państwem żydowskim i gwarantuje wszystkim Żydom „prawo powrotu”. Żyd to osoba urodzona z matki Żydówki lub wyznająca judaizm. Z kolei państwo Izrael powstało dzięki wysiłkom działaczy ruchu syjonistycznego, który od końca XIX w. głosił, że Żydzi są narodem politycznym, nie wyłącznie wspólnotą religijno-etniczną, a naród polityczny swoją autonomię powinien realizować poprzez państwo działające na określonym terytorium.

To, że dla większości Żydów to terytorium było odległe od ich miejsca ówczesnego zamieszkania, odróżnia nacjonalizm żydowski – syjonizm – od pozostałych nacjonalizmów. Syjonizm czerpie z religii żydowskiej w sposób dość wybiórczy, ale instrumentalizowanie religii jest cechą wielu nacjonalizmów.

Izrael to również jedyny w historii przypadek odbudowania państwowości po 2 tys. lat. Możemy użyć mocno nadużywanego słowa „wyjątkowy”



Tak. Nawet Armenia miała krótszą przerwę w państwowości.

Ale tu można postawić kolejne pytanie: czym jest państwowość? Pojęcie państwa w znaczeniu zbliżonym do współczesnego pojawia się znacznie później, zawdzięczamy je Machiavellemu, który stworzył je, aby uporać się z opisem różnych form władzy, głównie monarchii i republik. Czasami zbyt łatwo rzutujemy ten termin na rzeczywistość starożytną. Nie umniejszam pana tezy, tylko pokazuję trudność posługiwania się kategoriami współczesnymi do opisu politycznej przeszłości.

W starożytności istniały królestwa żydowskie, w szczególności Judy i Izraela, o których wiedzę czerpiemy głównie z Biblii, ale także z odkryć archeologicznych i źródeł asyryjskich. Historia starożytna żydowskich królestw jest ważnym argumentem legitymizującym dla współczesnego państwa Izrael. I tutaj stąpamy po polu minowym. Historycy zajmujący się starożytnością o nastawieniu propalestyńskim podważają tę legitymację, mówiąc, że żydowskość Królestwa Judy, a w szczególności Królestwa Izraela, jest wątpliwa i wskazują na liczne związki tych królestw z silniejszymi organizmami politycznymi Fenicji czy Asyrii.

Już samo nazewnictwo stwarza kłopoty. To, czy mówimy o ziemi Izraela, Judy, Hebrajczyków, czy o starożytnej Palestynie, mówi o naszych poglądach. Może lepiej mówić o ziemi Kanaan? W Biblii i perspektywie żydowskiej Kananejczycy to zazwy-

czaj najeźdźcy i barbarzyńcy, ale już Palestyńczycy traktują ich jako zbiór wielu ludów semickich, z których wywodzą także swoje korzenie.

A inne wyjątkowe wydarzenia? Powstanie Machabeuszów z lat 167-160 p.n.e. jako wygrana garstki powstańców z całym Imperium Rzymskim odgrywa, zdaje się, ogromną rolę w świadomości współczesnych Izraelczyków.

– Historia odtworzenia królestwa przez Machabeuszów ma duże znaczenie dla syjonizmu jako ważny mit skutecznej walki z przeważającymi siłami. Jednak ważniejsze są zdarzenia polityczne, które sięgają głębiej w historię, odnoszące się do Złotego Wieku i świątyni Salomona czy wcześniejszego podboju Jerozolimy przez króla Dawida, bo uzasadniają pierwszeństwo Żydów w Izraelu. To najważniejsze mity założycielskie.

Nie sposób pominąć obrony Masady. Do dziś izraelscy żołnierze przysięgę składają na jej zgłiszczach. To najważniejszy mit założycielski Izraela?

– Masada jest symbolem heroicznej obrony aż do śmierci: gdy rzymscy najeźdźcy po długim oblężeniu zburzyli mury, wszyscy obrońcy popełnili samobójstwo. Problem w tym, że historię Masady znamy z opisu Józefa Flawiusza. To jego przekaz mówi o oporze żydowskich bojowników, którzy schronili się w fortecy zbudowanej przez Heroda. Ale są badacze, którzy pytają: tylko kto był obrońcą Masady? Prawdopodobnie sy-



• XIX-wieczne
wyobrażenie zajęcia
Jerozolimy przez kalifa
Umara w roku 637

FOT. ALAMY/BE&W

Palestyńczycy, Żydzi, Arabowie? Aż do końca XIX wieku mieszkańcy Palestyny nie zrozumieliby pytania, kim się czują

kariusze – żydowska sekta nożowników, która wcześniej napadała na inne wspólnoty żydowskie. Z kolei w badaniach archeologicznych znaleziono również niekoszerne resztki pokarmów z czasów oblężenia, co może podważać historię Flawiusza. W przypadku Bliskiego Wschodu prace archeologiczne nawet nad tak zamierzchłą przeszłością są upolitycznione.

Czasy oblężenia Masady, a więc I w. naszej ery, są też istotne z uwagi na nazewnictwo. W źródłach zaczęto stosować nazwę „Palestyna” dopiero za czasów cesarza Hadriana, czyli w momencie, kiedy upada Masada. Wiemy, że rzymscy dygnitarze na swoich płytach nagrobnych ryli napis, że byli urzędnikami w Judei, a od rządów Hadriana pojawia się nazwa „Syria Palestyna”.

Zmiana nazwy prowincji z Judea na Syria Palestyna okazuje się trwała. Ta nazwa zostanie wykorzystana w zarabizowanej wersji „Filistin” po przejściu władzy nad prowincją, już Cesarstwa Bizantyńskiego, przez muzułmańskich najeźdźców w VII w.

W Księdze Rodzaju znajdziemy opis granic „od Rzeki Egipskiej aż do rzeki wielkiej, rzeki Eufrat”. Współcześnie to niemal połowa Bliskiego Wschodu. Ten przykład wciąż jest wykorzystywany, aby uzasadnić roszczenia terytorialne. – Ryszard Kapuściński zauważył, że „każdy naród ma jakąś swoją wielką mapę”. Wielkie mapy mogą być zakorzenione w histo-

rii dalszej lub bliższej. W przypadku Bliskiego Wschodu, który jest kolebką cywilizacji, to na ogół historie sięgające bardzo odległych czasów.

Możemy wskazać historyczne początki Izraela, opierając się nie na Biblii, ale na archeologii?

– Doniesienia archeologiczne są enigmatyczne i bywają politycznie wykorzystywane. Może lepiej formułować hipotezy, dlaczego powstała organizacja społeczna i państwowość na Bliskim Wschodzie.

To zacznijmy od Filistynów zamieszkujących tereny Libanu i zachodniego Izraela. Mają coś wspólnego ze współczesnymi Palestyńczykami?

– Palestyńczycy się tak identyfikują, ale ponieważ Filistyni przybyli do ziemi Kanaan stosunkowo późno, powołują się też na pochodzenie od Kananejczyków.

Jeśli chodzi o Filistynów, to brakuje źródeł mówiących o ich pochodzeniu. Ziemi Filistynów znajdowały się pomiędzy wybrzeżem Morza Śródziemnego a Królestwem Judy. Niewiele wiemy również o ich języku. Prawdopodobnie z czasem przyjęli aramejski, następnie zastąpiony przez grekę, którą od VII w. stopniowo zastępował arabski. Tę narrację podkreślają izraelscy zwolennicy tezy, że Palestyńczycy to potomkowie arabskich najeźdźców, bo skoro Palestyńczycy przybyli tu dopiero z podbojem muzułmańskim, to podważa ich roszczenia do tej ziemi.

Palestyńczycy również mają swoje mity założycielskie – odpowiedniki Masady czy powstania Machabeuszów?

– Palestyński nacjonalizm rozwijał się w opozycji do syjonizmu, ale też pozostawał pod jego wpływem. Początkowo, w latach 20. XX w., korzystał ze świeckich, racjonalizujących argumentów historycznych odwołujących się do nieprzerwanego zamieszkiwania tych ziem przez arabskojęzycznych Palestyńczyków przez 13 ostatnich stuleci. Z czasem zaczął w większym stopniu korzystać z mitów zaczerpniętych z islamu, podkreślając znaczenie Jerozolimy jako miejsca ofiary Abrahama i nocnej podróży proroka Muhammada i jego wstąpienia do nieba. A po klęsce roku 1948 najważniejszym mitem Palestyńczyków stała się trauma wielkiego wypędzenia, katastrofy – Nakby.

Zrozumienia nie ułatwia to, że w imperium osmańskim to Żydzi mówili o sobie „Palestyńczy”, a Arabowie używali określenia „Syryjczy”.

– Wraca problem braku źródeł, które zaczynają się pojawiać dopiero w XIX w. wraz z upowszechnieniem umiejętności pisania i czytania. Co do tego, jak określali się członkowie poszczególnych grup wyznaniowych w osmańskiej Palestynie, trwają spory. Pamiętajmy też, że arabskojęzyczni mieszkańcy tych terenów nie używali greckiego określenia „Syria”, tylko jego arabskiego odpowiednika „Asz-Szam”, co dodatkowo komplikuje sprawę.

Palestyńscy badacze podkreślają, że czas muzułmańskich imperiów Osmanów, a wcześniej Mameluków, Abbasydów i Umajadów, był czasem pokojowego współistnienia muzułmanów, żydów i chrześcijan. To całkiem spory kawał historii – ponad 1200 lat – którą z kolei pomija strona izraelska.

Jednak aż do końca XIX w. mieszkańcy tych ziem nie zrozumieliby pytania o to, kim się czują – Palestyńczykami, Arabami, Osmanami, a może mieszkańcami Hebronu, Ramli czy Jaffy. Nacjonalizm palestyński zaczyna się kształtować dopiero na przełomie wieków XIX i XX.

Jego cechą osobliwą jest to, że najpierw funkcjonuje w cieniu silniejszego nacjonalizmu arabskiego. Arabscy nacjonaści mają nadzieję na odtworzenie znanych ze średniowiecza imperiów arabsko-muzułmańskich. Z czasem siła panarabizmu słabnie, a na pierwszy plan wysuwają się nacjonalizmy mniejsze: syryjski, irański, libański i palestyński. Na przykład kefia, charakterystyczne nakrycie głowy, była elementem stroju ludowego. Została symbolem palestyńskości dopiero ok. 1937 r. w trakcie powstania przeciwko Brytyjczykom.

Gdy Mark Twain zobaczył Jerozolimę, był zdegrustowany i nie rozumiał, jak ludzie mogą żyć w takiej beznadziei, niemniej – ponoć – pod rządami Osmanów Żydzi i Palestyńczycy żyli w pokoju. – Tak. W imperium osmańskim obowiązywała formuła miletu, czyli samorządności wy-

znaniowej. Każda mniejszość miała swój samorząd regulowany własnym prawem. Żydzi stosowali swoje, szyici, sunnici i chrześcijanie poszczególnych denominacji swoje. Władze osmańskie wkraczały do akcji dopiero wtedy, gdy dochodziło do sporów między religiami.

Ale z końcem XIX w. pojawia się pojęcie odrodzenia tureckiego czy odrodzenia arabskiego, a w Europie Teodor Herzl publikuje „Der Judenstadt”, w którym prezentuje postulaty syjonizmu – ruchu dążącego do żydowskiego państwa narodowego. Pogromy w Imperium Rosyjskim i proces Dreyfusa pokazują, że w dobie nacjonalizmów funkcjonowanie odrębnej społeczności jest trudne, a że Żydzi są narodem, więc rozwiązanie jest takie samo jak w przypadku każdego narodu. Pozostaje kwestia, na jakim terytorium założyć to żydowskie państwo.

Na pierwszym kongresie syjonistycznym w Bazylei pod hasłem: „Ziemia bez ludu dla ludu bez ziemi”, zdecydowano, że w Palestynie, a Herzl rozpoczął starania o rozpoczęcie tam osadnictwa. Tylko że nie uzyskał audiencji u sultana, który nie chciał rozmawiać o zmianie statusu Palestyny.

A potem wybucha I wojna światowa, imperium osmańskie podejmuje fatalną decyzję o przyłączeniu się do mocarstw centralnych, więc Brytyjczycy, by pozyskać sojuszników i osłabić je wewnątrz, wydają tzw. deklarację Balfoura – obietnicę utworzenia żydowskiej siedziby narodowej. Slabnące imperium toczy wojnę na trzy, a w pewnym okresie na cztery fronty i ulega rozpadowi, a jego terytoria w Lewancie przypadają Francji i Wielkiej Brytanii. W październiku 1918 r. do Damaszku wkraczają oddziały brytyjskie i sprzymierzone z nimi arabskie.

Jesteśmy w momencie kluczowym dla historii współczesnej Bliskiego Wschodu.

– Po czterech wiekach panowania osmańskiego te ziemie są w rękach nowych władców. Brytyjczycy dominują militarnie. Trzy lata wcześniej obiecali Arabom Królestwo Arabskie ze stolicą w Damaszku, co skłoniło Arabów do wystąpienia przeciwko Osmanom. Jednak już rok później, w 1916 r., Londyn dzieli z Paryżem ziemie po imperium osmańskim. Nie powstaje jedno arabskie królestwo, ale pozostające pod kontrolą mocarstw osobne państwa: Liban, Syria, Jordania, Irak, a Palestyna staje się brytyjskim terytorium mandatowym.

W 1919 r., gdy odbywa się konferencja pokojowa w Wersalu, emir Fajsal próbuje utworzyć obiecane arabskie królestwo ze stolicą w Damaszku. Brytyjczycy wysyłają go do Francuzów, którym obiecali Damaszek. Francuzi go odsyłają z kwitkiem, mówiąc – zgodnie z prawdą – że na nic się z nim nie umawiali. Fajsal wraca do Damaszku i gromadzi armię do obrony przed Francją, ale przegrywa bitwę pod Majsalun. Europejskie mocarstwa kreślą granicę oddzielającą francuską Syrię od brytyjskiej Palestyny, a Brytyjczycy w tym czasie tworzą od podstaw jeszcze dwa państwa: Irak i Transjordanę.

Te wydarzenia – dwie brytyjskie obietnice, dana Arabom i wcześniejsza żydowska Balfoura, oraz objęcie Palestyny brytyjskim mandatem w mniej więcej jej dzisiejszych granicach – ostatecznie tworzą arenę dzisiejszego dramatu.

Osadnictwo żydowskie od początku budziło opór, ale nie na tle narodowym, ale kulturowym. Przyczyną jednego z pogromów w 1921 r. w dopiero powstającym Tel Awiwie były komunistyczne działaczki w szortach. Dla Arabów była to zniewaga. Pierwsi żydowscy osadnicy byli akceptowani?

– Niepopularną częścią historii Izraela jest to, że pierwsi żydowscy osadnicy nie do końca chcieli tam mieszkać. Warunki były mało przyjazne. Idealiści z wielkomiejskiej europejskiej elity nie potrafili uprawiać ziemi, a kupcy i rzemieślnicy ze sztetla w Europie Środkowo-Wschodniej szybko dowiadawali

się, że są lepsze opcje życia miejskiego w Argentynie czy Nowym Jorku, więc masowo reemigrowali. Natomiast ci, którzy zostawali, często znajdowali sposób na porozumienie się i pokojową współzystencję z arabskimi sąsiadami.

Skoro jednak migranci nie mają ochoty parać się rolnictwem, trzeba jakoś zbudować wśród nich przywiązanie do ziemi. Lewicowa część syjonistów pod wpływem urodzonego w Płońsku Davida Ben Guriona wpada na pomysł, jak przyciągnąć do Erec Israel robotników: kładą duży nacisk na kult pracy. Tak powstają kibuce, rodzi się kult siły i pionierskości i rozgrywa się



Poczucie bycia ofiarą – opresji, totalitaryzmu, dyskryminacji, kolonializmu czy terroryzmu – jest najbardziej charakterystyczną figurą nowoczesności. Zapewnia możliwość uczestniczenia w dyskursie

walka o ziemię i pracę. Tę pierwszą syjonści toczą metodami kapitalistycznymi, skupując ziemie od Palestyńczyków. Tę drugą – metodami socjalistycznymi, krzewiąc egalitaryzm i kult pracy robotnika i rolnika.

Mosze Dajan, legendarny dowódca żydowskiej milicji w latach 30. i 40. – załążka armii Izraela – i bohater wojny sześciodniowej uważał, że nienawiść izraelsko-arabska jest nieunikniona. Jednak w historii bywały sytuacje, gdy Żydzi i Arabowie byli sojusznikami. Na przykład w czasie I krucjaty wspólnie bronili Jerozolimy przed rzyppowcami. – Tak. Los Żydów i muzułmanów byłwał często zbliżony, choćby w czasach wypraw krzyżowych czy rekonkwisty na Półwyspie Iberyjskim. W większości imperiów rządzonych przez muzułmanów Żydzi znajdowali przestrzeń do funkcjonowania. Wielu muzułmanów argumentuje, że można by do tego wrócić. Reakcję izraelską możemy przewidzieć.

Możemy, bo to Palestyna odrzuciła każdą propozycję pokojową. Nie przyjęła nawet oferty części terytoriów izraelskich i eksterytorialnego połączenia między Strefą Gazy a Zachodnim Brzegiem.

– Lista błędów przywódców palestyńskich jest przeogromna. Otwiera ją międzywojenny lider społeczności palestyńskiej Amin al-Husajni, wielki mufti Jerozolimy, który nakręcał nastroje antyżydowskie i antybrytyjskie, parł do sojuszu z faszystowskimi Włochami i nazistowskimi Niemcami, a podczas II wojny światowej udało mu się stać najdonośniejszym muzułmańskim głosem. Kłopot w tym, że ten głos rozbrzmiewał z Berlina i wzywał do ludobójstwa Żydów. Dziśiejszym Palestyńczykom Amin al-Husajni jest obojętny, ale Izraelczycy go pamiętają i przywołują przy każdym akcie palestyńskiego terroryzmu.

To początek całej serii katastrof i błędów. Palestyńczycy powiedzą, że innym zasadniczym błędem było zaufanie w 1948 r. innym krajom arabskim, które doprowadziło do pierwszej wojny z Izraelem. Efektem była porażka połączonych sił Syrii, Transjordanii i Egiptu. Przyniosła Nakbę, czyli katastrofę i wygnanie Palestyńczyków. Ich przywódcom politycznym zajęło sporo czasu zaakceptowanie konieczności podziału historycznej Palestyny na dwa państwa. Jednak niektóre ruchy – największym z nich jest Hamas – nadal wzywają do odzyskania pełnego terytorium i nie akceptują istnienia państwa Izrael.

Może więc Izrael nie ma wyjścia? Trudno negocjować z ludźmi, których celem jest twoje nieistnienie.

– To sedno dramatu. Konflikt Izraela z Palestyną to gra o sumie zerowej – musi się skończyć czyjąś klęską. Ludzie z Zachodu zazwy-

czają tego nie rozumieją, bo od dekad żyją we względnie spokojnej rzeczywistości, gdzie interakcje między narodami – z reguły, bo pamiętam o rosyjskim ataku na Ukrainę – mają charakter gry o sumie dodatniej, premiującej kompromis. A ten konflikt jest w dużym stopniu przednowoczesny: albo dana wioska będzie izraelska, albo palestyńska, nie może być wspólna.

Terryoryści z Palestyny, którzy teraz atakowali teren Izraela, w większości nie są rdzennymi mieszkańcami Strefy Gazy. Dwie trzecie tamtejszych Palestyńczyków to potomkowie uchodźców, ludzi, którzy uciekli z miasteczek i wiosek w 1948 r.



Mają poczucie, że wyrównują rachunek krzywd, a jednocześnie ten rachunek zwiększają. Wzajemna nienawiść, poczucie zagrożenia i niesprawiedliwości to węzeł gordyjski o skali, której próbujący medować zachodni dyplomaci wracający po obradach do bezpiecznego życia na ogół nie są w stanie zrozumieć.

Ale dlaczego nienawiść Palestyńczyków skupia się na Izraelczykach? Przecież za ich sytuację odpowiadają w jakiś sposób również państwa arabskie, które głośno krzyczą o arabskiej krzywdzie i solidarności, ale bronią się przed przyjęciem palestyńskich rodkaków. Wolą dawać kroplówkę ledwo działającej enklawie, tylko potęgując cierpienie ludzi.

– To dla wielu będzie emocjonalnie trudne, ale spróbujmy opisać ten konflikt na chłodno, tak jak wszystkie inne.

Po pierwsze, jest peryferyjny. Odbywa się, mimo technologicznego potencjału Izraela, z dala od prawdziwych centrów finansowych i naukowych. Po drugie, jest rozciągnięty w czasie i stosunkowo mało krwawy – przez niespełna siedem dekad zginęło ok. 100 tys. osób. A po trzecie, opinia publiczna na Zachodzie interesuje się nim znacznie bardziej niż innymi, wielokrotnie krwawszymi konfliktami w innych częściach świata.

Dlatego akurat o ten konflikt spierają się ludzie na zachodnich kampusach uniwersyteckich? Dlaczego akademickich dyskusji nie rozpalają wojny domowe w Etiopii, Jemenie czy najkrwawszy w regionie konflikt irańsko-iracki z lat 80., w którym zginęło 1,5 mln ludzi?

To pytanie, na które nie ma pewnej odpowiedzi. Są tylko hipotezy. Do mnie najbardziej przemawia to, że konflikt izraelsko-palestyński dotyka dwóch symbolicznych wydarzeń kształtujących nowoczesność. Pierwszym jest pamięć II wojny światowej i Holocaustu, które ukształtowały świat, jaki znamy na Zachodzie. Widmo zachodniego antysemityzmu wpływa na postrzeganie współczesnych wydarzeń w Izraelu. Drugim są islamofobia i retoryka zderzenia cywilizacji. Myślenie o tym konkretnym konflikcie jest przefiltrowane przez stereotypy, wyobrażenia i mity zwią-

zane z tymi dwoma kluczowymi problemami nowoczesności.

Stosunkowo łatwo utożsamić się z jedną ze stron. Nie dlatego, że dobrze znamy czyjeś racje, tylko dlatego, że postrzegamy je przez pryzmat swoich wyobrażeń dotyczących islamu, terroryzmu czy kolonializmu. To z tej przyczyny konflikt izraelsko-palestyński dociera do świadomości prawie połowy ludności globu.

Osobiście obserwowałem wsparcie i sympatię, jakie budzi sprawa palestyńska w odległych krajach Azji – Malezji czy Indonezji. Z kolei po stronie zachodniej mamy dwie postawy – czasem przeciwwstawne, a czasem splecione – wsparcia i współczucia dla Izraela z solidarnością z Palestyną, postrzeganą jako ofiara kolonializmu.

To współgra z popularną narracją o ekspansji Zachodu rozumianej jako proces świadomy, wynikający ze złej woli i poczucia wyższości, od wypraw krzyżowych, przez wielkie odkrycia geograficzne, XIX-wieczny globalny kolonializm, bliskowschodni paternalizm pierwszych dekad XX w., po wojenny amerykański imperializm i postkolonialne wpływy europejskich stolic. Ale idąc za taką logiką, ten wyobrażony Zachód może wystawić islamowi rachunek za precedensowy podbój VII w., ostateczne zniszczenie świata rzymskiego, upadek Bizancjum, imperialny podbój wczesnochrześcijańskiej Europy, niewolnictwo białych brańców i branek, tysiąc lat wojen i rzezi wewnątrz samego świata islamu...

– Takie postawienie sprawy tylko uwikła nas w kolejną spiralę „kto zaczął” i co kto komu wyrządził. Wolę przyglądać się szerokim mechanizmom psychologicznym i mentalnym. Poczucie bycia ofiarą jest najbardziej charakterystyczną figurą nowoczesności, w jakiej żyjemy. W postheroicznej kulturze początku XXI w. jest wręcz podejrzane, jeśli nie jesteśmy ofiarą. Bycie ofiarą zapewnia możliwość uczestniczenia w dyskursie – ofiarą opresji, totalitaryzmu, dyskryminacji, kolonializmu czy terroryzmu.

Bycie ofiarą nie zwalnia jednak z odpowiedzialności za swoje czyny. Wczorajsze ofiary niejednokrotnie stawały się późniejszymi sprawcami. Widzimy to i na Bliskim Wschodzie, i w Europie. ●



*Dr hab. Łukasz Fyderek

● politolog, specjalizuje się w problematyce bliskowschodniej, dyrektor Instytutu Bliskiego i Dalekiego Wschodu Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor m.in. książek „Pretorianie i technokraci w reżimie politycznym Syrii” i „Autorytarne systemy polityczne świata arabskiego”, współautor podręcznika „Wprowadzenie do problematyki pomocy rozwojowej”

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl

Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filippek (prowadzący), Tomasz Lebioda, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44

Biurow reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44

DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak

DRUK: Agora SA



Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

• „Narcyz u źródła” Jana Roosa

FOT. DOMENA PUBLICZNA



Słyszemy: „Uciekaj od narcyza!”.

A to jest właśnie promowanie narcyzmu – nie podoba mi się ten wadliwy partner, znajdę sobie lepszego.

Z **JOANNĄ SADZAWICKĄ-OLCZAK***, PSYCHOLOŻKĄ, PSYCHOTERAPEUTKĄ, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Odbywa się straszenie narcyzem – nagłówki, tytuły książek, posty krążą w zasadzie wokół jednego – jesteś w związku z narcyzem, znasz narcyza? Uciekaj! Jak to się stało, że określenie, bądź co bądź diagnostyczne, tak się rozgościło we współczesnej kulturze, a w dodatku stało się rodzajem inwektywy?

– Rzeczywiście porażające jest to, że materiały na ten temat w większości pisane są w duchu ostrzegania przed jakimś potworem. Narcyz stał się czarnym charakterem naszych czasów, nikt nie chce nim być.

Pojęcia medyczne, terapeutyczne przenikają do głównego nurtu, od kiedy zaczęto leczyć ludzi psychoterapią, czyli od jakichś stu lat. Dziś nikogo już nie dziwi, kiedy mówimy: „Zrobiłam, zrobiłem coś nieświadomie”. Ale coraz częściej używane są do opisu zjawisk, które tego nie potrzebują. I to jest niepokojące.

Bo nie każde cierpienie jest traumą, a nie każdy obniżony nastrój depresją.

– Właśnie. I to jest kolejna rzecz, nad którą się zastanawiałam, przygotowując się do naszej rozmowy – jakim zniekształceniom ulegają te terminy poza gabinetem. Przecież nawet dla nas, specjalistów, dia-

gnoza to pewien skrót, a nie opis całej osoby. Ma nam ułatwić podjęcie decyzji o kierunku leczenia czy terapii, służy do komunikacji z innymi specjalistami, ale cały czas wiadomo, że jest to pewne uproszczenie.

Które w potocznym języku podlega dalszym uproszczeniom.

– A czasami w ogóle odrywa się od pierwotnego znaczenia. Tak się stało z narcyzem, który w tej chwili oznacza złego człowieka.

Czasem nazwany jest tak ktoś, kto się z nami po prostu nie zgadza.

– Kto zrobił nam przykrość, rozczarował nas, a czasem zwykły egoista.

To wróćmy do pierwotnego znaczenia słowa „narcyzm”.

– Zaczniemy od tego, że nie sposób stać się dobrze funkcjonującym dorosłym bez zdrowego narcyzmu, czyli podstawowej miłości własnej.

Startujemy od totalnej zależności. Na początku nie odróżniamy siebie od naszych pierwotnych opiekunów. Aż stajemy na dwóch nogach, zaczynamy się rozglądać po świecie i nagle odkrywamy swoją supermoc. Jednocześnie zaczynamy też doświadczać, że ta moc ma ograniczenia. I to jest kluczowy moment. Jeśli dziecko się czegoś przestraszy, coś mu się nie uda, trafi na przeszkodę, musi mieć możliwość powrotu do bezpiecznej bazy, czyli do opiekunów. Jeśli jednak takiej możliwości nie ma, zostanie z lękiem czy porażką odrzuc-

ne albo przeciwnie – podkreślane będzie wyłącznie to, że jest cudowne i nie ma żadnych ograniczeń – wtedy robi się kłopot.

W dużym uproszczeniu: zaburzenie narcystyczne rodzi się z tego, że dziecko ma być czymś, czym nie jest – czymś więcej albo czymś mniej.

Dlaczego tak może się stać?

– Chociażby dlatego, że otwartość na sprawdzanie, jaki człowiek jest naprawdę, bywa bardzo nieprzyjemna. I dla dziecka, i dla opiekuna.

To są często prozaiczne rzeczy. Dla dziecka bolesne może być na przykład, kiedy odkrywa, że myślało, że coś umie, a nie umie. I teraz ten ból albo będzie do przetrwania, kiedy dziecko znajdzie ukojenie u rodzica, albo zamieni się w ranę – kiedy zobaczy, że nie ma na to zgody. Dla rodzica bólem może być odkrycie, że dziecko staje się coraz bardziej podobne do nielubianego członka rodziny, na przykład do rodzica, który odszedł. Pytanie, jak ten obecny rodzic sobie z tym poradzi. Czy będzie dziecko upokarzać? Widzieć w nim tylko to, co mu się podoba, i naciskać, żeby było w jego pojęciu doskonałe? Czy pogodzi się z tym, że ono nie jest jego przedłużeniem i nie musi mu niczego rekompensować, na przykład nieudanego związku? Zresztą rodzice nieustannie muszą się konfrontować z tym, że ich dzieci są kimś innym, odrębnym.

Problem jednak nie pojawia się wtedy, kiedy takie niewidzenie dziecka się zdarza, tylko wtedy, kiedy jest to czymś powtarzalnym, stałym.

Co później może się dziać z tym dzieckiem?

– Ta część, która została odrzucona przez rodzica, zostaje odrzucona też przez nie samo. Czyli coś, z czego mogłoby powstać prawdziwe, autentyczne „ja”, ulega zaprzeczeniu i usunięciu. Najczęściej jest to coś, co się postrzega jako słabość, niedoskonałość, na przykład potrzeba zależności, bliskości. Ale odrzucona może zostać też niezależność dziecka, jego autonomia, inność. Z tego może się wyłonić osobowość narcystyczna, bardzo symbiotyczna, czyli zlewająca się z kimś dla tej osoby ważnym.

Już na podstawie tego, co pani mówi, widać, że te narcyzmy bywają różne.

– Żywy człowiek jest niepowtarzalną mozaiką. I my, psychoterapeuci, pracujemy z żywymi osobami, które zawsze wychodzą poza szablony i które wypracowały swoje własne formy adaptacji, tworząc taką wersję siebie, która dopasowała się do oczekiwań, w jakich wzrastały.

Jakie mogą być te fałszywe „ja”?

– Te straszące artykuły najczęściej przedstawiają osoby narcystyczne jako osoby ze sztywnym, wielkościowym „ja”, żądne podziwu, nieempatyczne, nieodporne na krytykę, manipulujące, po prostu złe. Mówi się o narcyzmie złośliwym albo psychopatycznym. A to tylko uproszczona wersja skrajnej postaci tego zaburzenia. Nie dostrzega się natomiast tego, co w literaturze fachowej nazywane jest raną narcystyczną, czyli że cała ta fasada, to fałszywe „ja”, jest bliźną skrywającą ranę, którą jest to „ja” prawdziwe, odrzucone.

I jeśli nie dostrzegamy, że taka osoba zaadaptowała się do bardzo urazowych warunków, w których musiała się stać taka, jak tego od niej oczekiwano, tylko widzimy wyłącznie to, że ona się tak jakoś brzydko zaadaptowała, to czynimy jej zarzut z tego, że przetrwała i że poradziła sobie, jak potrafiła, z czymś tak trudnym.

Trudno jest obudzić w sobie współczucie dla narcyza.

– Bardzo trudno. Po pierwsze dlatego, że z narcyzem po prostu trudno się żyje. A po drugie dlatego, bo nasz własny narcyzm na tym cierpi. Kiedy ktoś jest tak zaabsorbowany sobą, ciągle się eksponuje, wydaje się tak pewny siebie, chce mieć wszystko, to nas to uwiera, bo my też byśmy chcieli być podziwiani i żeby inni nam zazdrościli. Nie mówiąc już o tym, że fasada narcyza może być tak szczelna, że mamy ochotę raczej ją przebić – dokuczyć mu, upokorzyć go – niż mu współczuć.

Albo go zostawić. Zastanawiam się, co by się wydarzyło, gdybyśmy rzeczywiście opuścili tych wszystkich strasznych narcyzów, jak to się sugeruje. Jak wpłynęłoby to na nich, ale i na nas samych?

– Nawoływanie do tych ucieczek to jest znów pomieszanie dwóch spraw. Owszem, z sytuacji przemocy należy uciekać. Niezależnie od tego, czy jej źródłem jest osoba o cechach narcystycznych, czy opresyjna polityka państwa. Problem w tym, że dziś rada: „Uciekaj!”, bywa przeniesiona na wszystkie sytuacje, kiedy nasza relacja partnerska, przyjacielska, zawodowa nas jakoś rozczarowuje. I jeśli to poddamy namysłowi, czyli tak naprawdę normalne życie z normalnymi ludźmi, którzy mają wady, może są narcyzami, może nie, ale nie robią nam wielkiej krzywdy, to mówienie w takiej sytuacji, że ucieczka to jedyne rozwiązanie, jest promowaniem narcyzmu. „Nie podobą mi się ten wadliwy partner, znajdę sobie lepszego”. Albo: „Mam prawo być wysłuchana, a on nie zawsze mnie słucha, idę sobie”.

Usuwanie tego, co drażni i jest trudne, sprawia, że ludzie tworzą życie, w którym zasadniczo wszystko niby mają, ale nagle popadają w głęboką depresję wynikającą z zubożenia tego życia o prawdziwe treści

Oczekiwanie, że świat, partner ma zaspokajać wszystkie moje potrzeby, to jest właśnie postawa narcystyczna.

Nie od każdego narcyza trzeba też chyba koniecznie uciekać.

– To kolejna rzecz. A kiedy mamy tylko to rozwiązanie do dyspozycji, możemy nie dostrzec, że poza trudnymi aspektami relacji z taką osobą, gdzie istotnie może być sporo frustracji, rozczarowań, poczucia niezrozumienia, mogą być też kawalki, w których jest dużo twórczości, inspiracji, fajnego czasu. Bo takie osoby, zabiegając o nieustanny podziw, mogą również bardzo dużo z siebie dawać, a nie wyłącznie wykorzystywać innych.

Jest takie określenie: „pogodny narcyzm”. Odnosi się ono do osób o cechach narcystycznych, które są duszami towarzystwa. Owszem, to ich pragnienie bycia uwielbianym jest powierzchowne, ale zarzną się, żeby reszta się przy tym dobrze bawiła. To mogą być też osoby, które są w jakimś sensie udręczone swoją obsesją samodoskonalenia, a jednocześnie motywują podwładnych, żeby także się szkolili. Ułatwiają im dostęp do tych szkoleń, firmują to swoim nazwiskiem wypracowanym w drodze do sukcesu. Można powiedzieć, że jest to obraz zaburzenia i że przecież nie o sukces tu chodzi, lecz o kompensację, ale narcyzm może być również taki, a nie wyłącznie mroczny.

Czy takie osoby mogą być wystarczająco dobrymi partnerami, rodzicami? Często mówi się, że narcyz i relacje to piekło.

– Tak samo jak narcyzm nie jest żadnym raniem, nie jest też żadnym piekłem.

Moja perspektywa jest perspektywą gabinetu. A to oznacza, że spotykam ludzi borykających się z takim zaburzeniem, którzy ciężko pracują nad tym, żeby wieść dobre życie, zmieniać swoje relacje z najbliższymi, dbać o nich. I niejednokrotnie im się to udaje.

Domyślam się, że są to osoby, które uznają, że mają taki problem. A to już dużo.

– Z tym uznaniem to jest często długi proces i walka. Nikt nie trafia do gabinetu z myślą: „Jestem narcyzem, chcę się z tego leczyć”. Zwykle przychodzi, bo znalazł się w głębokim kryzysie. Partnerka go opuściła albo miał dostać awans, a nie dostał. W swoim przekonaniu ponosi porażkę i nie rozumie, dlaczego tak się stało, dlaczego mu się wiodło i nagle przestało. Często jest rozgoryczony, ma objawy lękowe, depresyjne, psychosomatyczne. Cierpi, ale oczekuje jednego – że pomogę mu odbudować to je-

go wielkościowe „ja”. Sprawdzę, co się zacięło, podreperujemy to i potem dalej będzie żył w poczuciu odzyskanej sprawności. I ta jego przemożna chęć odzyskania tej fasady jest jedną ze wskazówek sugerujących, z jakim zaburzeniem możemy mieć do czynienia.

Z czym jeszcze przychodzą?

– Z problemem nadużywania alkoholu lub innych substancji psychoaktywnych. Używki służą zwykle albo do zagłuszania uczucia wstydu i porażki, których osoba narcystyczna doświadcza, kiedy ta fasada się sypie. Albo mają zwiększyć jej sprawność. W sumie chodzi o jedno – żeby podtrzymać tę fasadę. I nie konfrontować się z tym, co ona zakrywa.

Ale chcę powiedzieć jeszcze o jednym. Depresja, z którą zgłaszają się osoby narcystyczne, różni się od depresji, która może przyjść później, już w trakcie terapii. Ta pierwsza zazwyczaj jest reakcją na porażkę. Ta druga pojawia się w wyniku kontaktu z taką swoją biedą, z tym wewnętrznym,

niedożywionym, niewyrośniętym „ja”. Kiedy człowiek tego dotyka, gromadzi się w nim dużo smutku, a potem – jeśli dobrze pójdzie – zaczyna sobie zadawać pytania, czy da się to jakoś odbudować.

Da się?

– Zależy, na jakim etapie życia się do tego zabierze, ile ma lat.

Jeśli jednak jest w stanie wejść w kontakt z bólem i ze smutkiem, zobaczyć, co tak naprawdę zostało odcięte, to świadczy o jego zdrowieniu.

Mówi się, że osoby narcystyczne często odczuwają pustkę. Co to za uczucie?

– Pochodzi ono z tego miejsca pod maską, w którym miało być prawdziwe „ja”, ale go tam nie ma.

Pacjenci różnie to opisują. „Ciągle muszę sobie dostarczać nowych wyzwań i wrażeń, żeby poczuć, że żyję. Inaczej czuję się pusty”, „Dążyłam do czegoś, co wydawało mi się ważne, ale kiedy to osiągnęłam, nie poczułam radości, nawet ulgi. Niczego nie czułam”, „Byłem z rodziną na wakacjach, patrzyłem na innych ludzi, którzy są ze sobą w jakichś interakcjach, i wydawało mi się, że oni widzą w tym sens. Ja spojrzałem na swoich bliskich i pomyślałem: co ja tu robię?”.

Pytają też czasem: „Jak to jest, że robię to samo co inni, ale w ogóle nie czuję, że to jest moje życie?”.

Poza pustką jest jeszcze wstyd. Bardzo silne i potencjalnie destrukcyjne uczucie.

– I ten wstyd dotyczy różnych rzeczy. Może się brać z tego, że czegoś nie mam. Na przykład wstydzę się, że w gruncie rzeczy jestem zwyczajna. Ale wstydzili mogą się też tego, jaka jestem, ta prawdziwa, jak już rozpoznam swoje preferencje i zdolności.

Z problematyką narcyzmu wiąże się jeszcze jedno silne uczucie – zawiść, podsycana tym, że ktoś ma coś, czego ja nie mam, a w związku z tym muszę mu to odebrać. Bo wtedy poczuje się lepiej. Przykładowo: idę na spotkanie z partnerem, wszyscy się bawią, jego anegdotami, cieszą się z jego obecności, słuchają go, więc psuję mu tę przyjemność, komentując to złośliwie. Umniejszając go, uspokajam się, że ta moja fasada jest w porządku, a może nawet lepsza.

Wydaje się, że to straszliwy wysiłek.

– Który cały czas skupia się, powtórzę, na podtrzymywaniu tego zewnętrznego, fałszywego „ja”. Ale nawet kontaktowanie się z tymi prawdziwymi kawalkami siebie nie jest łatwe ani

przyjemne. Dlatego bardzo szanuję tych, którzy decydują się z tym zmierzyć. A potem z lekkim, kiedy odkryją, że wcale nie są super, tylko normalni, i z tą swoją normalnością muszą wyjść do ludzi, sprawdzić, czy zostaną przyjęci. Pacjenci nieraz mówią, że to jest takie przeżycie, jakby mieli stanąć nago na środku ulicy.

A mogą nie zostać przyjęci, bo i tak bywa.

– No i to jest coraz większy problem. Bo jak tu wyjść nago ze swoją zwyczajnością w świecie, który premiuje sukces, blichtr, moc? Współczesna kultura nie tylko utrudnia wychodzenie z narcystycznego stylu funkcjonowania, ale wręcz do niego zachęca. Wskazuje, że to jest właściwa droga adaptacji do środowiska.

Jeśli popatrzymy na nasze życie społeczne jak na rodzica, to jest to rodzic, który mówi: dziecko, musisz odnieść sukces, bo tylko wtedy będziesz kochane.

Między innymi znana amerykańska psycholożka Jean Twenge uważa, że przybywa osób z narcystycznym zaburzeniem osobowości. Inni, jak psycholog Craig Malkin, autor książki pt. „Rethinking Narcissism”, twierdzą, że więcej jest osób, które mają pewne cechy narcystyczne, ale wcale nie przyrasta osób z patologicznym narcyzmem. Jak pani to widzi?

– Mnie jest bliżej do tego drugiego autora. Na pewno jest trend do premiowania postaw czy też cech narcystycznych, ale czy to oznacza zwiększoną liczbę ostrych zaburzeń osobowości? Są badania, które mówią, że kiedyś te zaburzenia dotyczyły 0,5-1 proc. populacji, a dziś to już 5 proc., ale nie umiem się do nich odnieść. Nie wiem dokładnie, w jaki sposób ich uczestnicy byli diagnozowani, czy są wiarygodne.

Faktycznie widać, że współczesność ma specyfikę narcystyczną – z tą swoją wielozadaniowością, fragmentaryzacją, wymienialnością. Właszcza ludzi można dziś łatwo wymienić – w pracy, w związku.

I chyba też z tym naciskiem na wizerunek. Już nie ma osób, są marki osobiste.

– Rozwój nowych technologii sprawił, że funkcjonujemy w dużej mierze w kulturze wizualnej, w zalewie informacji, a to oznacza, że żeby przyciągnąć uwagę, musimy zbudować jakąś atrakcyjną wersję swojej osobowości online. To znaczy nie musimy, lecz tego się od nas oczekuje. To sprawia, że rozwijamy więcej zachowań o cechach narcystycznych.

Jak daleko czy też jak blisko jest od nagrażania takich cech przez kulturę do rozwinięcia zaburzenia osobowości? Czy to się może wydarzyć już w dorosłym życiu pod wpływem czynników, o których rozmawiamy?

– Na rozwój psychiczny człowieka można patrzeć jak na spiralę. Jeśli chodzi o narcyzm, to moment krytyczny, jak wspomniałam, przypada między 15. a 24. miesiącem życia. Narcyzm w takiej pierwotnej postaci ma prawo się w tym okresie pojawić i wiele zależy od reakcji otoczenia – czy przyjmie dziecko w całości, czy będzie na przykład premiować tylko jego sukcesy. Kolejny krytyczny moment przypada na okres nastoletni, kiedy wszystkie struktury się rozsypują i układają na nowo, co wymaga ciągłego zaabsorbowania sobą. Wtedy narcyzm znów wybuchy, powodując, że tożsamość jest bardzo krucha. I znów, jeśli człowiek wyjdzie z tego etapu, wzmacniając w sobie cechy i rozwiązania narcystyczne, to szanse na rozwinięcie zaburzenia osobowości są duże. A gdy przyjmujemy, że dziś okres dojrzewania rozciągnął się na lata – może trwać od mniej więcej 13. roku życia do trzydziestki, więc to jest kawał życia, a nie kilka lat burzy i naporu – to warunki do utrwalenia takiego zaburzenia robią się sprzyjające.

Co to są rozwiązania narcystyczne?

– To jest to ciągle poszukiwanie mocy, doskonalenie się, odrzucanie tego, co uważa się za słabe, nieatrakcyjne, nieprzynoszące sukcesu. Poszukiwanie gratyfikacji poprzez podziw, a nie poprzez prawdę i znaczenia.

Można coś na to zaradzić?

– Tą kontrą mogą być przytomny rodzic, przyjaciele, inne punkty odniesienia poza kulturą premiującą narcyzm. Taki nastolatek czy młody człowiek (i z tym się spotykam) może uznać: „OK, zbieram lajki i zamieszczam selfie, bo moje życie społeczne by nie istniało, gdybym nie włączył się w ten tryb, ale ostatecznie wiem, że to jest powierzchowne”. Albo: „Dobra, będę używać mediów społecznościowych do nawiązywania realnych kontaktów, ale nie do pokazywania się”.

Przeciwwagą jest umiejętność różnicowania pomiędzy tym, co online, a tym, co w rzeczywistości. Fajnie jest umieścić na Instagramie fotę z nagrodą zdobytą na zawodach sportowych, ale mieć przy tym świadomość, że ta nagroda wynika z tego, że trzy razy w tygodniu chodzę na treningi. I że jest to coś dla mnie bardzo ważnego. Wtedy to zdjęcie jest tylko pochodną mojego zaangażowania.

Co, kiedy selfie towarzyszy właściwie każdej informacji – o zdobytej nagrodzie, wakacjach, ale i o tym, co myślę o wojnie w Ukrainie czy na Bliskim Wschodzie?

– To selfie bardzo mnie ciekawi. Zastanawiam się, po co je robimy i co nam to robi? Dlaczego znajomi mają się dowiedzieć, że teraz patrzę na zachód słońca? Albo że gdzieś stoję? Przy czym nie widać, gdzie dokładnie, bo widoczna jest tylko moja twarz. Co to jest za komunikat? Czego oczekuję?

No właśnie, czego?

– Myślę, że nie wymiany myśli, lecz lajka. Czyli pod pretekstem komunikacji jest tylko oczekiwanie, że ta łyżeczka cukru, ten lajk, w szybki sposób podniesie mi nastrój.

Są badania, które mówią, że umieszczenie selfie w mediach społecznościowych zajmuje jakieś 30 sekund, lecz pobudzenie organizmu z tym związane trwa kilkanaście minut. Bo najpierw się to zdjęcie wrzuca, a potem sprawdza się reakcje i każda reakcja to kolejny haj.

Niektórzy twierdzą, że zamieszczają selfie, bo wtedy treści, które mu towarzyszą, na przykład społecznie ważne, trafiają do większego grona ludzi. Algorytmy podobno preferują ludzkie twarze.

– Wydaje mi się, że to jest jednak racjonalizacja.

Małgorzata Szpunar w pracy naukowej pod tytułem „Kultura cyfrowego narcyzmu” cytuje badania przeprowadzone przez Taylora M. Wickela wśród użytkowników Facebooka i Twittera, z których wynika, że 90,2 proc. publikuje zdjęcia w serwisach społecznościowych jedynie po to, by otrzymać lajką bądź komentarz. 60,3 proc. przyznaje, że usuwa zdjęcia w sytuacji, gdy nie otrzymują one wystarczającej liczby pozytywnych opinii, a niemal 16 proc. ma z tego powodu obniżony nastrój.

Myślę, że selfie używane do uzyskiwania takich krótkotrwałych gratyfikacji popycha nas w stronę jeszcze większego zaabsorbowania sobą, jednocześnie zmniejszając możliwość rzeczywistego kontaktu. Co mam na myśli? Psychoanalityk Christopher Bollas w doskonałej książce pt. „Znaczenie i melancholia. Życie w epoce oszłomienia” pisze, że aby uczestniczyć w wirtualnym świecie, ciągle robić selfie, trzeba się zdysocjować, czyli odłączyć od tego, w czym się jest tu i teraz. Oderwać od swojego realnego życia. Ale robienie i wrzucanie zdjęcia nie prowadzi nas wcale do budowania alternatywnego kontaktu z kimś, kto je ogląda, bo w gruncie rzeczy nie jesteśmy zainteresowani tą osobą i tym, co ona myśli. Chcemy od niej tylko tej narcystycznej gratyfikacji, tego lajka.

Czyli cały czas pompujemy tę fasadę?

– A jak pompujemy, to zaniedbujemy to, co naprawdę mogłoby nas odżywić. Dam trywialny przykład. Jeśli wrzucam do sieci zdjęcie kawy z superpianką po to, żeby zebrać wirtualne głaski, to nie daję sobie szansy, żeby się zastanowić, czy ja w ogóle mam ochotę na tę kawę. Może wolę herbatę albo wodę. A takie ciągle niekontaktowanie się z tym, czego właściwie chcę, co mi się podoba, tylko dopieszczenie „ja” na pokaz powoduje, że wewnętrzny głód i pustka będą się nasilać.

W tym kontekście Bollas pisze też ciekawie o normopatii, czyli o dążeniu do tego, żeby życie było przyjemne, komfortowe, bezpieczne, żeby nic nie sprawiało bólu. Koncentrowanie się na tym i usuwanie wszystkiego, co drażni i jest trudne, prowadzi do tego, że ludzie tworzą życie, w którym zasadniczo nic im nie brakuje, ale nagle popadają w głęboką depresję wynikającą z zubożenia życia o prawdziwe treści.

Jest teraz taki trend, żeby na Instagramie umieszczać zdjęcia bez filtra i filmiki o swoich potknięciach, z hasztagiem #autentyczność.

– Nie znalazłam tego trendu, ale przyznam, że jestem nim załamana.

Dlaczego?

– Bo to jest cały czas w nurcie czegoś fałszywego. Opowiadanie o swoim życiu – o jego dobrych czy złych stronach – nie odbywa się przez to, że umieszczę rolkę na Facebooku

■

Jak tu wyjść nago ze swoją zwyczajnością w świecie, który premiuje sukces, blichtr, moc? Współczesna kultura nie tylko utrudnia wychodzenie z narcystycznego stylu funkcjonowania, ale wręcz do niego zachęca

albo na Instagramie. Muszę wiedzieć, komu chcę o tym opowiedzieć, dlaczego akurat tej osobie, z kim w ogóle rozmawiam. Jest różnica pomiędzy nadawaniem komunikatu, mówieniem do a rozmawianiem. To wymiana, dostrzeganie różnicy i przetrawianie jej, dostrzeganie tego, co inni wnoszą w moje życie swoją innością, buduje nas i wzbogaca.

Skupiłyśmy się na tym, co w kulturze wzmacnia cechy narcystyczne. A co je może osłabiać?

– Wie pani, mimo tego, co powiedziałyśmy, jestem dość spokojna. W takim sensie, że wierzę, że ludzkość się ostatecznie wybroni. Nie zrezygnuje z realnych, szczerych kontaktów i wymian, a to na pewno osłabia narcystyczne zapędy. Jestem też spokojna o to, że ludzie nie przestaną czytać książek. O młodych, którzy coraz sprawniej i mądrzej korzystają z nowych technologii, często rozsądniej od nas, starszych. I w tym upatruję jakieś nadziei, że wyjściem nie jest powrót do lasu, ale jakieś opamiętanie. Ludzie, kiedy czują, że coś im nie służy, zaczynają szukać wyjścia. I to niekoniecznie przez gabinet psychoterapii.

A przez co?

– Szukając sensu w małych sprawach zamiast w sukcesach, na przykład. Sprawdzając, co im sprawia przyjemność, co im smakuje, a co jest przereklamowane. I może to nie jest spektakularne ani fotogeniczne, ale jest ich. To może być antidotum na presję, żeby się pokazywać. Nadawanie znaczyć jest też czymś, co wykracza ponad powierzchnię. Czyli nie – o, zachód słońca, fajnie, wrzucam, tylko – co to znaczy, że jestem w tym miejscu? Czy to znaczy, że dobrze mi się wiedzie? A może byłam chora i to jest czas mojej rekonwalescencji? Kiedy odkrywam albo nadaję znaczenie temu, co robię, i chcę je dzielić z kimś drugim w szczerzej relacji, wtedy to zaczyna mieć sens. To jest antynarcystyczne.

Przeciwko rozwojowi cech narcystycznych jest także to wszystko, co obniża lęk. Bo jak człowiek przestaje się bać, to nie musi już pompować tej fasady. Robi się miejsce na elastyczność, na poczucie humoru, również względem siebie, na inność. Na to, żeby się nie odgradzać murem.

Czy to znaczy, że im więcej lęku, tym większe nasilenie cech narcystycznych?

– Zdecydowanie. I myślę, że tym, co sprzyja wzmacnianiu narcyzmu w naszych czasach, poza nowymi mediami, jest też właśnie nasilenie różnych lęków cywilizacyjnych związanych z wizerunkiem, z posiadaniem, z sen-

sem życia itd. To sprawia, że ludzie zaczynają szukać, jak się przed tym zabezpieczyć, i jedną z takich odpowiedzi może być rozwój fałszywego „ja”.

Grupa na lęk może zareagować tak samo? Stąd się bierze narcyzm grupowy?

– Grupa rządzi się trochę innymi prawami, jest czymś więcej niż sumą jednostek. Zależy też, jak bardzo jest zastraszana, na jakim poziomie. Ale na pewno można znaleźć podobieństwa pomiędzy narcyzmem jednostkowym a grupowym. Podobne jest na przykład rozszczepienie, które polega na idealizacji grupy własnej, dewaluacji i usunięciu tego, co się nam w nas nie podoba, oraz wyprojektowaniu tego na innych.

Czyli to oni są złodziejami, oni łamią prawo. My jesteśmy święci.

– Na przykład. Podobna jest też niemożność zintegrowania własnej zwyczajności, czyli tego, że jesteśmy zwykłą grupą, zwykłym spo-

■

Jak tu wyjść nago ze swoją zwyczajnością w świecie, który premiuje sukces, blichtr, moc? Współczesna kultura nie tylko utrudnia wychodzenie z narcystycznego stylu funkcjonowania, ale wręcz do niego zachęca

czeństwem, które ma swoje zalety, ale i wady. To powoduje, że zasila się cały czas to swoje wielkościowe „ja”: my jesteśmy super, jesteśmy bohaterami, wstajemy z kolan itd., ale znajdujemy się pod naporem czegoś złego i ohydnego, co trzeba natychmiast zniszczyć.

Ta retoryka służy do wzbudzenia lęku, by móc potem powiedzieć: to my was uratujemy. Jest narzędziem wpływu politycznego. I to się robi już bardzo niebezpieczne, bo wtedy wszystko, co złe, marne, zachłanne czy brudne, lokuje się w tym innym, który przestaje być postrzegany jak człowiek.

Ludzie o jakiej konstrukcji psychicznej mają większą szansę załapać się na tę retorykę?

– Wszyscy jesteśmy na to podatni, niezależnie od światopoglądu. Narcyzm grupowy to jest tak naprawdę bańka, w której siebie i swoich postrzega się jako tych lepszych, wyjątkowych, a wszystkich innych jako złych i zagrożających.

Co w takim razie może obniżyć tę chęć konsolidowania się wokół wspólnej fasadowej wielkości? Powiedziała pani o lęku, więc zakładam, że zwiększanie poczucia bezpieczeństwa?

– To po pierwsze, to drugie – odzyskiwanie poczucia wspólnotowości.

Powiem pani coś. Przed wyborami zrobiłam sobie test na Latarniku Wyborczym. Wynik, który uzyskałam, nie był dla mnie niespodzianką, ale jakież było moje zdumienie, kiedy zobaczyłam, że w 46 proc. mam poglądy wspólne z Konfederacją. Pomyslałam, że różnica między mną a kimś, kogo uważam za skrajnie innego, jest dużo mniejsza, że prawdopodobnie dużo więcej nas łączy. I że być może to rozszczepienie na dobrych i złych, to ciągle podkreślanie różnic służy wyłącznie walce politycznej. W rzeczywistości jesteśmy do siebie dużo bardziej podobni, a to by oznaczało, że nie musimy się tak siebie bać ani tak się od siebie izolować.

Psycholożki, które badają narcyzm grupowy – Agnieszka Golec de Zavala i Karolina Dyduch- Hazar – napisały, że satysfakcja z życia społecznego, z tego, co udaje się zrobić wspólnie, zmniejsza tendencję do przylegania do tych, którzy uprawiają narcyzm grupowy.

– I mnie się wydaje, że jeśli będziemy doświadczać tych realnych kontaktów z ludźmi, którzy są inni od nas, którzy myślą i żyją inaczej, i to będzie źródłem budowania naszego stosun-

ku do nich, a nie przekaz medialny, to zmieni to postać rzeczy.

Co by pani chciała, żeby się zmieniło w obecnej opowieści wokół narcyzmu?

– Żeby ustały te ataki, to nieustanne szufladkowanie. Wierzę, że to minie, tak jak minęły inne, podobne mody. Kiedyś ciągle mówiło się o toksycznych rodzicach, szczególnie toksycznych matkach, ale w ogóle wszyscy nagle zaczęli być toksyczni. Dziś słyszy się to określenie znacznie rzadziej.

Chciałabym też, żeby mniej używano medycznego, diagnostycznego, a tak naprawdę pseudopsychoterapeutycznego języka do opisu rzeczywistości, a bardziej trzymano się swojego żywego doświadczenia, czyli żeby ludzie bardziej myśleli o tym, co ich spotyka, co przeżywają, a nie tylko: aha, to narcyz, dlatego mi źle.

Ja bym jeszcze chciała, żebyśmy myślać o narcyzmie, w pierwszym odruchu zwracali uwagę na siebie, a nie na innych, na ile sami mamy takie cechy.

– Podoba mi się to. Ale to jest właśnie taki ruch w kierunku odzyskiwania wspólnoty, myślenia o tym jako o wspólnym doświadczeniu.

Czy wyleczenie z narcyzmu jest w ogóle możliwe?

– Pytanie, co to właściwie znaczy: wyleczyć kogoś? Jestem psychoterapeutką psychodynamiczną, a to, po pierwsze, oznacza, że pracuję z pacjentami długo, niezależnie od tego, czy są to osoby z zaburzeniem narcystycznym, czy z innymi problemami. Po drugie, w tym podejściu jest tak, że zazwyczaj kończymy psychoterapię nie dlatego, że osiągnęliśmy cel założony na początku, on się zmienia w trakcie, ale wtedy, kiedy i ja, i pacjent jesteśmy w stanie zaakceptować pewne rozczarowanie psychoterapią.

Jak to?

– Przyjąć, że ma ona swoje ograniczenia, nie służy do stworzenia jakiegoś nadczłowieka. Chcę przez to powiedzieć, że osoba narcystyczna nie stanie się kimś zupełnie innym wskutek terapii. Dalej będzie się zmagać z różnymi trudnościami wynikającymi z tego, jaka jest, jednak pewne rzeczy wskazują na to, że możemy się już bezpiecznie rozstać. Kiedy nie musi już używać tych wszystkich zniczulaczy, żeby znieść siebie i rzeczywistość. Kiedy jest świadoma, jakie ma deficyty, i kiedy „daje ciała” w relacjach. Kiedy akceptuje swoją zwyczajność. Kiedy odkrywa, a czasami wraca do rzeczy, które są dla niej ważne. I tak się dzieje, ale może też być inaczej. Mam parę takich doświadczeń, kiedy osoby narcystyczne zdecydowały, że chcą zakończyć psychoterapię z pełną świadomością, że to, co stosują, jak funkcjonują, na przykład reperując swoje poczucie sensu sukcesami w pracy, to kompensacja. Jednak uznały, że nie są w stanie żyć inaczej.

I co pani o tym myśli?

– Dla mnie to jest zawsze poruszające, kiedy człowiek staje twarzą w twarz z prawdą i przyznaje, używając naszej metafory: „Nie dam rady wyjść nago na ulicę, to mnie przerasta. Wiem, ile za to płacę, ale decyduję się dalej tak żyć”. ●



***Joanna Sadzawicka-Olczak**

● psycholożka, certyfikowana psychoterapeutka i superwizorka – aplikantka Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego. Współpracuje ze Szpitalem Klinicznym im. Babińskiego w Krakowie

Adam Michnik poleca

HERR KRIEGER STUDIUJE W ARKANSAS

Osiem dni po ogłoszeniu przez Hitlera ustawy o ochronie niemieckiej krwi 45 nazistowskich prawników popłynęło do Nowego Jorku po nauki

Ira Katznelson*

Było bardziej ekstrawaganckiego miejsca dla teatru politycznego Trzeciej Rzeszy niż okazałe place apelowe, dwa duże stadiony i hala kongresowa w Norymberdze, projekt, którego mózgiem był Albert Speer. W latach 1933-38 był on choreografem masowych wieców podczas dorocznych zjazdów NSDAP, zgromadzeń rozslawionych przez oszalamiające filmy dokumentalne Leni Riefenstahl z 1933 i 1935 r. – „Zwycięstwo wiary” i „Triumf woli”.

Norymberga we wrześniu 1935 r. była miejscem „partyjnego wiecu wolności”. Podczas niego Reichstag na specjalnej sesji przyjął przez aklamację przepisy, które pozbawiały Żydów jako obywateli Rzeszy praw politycznych, zabraniały im zawierania małżeństw lub uprawiania seksu z osobami zidentyfikowanymi jako rasowi Niemcy, zakazywały też Żydom eksponowania barw narodowych lub nowej flagi narodowej, sztabu ze swastyką.

Zaledwie osiem dni po formalnym ogłoszeniu przez Adolfa Hitlera ustawy o obywatelstwie Rzeszy, ustawy o ochronie niemieckiej krwi i niemieckiego honoru oraz ustawy o fladze Rzeszy 45 nazistowskich prawników popłynęło do Nowego Jorku pod auspicjami Związku Narodowosocjalistycznych Prawników Niemieckich. Podróż była nagrodą dla prawników, którzy skodyfikowali filozofię prawną Rzeszy opartą na rasie.

Oficjalnym celem wizyty było uzyskanie „specjalnego wglądu w funkcjonowanie amerykańskiego życia prawnego i gospodarczego poprzez studia i wykłady”, a na czele tej grupy stał Ludwig Fischer. Jako gubernator dystryktu warszawskiego pół dekadę później zaprowadzi zbrodnicze porządki w warszawskim getcie.

Każdy dzień przynosi nowe przypomnienia, że demokracja liberalna i nieliberalna mogą się niezbyt pięknie przeplatać. Oto kontekst, w jakim ukazała się książka amerykańskiego prawnika Jamesa Q. Whitmana „Hitler’s American Model: The United States and the Making of Nazi Race Law” („Amerykański wzorzec Hitlera. Stany Zjednoczone i tworzenie nazistowskiego prawa rasowego”, Princeton 2017). Bada on, jak to się stało, że Trzecia Rzesza znalazła pożywkę dla swoich inicjatyw rasowych w amerykańskim prawie.

Po przybyciu do portu Niemcy wzięli udział w przyjęciu zorganizowanym przez stowarzyszenie prawników New York City Bar Association. Wszyscy obecni na sali wiedzieli o tym, co niedawno zdarzyło się



w Norymberdze, jednak okoliczność, że czołowi nazistowscy prawnicy chcą czerpać wiedzę z amerykańskich systemów prawnych i gospodarczych, bardzo się podobała.

Whitman, profesor Yale Law School, chciał się dowiedzieć, jak to możliwe, że w Ameryce, kraju opartym na tak liberalnych zasadach jak prawa jednostki i rządy prawa, mogły się narodzić idee i praktyki prawne, które „wydawały się intrygujące i atrakcyjne dla nazistów”. Badając tę pozorną sprzeczność, w swej krótkiej książce postawił ważne pytania dotyczące prawa i decyzji politycznych, które wpływają na zakres obywatelskiej przynależności i elastyczności wartości oświeceniowych.

Opierając zarzuty naukowców bagatelizujących wpływ amerykańskiego modelu prawnego w kwestii rasizmu na nazistowskie Niemcy, Whitman przedstawia wiele dowodów potwierdzających prawdopodobieństwo, że „ustawy norymberskie odzwierciedlają bezpośredni wpływ Stanów Zjednoczonych”. Jak podkreśla, jako światowy lider prawa rasowego Ameryka stanowiła najbardziej oczywisty punkt odniesienia dla „Preussische Denkschrift”, memorandum z września 1933 r., napisanego przez zespół niemieckich prawników. W jego skład wchodził Roland Freisler, który wkrótce miał się stać niezwykle okrutnym przewodniczącym nazistowskiego Trybunału Ludowego.

Amerykańskie precedensy wpłynęły również na inne kluczowe nazistowskie teksty, w tym narodowosocjalistyczny podręcznik prawa i prawodawstwa z lat 1934-35, zredagowany przez Hansa Franka, przyszłego gubernatora generalnego w okupowanej Polsce, który został później powieszony w Norymberdze.

W kluczowym eseju zawartym w tym tomie, zaleceniach Herberta Kiera doty-

czących ustawodawstwa rasowego, jedna czwarta tekstu poświęcona jest ustawodawstwu Stanów Zjednoczonych. Wykraczało ono poza segregację rasową i obejmowało zasady odnoszące się do amerykańskich Indian, kryteria obywatelstwa dla Filipińczyków i Portorykańczyków, a także Afroamerykanów, przepisy imigracyjne i zakaz mieszanych małżeństw w około 30 stanach. Żaden inny kraj, nawet RPA, nie miał porównywalnie rozwiniętego zestawu przepisów w tej sferze.

WUSA nawet prezydentura Afroamerykanina nie usunęła kwestii rasy z agendy politycznej

Szczególnie znaczące były pisma niemieckiego prawnika Heinricha Kriegera, „najważniejszej postaci w procesie nazistowskiej asymilacji amerykańskiego prawa rasowego”. Spędził on w ramach wymiany studenckiej rok akademicki 1933/34 w Fayetteville na University of Arkansas School of Law. Dążąc do wykorzystania wiedzy historycznej i prawnej w służbie aryjskiej czystości rasowej, Krieger badał wiele zagranicznych reżimów rasowych, w tym w Republice Południowej Afryki, ale to, co najważniejsze, odkrył w prawie amerykańskim.

Swoje dogłębne badania nad Stanami rozpoczął od artykułów z 1934 r.; niektóre dotyczyły Indian amerykańskich, inne były oceną amerykańskiego ustawodawstwa rasowego. Wszystkie były przygotowaniem do powsta-

• **Doroczny grill dla pracowników organizowany w latach 30. przez plantatorów z Alabamy** FOT. ALAMY/BE&W

nia jego kluczowej książki z 1936 r., „Das Rassenrecht in den Vereinigten Staaten” („Prawo rasowe w Stanach Zjednoczonych”).

Koronnym dowodem Whitmana jest zapis konferencji z 5 czerwca 1934 r.; czołowi niemieccy prawnicy zebrali się na niej, aby wymienić się pomysłami na temat tego, jak najlepiej „zoperacjonalizować” rasistowski reżim. Zapis odzwierciedla, jak najbardziej skrajni z nich, którzy odwoływali się do Kriegera, byli szczególnie zainteresowani amerykańskim prawem opartym na supremacji białych. Twierdził się tu przede wszystkim Freisler. Twierdził on, że rasa jest konstrukcją polityczną. Zarówno w Ameryce, jak i w Niemczech znaczenie rasy zostało określone w mniej-szym stopniu przez naukę lub konwencje społeczne niż przez decyzje polityczne zapisane w prawie.

Ale nawet niezaprzeczalne dowody intensywnego zainteresowania Niemców amerykańskimi modelami nie potwierdzają kluczowej dla nich roli amerykańskiego prawa rasowego, co Whitman sam ostrożnie przyznaje. W końcu intelektualni i polityczni przywódcy nazizmu mogli równie dobrze wykorzystywać amerykańskie przykłady tylko po to, by uczynić bardziej uzasadnionymi groteskowe projekty, które już zamierzali realizować.

Odpowiedź na pytanie o wpływy międzynarodowe jest ostatecznie mniej ważna niż inny cel Whitmana: spojrzenie na hierarchię rasową w Stanach Zjednoczonych oczami nazistów. „Tym, z czym historia przedstawiona w tej książce wymaga od nas

konfrontacji – pisze – jest pytanie nie o genezę nazizmu, ale o charakter Ameryki”.

Jego niepokojący raport zajmuje się zatem szerszą historią Stanów Zjednoczonych jako ustroju bazującego na zasadach ludzkiej równości, oświeceniowego rozumu i konstytucyjnych ograniczeń władzy państwowej, ale ukształtowanego przez ogromne zło i długoterminowe konsekwencje niewolnictwa opartego na rasie.

Lektura „Amerykańskiego wzorca Hitlera” zmusza do pogodzenia się z twardym faktem, że w okresie Trzeciej Rzeszy w latach 1933-45 mniej więcej połowa członków Partii Demokratycznej w Kongresie reprezentowała stany, w których obowiązywały tzw. prawa Jima Crowa [ograniczające wolności byłych niewolników], a żadna z głównych partii nie dążyła do zmiany owych praw rasowych, tak podziwianych przez niemieckich prawników i sędziów.

Zrozumienie związku między rasą a demokracją to paląca kwestia od czasu powstania Stanów. Głębokie napięcie między nimi – jak na ironię, plantacja w Port Tobacco w stanie Maryland, pełna niewolników, nazywała się Equality [Równość], a należała do Michaela Jenifera Stone’a, jednego z sześciu członków delegacji tego stanu do Izby Reprezentantów w pierwszej kadencji Kongresu – zastanawiało wielkiego badacza amerykańskiej równości Alexisa de Tocqueville’a. W „Demokracji w Ameryce”, opublikowanej dokładnie sto lat przed ustawami norymberskimi, rozpoczął dyskusję na temat „trzech ras zamieszkujących terytorium Stanów Zjednoczonych”, ogłaszając, że te wątki „są bliskie mojego tematu, będąc amerykańskimi, ale nie demokratycznymi, a moim głównym zadaniem było opisanie demokracji”.

Whitman powołuje się na prace politologów, którzy w duchu Tocqueville’a odróżniają to, co nazywają porządkiem białej supremacji, od porządku liberalnego i egalitarnego. Jego własna książka pokazuje jednak, że taki podział jest zbyt jednoznaczny. Musimy pogodzić się z rasą w Ameryce w połączeniu z rozważaniami na temat demokracji.

Whitman nie podważa liberalnej tradycji w Stanach Zjednoczonych, nie traktuje jej jako fikcji, jak wielu teoretyków prawa Trzeciej Rzeszy, którzy zwracali uwagę na wzorce podporządkowania czarnych i Indian amerykańskich. Raczej pośrednio zachęca czytelników do zastanowienia się nad tym, kiedy, w jaki sposób, w jakich warunkach

i w jakich sferach brzydkie cechy rasizmu wysunęły się na pierwszy plan w amerykańskiej liberalnej demokracji. I odwrotnie, możemy zapytać, kiedy i dlaczego te cechy zostały osłabione, co doprowadziło do bardziej równego dostępu mniejszości rasowych do przestrzeni fizycznej, kultury, lepszego statusu materialnego i obywatelskiej przynależności.

Liberalno-demokratyczne idee i instytucje w Ameryce, w przeciwieństwie do reżimu Hitlera, zawsze były zarówno podatne, jak i odporne na rasistowskie wykluczenie. Chociaż Stany wkroczyły w lata 30. XX wieku jako kraj o najbardziej ugruntowanym porządku rasowym na świecie, drogi zaczynające się w Norymberdze i w tych stanach USA, w których obowiązywały prawa Jima Crowa, poprowadziły w zupełnie odmienne strony: jedna w stronę ludobójstwa, a druga, po wielu zmaganiach, w stronę znacznej poprawy w sferze praw obywatelskich.

Jednak żadna z oznak tej poprawy, nawet prezydentura Afroamerykanina, nie usunęła kwestii rasy i obywatelskiego statusu z agendy politycznej. Dzisiejsze debaty nad obiema kwestiami wyraźnie przypominają nam, że nie ma tu gwarancji sukcesu.

Same zasady demokratycznej gry – wybory, otwarte media i reprezentacja polityczna – stale stwarzają pole dla rasowej demagogii, strachu i wykluczenia. Freisler i inni prawnicy Trzeciej Rzeszy rozumieli to aż nazbyt dobrze: rasistowskie idee i rasistowska polityka są głębokimi produktami politycznych decyzji. ●

przet. cyw



*Ira Katznelson

● ur. w 1944 r., amerykański politolog i historyk. Zajmuje się m.in. zaletami i słabościami politycznego liberalizmu w USA i w Europie. Tekst ukazał się w listopadzie 2017 r. w amerykańskim miesięczniku „The Atlantic”. Tytuł – „Wyborcza”

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Zbigniew Herbert

Jesień sprawiedliwa

Tej jesieni drzewa nareszcie mają spokój. Stoją cały czas w twardej nieco pogardliwej zieleni i ani cienia żółci, ani ziarna czerwieni w liściach. Trawa jest gęsta, mocno wbita w skórę ziemi i niczym nie przypomina sierści starych zwierząt. Nietknięte różę toczą swoje rozgrzane planety wokół nieruchomych i chudych jak księżycy owadów.

Tylko pomniki przeżywają jesień tym tragiczniejszą, że już ostatnią. Spróchniałe cokoły ukazują nietrwałość budowniczych imperium. Sypią się skrzydła aniołów i pióropusze admirałów. Pęknięte czoło filozofa odstawia przeraźliwą pustkę rozbitych naczyń. Tam gdzie był palec wskazujący proroka, płynie teraz mały pajaczek uczepiony babiego lata.

Siwi zakochani idą pod wiecznymi drzewami ścieżką zasypaną chrupkami paluszkami bogów i cesarów.



Utwór z tomu „Studium przedmiotu” (1961), za: Zbigniew Herbert, „Wiersze zebrane”, opracowanie edytorskie Ryszard Krynicki, Wydawnictwo a5, Kraków 2011

Exit

Już prawie zapomnieliśmy, że Polska może być „kochana”, a nie tylko „zdradzona”, „walcząca” czy lękająca się „utruty niepodległości”.

Michał Rusinek

Kiedy w niedzielę o 21 zobaczyliśmy słupki poparcia dla poszczególnych ugrupowań, przyszedł czas na wypowiedzi ich liderów na gorąco komentujących wyniki.

Jarosław Kaczyński z trudem dobił się do głosu, bo w sztabie skandowano tradycyjnie: „Ja-ro-sław! Ja-ro-sław!”. „Szanowni państwo, mamy pierwsze wyniki badań. One nam dają czwarte zwycięstwo w wyborach parlamentarnych (...). To jest naprawdę wielki sukces naszej formacji i naszego projektu dla Polski” – oświadczył prezes PiS, lecz na tym skończył odtrąbianie rzeczonego sukcesu, dość względnego, co było widać po minach towarzyszących mu na scenie polityków i polityczek. Dalej mówił już w innym trybie: „No, ale oczywiście przed nami jeszcze stoi pytanie o to, czy ten sukces będzie można zmienić w kolejną kadencję naszej władzy. I tego jeszcze w tej chwili nie wiemy. Ale musimy mieć nadzieję (...), że niezależnie od tego, czy będziemy przy władzy, czy będziemy w opozycji, to ten projekt będziemy na różne sposoby realizować”. Do tej pory były to słowa dojrzałego polityka, który liczy się z tym, że brak zdolności koalicyjnej jego partii prawdopodobnie spowoduje, że władzę utraci, jednak obiecuje, że nie zrezygnuje z linii politycznej, którą przyjął. Ale odpowiedział: „I nie pozwolimy na to, by Polskę zdradzono”. W tym dopowiedzeniu są dwa charakterystyczne dla języka „dobrej zmiany” mechanizmy: posłużenie się pojęciem zdrady jako przeciwieństwa patriotyzmu, równoznacznego z popieraniem polityki PiS-u i użyciem formy bezosobowej: „zdradzono”. Kto zdradził? Obywatele, którzy głosowali inaczej? Potencjalni koalicjanci? Obec siły, które zmanipulowały opinię publiczną za pośrednictwem nierządowych mediów? Nieznani sprawcy? Odpowiedzi próżno szukać, bo przecież przyzwyczailiśmy się już do ulubionego przez prezesa Kaczyńskiego insynuacyjnego trybu wypowiedzi.

„Nie pozwolimy na to – mówił dalej prezes – by Polska utraciła to, co jest najcenniejsze w dziejach naszego narodu (...), to znaczy: niepodległość. Prawo do decydowania o własnym losie”. To wprawdzie wybory parlamentarne są formą decydowania o własnym losie, ale rozumiem, że to zdanie wiąże się z przeświadczeniem, że polityka opozycji zbliża nas do Unii Europejskiej, którą PiS traktuje jako zagrożenie dla naszej niepodległości, bo nie rozumie, że jesteśmy jej częścią. I na koniec dodał: „Pamiętajcie o tym, że przed nami jeszcze dni walki, dni różnego rodzaju napięć”. Skończył się bowiem wybory, o których można mówić i myśleć w kategoriach sportowych. Teraz wraca polityka, o której Kaczyński mówi i myśli w kategoriach militarnych; „napięcia” to w jego ustach spory eufemizm.

Donald Tusk zwracał się do nas o wiele bardziej familiarnie: „Powiem wam” (a nie „państwu”), i już w pierwszym zdaniu zaznaczył, że pozostanie w metaforyce sportowej. „Jestem od wielu lat politykiem, jestem sportowcem: nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy z tego niby drugiego miejsca. Wygrała Polska, wygrała demokracja. Odsunęliśmy ich od władzy! Jeszcze rok temu nikt w to nie wierzył, jeszcze trzy miesiące temu nie byliśmy tego pewni, jeszcze wczoraj ludzie do

mnie podchodzili i pytali: »Czy na pewno dacie radę?«” – mówił. Tego Kaczyński nie mógłby powiedzieć, bo od dłuższego czasu nie dopuszcza do siebie ludzi, chroniąc się za kordonami policji tajnych, widnych i dwupłciowych (kiedy wszedł między ludzi do lokalu wyborczego, ci ludzie odesłali go na koniec kolejki). „Ale dzisiaj już możemy powiedzieć – kontynuował Tusk – to jest koniec tego złego czasu, to jest koniec rządów PiS-u!”. „Zły czas” może się wydawać określeniem niepasującym do języka polityki, ale nie jest to sformułowanie przypadkowe: PiS przedstawiał swoją politykę jako „dobrą zmianę”, czyli w kategoriach moralnych. Nazwanie tych rządów „złym czasem” obnaża hipokryzję tego przedstawienia za pomocą tych samych moralnych kategorii. Następnie były podziękowania: dla liderów pozostałych partii opozycyjnych i dla wyborców, oraz podsumowanie: „Tego już nikt nam nie zabierze: wygraliśmy demokrację, wygraliśmy wolność, wygraliśmy znowu naszą kochaną Polskę”. Prawie zapomnieliśmy, że Polska może być „kochana”, a nie tylko „zdradzona”, „walcząca” czy lękająca się „utruty niepodległości”.

„Dziękujemy, Polsko” – wołał Władysław Kosiniak-Kamysz, a wtórował mu Szymon Hołownia: „Ludzie są dobrzy! Polska jest piękna!”. Dodał jeszcze jeden zapomniany przymiotnik do Polski. Hołownia przyjął metaforę żeglarską: „Trzecia Droga chciała [być] i wiele na to wskazuje, że będzie – kotwicą demokracji przez następne lata w Polsce”. Rysuje się tu wizja zgola inna niż w kazaniach ks. Skargi: to nie Polska jest okrętem, ale demokracja. Dzięki Trzeciej Drodze jest szansa, że zacumuje on w polskim porcie, choć już nam odpływał w siną dal. Przyszedł czas na cytaty. Kosiniak-Kamysz przytoczył Gandhiego: „Najpierw cię pomijają, później się z ciebie śmieją, następnie z tobą walczą, na finał – wygrywasz. Te słowa się sprawdziły dla Trzeciej Drogi!”. Hołownia skromnie przyznał, że nie jest Joanną Szczepkowską (trudno się nie zgodzić), lecz sparafrazował jej słowa: „15 października skończyły się w Polsce kłótnie i rozdawnictwo, a zaczęła się współpraca i inwestycja w naszą przyszłość”.

W sztabie Nowej Lewicy Robert Biedroń też sparafrazował Joannę Szczepkowską: „Szanowni państwo! 15 października skończył się PiS”, ale też zwrócił się do Europy: „Droga Europo! 15 października Polska wraca do Europy”. Najlepiej, najprościej i bez leksykalno-krasomówczych popisów mówiły jednak kobiety: Joanna Scheuring-Wielgus, gratulująca Polkom i Polakom oszalamiającej frekwencji, i Magdalena Bieja, podsumowująca kampanię: „Mówiliśmy, że inna polityka jest możliwa. Że możliwa jest polityka, która mówi o sprawach, o waszych sprawach. Nie o tym, kto kogo nienawidzi, nie o tym, kto komu zrobił przykrość 15 lat temu, tylko patrzącą w przyszłość. Taka, która mówi o wspólnej Polsce, którą wszyscy zbudujemy”.

To zdanie jest kluczowe. Nie ma w nim podziałów na prawdziwą i nieprawdziwą Polskę: mieścimy się w nim wszyscy, bez względu na poglądy. Pobrzmiewa w nim echo hasła opozycji przed wyborami w 1989 r. autorstwa Ernesta Brylla: „Jesteśmy wreszcie we własnym domu. Nie stój, nie czekaj. Co robić? Pomóż”. Tamte wybory doprowadziły do upadku komunizmu, te – do upadku rządów PiS-u, które z PRL-em wiele przeciw miały wspólne. Ale są różnice: frekwencja i udział procentowy kobiet w tych wyborach były o wiele wyższe niż w tamtych. Wygląda na to, że jako społeczeństwo obywatelskie dojrzeliliśmy. ●

Jezus wie, że go kocham. Nie ma nic przeciwko Żydom

FOT. ARCHIWUM ANNY I ALEKSANDRA EDELMANÓW

„Jak zaczęli strzelać, powiedział, że ma córkę w klasztorze w Zamościu, że on nie przeżyje tego, a ja przeżyję, więc mam zająć się po wojnie tą córką. Powiedziałem: »Dobra, dobra, nie pleć głupstw«”. Był 19 kwietnia 1943 roku, dzień wybuchu powstania w getcie warszawskim.

Reporterką Hanna Krall zapytała Marka Edelmana, co się stało z dziewczynką.

„Nie ma jej. Wyjechała do Ameryki. Jacyś bogaci ludzie zaadoptowali ją i bardzo ją kochali. Elżunia była piękna i mądra. A potem popełniła samobójstwo.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Kiedy byłem w Ameryce, poszedłem do tych rodziców. Pokazali mi jej pokój. Niczego w nim nie zmieniali od jej śmierci. Ale nadal nie wiem, dlaczego to zrobiła”.

„Miała wszystko – pisała dalej Krall w książce »Zdażyć przed Panem Bogiem« – kochających rodziców, pokój z drogi zabawkami, a później świetny dyplom i przystojnego narzeczonego, ale któregoś dnia połknęła środki nasenne i został po niej ten piękny pokój, seledynowo-biały, w którym jej dobry amerykański ojciec nie pozwalał przestawić żadnej rzeczy i mówi, że tak musi zostać na zawsze”.

Elżunia, wtedy już Elza Shatzkin, popełniła samobójstwo 18 października 1962 roku, miała dwadzieścia pięć lat. Cztery lata wcześniej opublikowała w magazynie literackim Uniwersytetu Cornell opowiadanie o sześciolatniej żydowskiej dziewczynce ukrywanej w klasztorze.

PRZEMYŚL – GRUDZIEŃ 1942

Szósta rano. Znowu jest szósta rano, bo słyszę dźwięk dzwonu. Nienawidzę tego dźwięku. Mam sześć lat i jest godzina szósta. To miłe. Muszę zobaczyć, czy Józefina się obudziła. Ma tylko cztery lata. Jeśli się nie obudzi albo jeśli zmoczy łóżko, zbiją mnie, a może ją też. Biją każdego, szczególnie jeśli jesteś mała. Przyszła siostra Katarzyna. Nosi ciężką brązową suknię, długą do ziemi, na którą mówią „habit”.

Chodź, Józefino, teraz się umyjemy. Józefina nie zmoczyła znów łóżka. Przytula się do mnie, jakbym była jej matką. Ale ja jestem za mała.

Dzisiaj jest sobota. Wieczorem wykapiemy się i dadzą nam czyste koszule. Być nagą to nie jest miłe, dlatego musimy mieć na sobie nasze brudne koszule, kiedy się kąpiemy, i myć się pod koszulą.

Dlaczego siostra Agata jest niedobra? Jest ładna, ale niedobra. Janka miała dziurawe majtki. Wszystkie stałyśmy w szeregu i Janka musiała zdjąć majtki, a siostra Agata zbilą ją paskiem od habitu. Janka płakała, bo się wstydziła i ją bolało.

Matka przełożona jest dla mnie miła. Wie, że jestem Żydówką i naprawdę nie nazywam się Maria. Nazywam się Chana Stern. To źle być Żydem i nigdy nikomu o tym nie powiem. Wszystkie siostry by zginęły i mnie by zabito. Mam bardzo dobre stopnie z religii i chcę pójść do pierwszej komunii, ale mi nie pozwolą. Mam nadzieję, że matka przełożona nie powiedziała im, że jestem Żydówką. Żydzi robią macę z krwi chrześcijańskich dzieci. Mój dziadek był Żydem. Miał długą białą brodę i nosił kapotę, tak jak siostra Katarzyna. Wkładał szal w paski i modlił się do Boga cały dzień. Nie sądzę, by jadł taką macę.

Gdybym mogła mieć moją lalkę! Przyniósł mi ją tatuś. Nie wiem, gdzie oni teraz są. Lalka otwierała oczy i mówiła „mama”. Kiedyś, kiedy chorowałam na odrę, dawno temu, tatuś przyszedł ze swoim przyjacielem. On też był chyba Żydem. Nie dałam im poznać, że nie śpię, wyciągałam się i wyciągałam, żeby widzieli, że jestem duża.

Przejechał pociąg i usłyszałam długi gwizd. Rozpłakałam się, bo nikt mnie nie kocha i jestem sama na tym świecie. Chcę do mojej mamy i do mojego tatusia. Ale oni są Żydami. Mam nadzieję, że nie umarli. Jeśli nie są martwi, prawdopodobnie ktoś przyjdzie i zabierze mnie z powrotem do nich. Jest zimno, ale będę teraz spać. Jezus wie, że go kocham. Nie ma nic przeciwko Żydom.



Elżunia przesiadywała przy oknie, patrząc, jak inne dzieci bawią się na podwórku, i nie umięć zrozumieć, dlaczego nie może do nich dołączyć.

Anna Bikont

Urodziła się 18 grudnia 1936 roku. Pierwsze słowa, które słyszała, pewnie były w jidysz. Jej ojciec Zelman Frydrych był działaczem Bundu, a to był język bundowskich domów i język jej dzielnicy. Chociaż już pokolenie rodziców Elżuni zwracało się często do dzieci po polsku. Mieszkali na Pańskiej 67. Zelman był sekretarzem Jutrzenki (w jidysz – Morgensztern), organizacji prowadzącej robotnicze kluby sportowe. Wchodził w skład bundowskiej milicji, która broniła Żydów przed nacjonalistycznymi bojówkarzami.

Granica getta przecinała Pańską na wysokości numeru 71, tak że nie musieli się przeprowadzać, gdy Niemcy nakazali Żydom przeniesienie do dzielnicy zamkniętej. W getcie Frydrych dalej organizował zajęcia sportowe dla młodzieży, miał też pracę (czy przynajmniej pieczętą, że ją ma) jako urzędnik w Zakładzie Zaopatrzenia Dzielnicy Żydowskiej.

Elżunia skończyła pięć lat z kawalkiem, gdy wiosną 1942 roku poszła w getcie do pierwszej klasy. Miała zajęcia z pisania, czytania, rachunków, śpiewu, robót ręcznych, gimnastyki, rytmiki i rysunku. Z wszystkiego dostała piątki – czwórkę tylko jedną, z pisania. Gdy spojrzeć na jej charakter pisma tuż po wojnie, trudno się dziwić – rzeczywiście bazgrała.

Jej świadectwo szkolne, podobnie jak karty ubezpieczeniowe jej i rodziców, znajduje się w dziale dokumentów z gett Żydowskiego Instytutu Historycznego. Nie wiadomo, jak się zachowało ani jak tam trafiło. Gdy myślimy o czasie wojny, a szczególnie o Holokauście, wydaje nam się, że wywołał nagłe zerwanie więzów łączących ludzi z codziennością – ale tak nie było. Frydrych posługiwał się dalej tą samą legitymacją ubezpieczeniową, którą wyrobił sobie w latach trzydziestych. Na karcie ubezpieczeniowej Elżuni odnotowane są jej kolejne wizyty lekarskie, pierwsza w kwietniu 1937, ostatnia w lipcu 1941 roku, tyle tylko że jej lekarki, od czasu niemowlęctwa Elżuni potwierdzającej zalecenia medyczne czer-

wonym stemplem z nazwiskiem „dr Luba Aniosztejn”, nie ma już w getcie.

...

Nie wiem, w którym momencie i jakim sposobem Elżunia wyszła z getta.

Z początku ukrywała się z matką po „aryjskiej stronie” na warszawskiej Woli. To był pokój z małym oknem wychodzącym na podwórko, w środku tylko wąskie łóżko. Nie wolno im było wychodzić. Ojciec mieszkał gdzie indziej; wyposażony w „dobry wygląd” i dobre dokumenty, krążył między gettem a „aryjską stroną”, organizując przemęt broni do getta na przygotowywane powstanie. Gospodarze pozwalali mu odwiedzać żonę i córkę raz w tygodniu. „Byłam z mamusią, tatuś spał w hotelach, a resztę dnia nie wiem, jak spędzał, bo przychodził do nas tylko od czasu do czasu – opisała ten czas Elżunia”.

Pięcioletnia dziewczynka, „ładna, ruchliwa blondynka, której niebieskie oczy promieniały energią i inteligencją”, przesiadywała przy oknie, patrząc, jak inne dzieci bawią się na podwórku, i nie umięć zrozumieć, dlaczego nie może do nich dołączyć.

Małżeństwo Chomątowskich, które ich ukrywało, prowadziło bogate życie towarzyskie, wieczory przy kartach przeciągały się do późna. Odwiedzał ich też sąsiad, zagorzały narodowiec, raz został na noc. „Cyla i ja siedzieliśmy całą noc, trzęsąc się ze strachu, że dziecko mogłoby się obudzić i zapłakać lub odezwać się zbyt głośno, może poprosić o wodę, o cokolwiek, a to byłoby dla nas wyrokiem”.

Gospodarz, działacz podziemia, zachowywał stoicki spokój, natomiast gospodyni panicznie się bała i co raz wybuchała płaczem. Zgodziła się ukrywać Żydów, bo uważała, że musi walczyć z Hitlerem (była córką Niemki i Polaka, jej dwóch braci walczyło na froncie po niemieckiej stronie i o nich też się denerwowała).

Więc to był jej pomysł: w klasztorze w Przemyślu Chomątowska miała siostrę czy też znajomą. Elżuni powiedziano, że pojedzie do miejsca, gdzie są inne dzieci, z którymi będzie mogła biegać na dworze i świetnie się bawić. Gospodyni nauczyła ją modlitw i nowego imienia – może to wtedy z Elizy-Ilzy, jak na nią wolano w domu, stała się Elżunią. Potem pojechała – zapamiętała, że ojciec wywiózł ją tramwajem za miasto, a tam przejęła ją Chomątowska. „Przy tej sposobności [tata] dał mi swoją fotografię, którą chowałam skrzętnie, aż wreszcie zgubiłam”.

Elżunia: „Ogarnęła mnie dziwna samotność i lęk. W zakładzie rygor był bardzo surowy, za najmniejsze przewinienie karano. Musiałam sama cerować pończochy, obierać kartofle, sprzątać pokoje. Każda z nas, która miała po sześć lub siedem lat, miała pod opieką młodszą dziewczynkę, to jest 2, 3-letnią”.

Tak ją widzę, gdy o niej myślę: mała dziewczynka, której po koszmarze getta i strachu ukrywania się obiecano dużo koleżanek i zabaw, a zamiast tego trafia do ponurego, zimnego miejsca, gdzie dzieci są bite za winy, których nie popełniły, a wszystko jest grzeszne, włącznie z myciem.

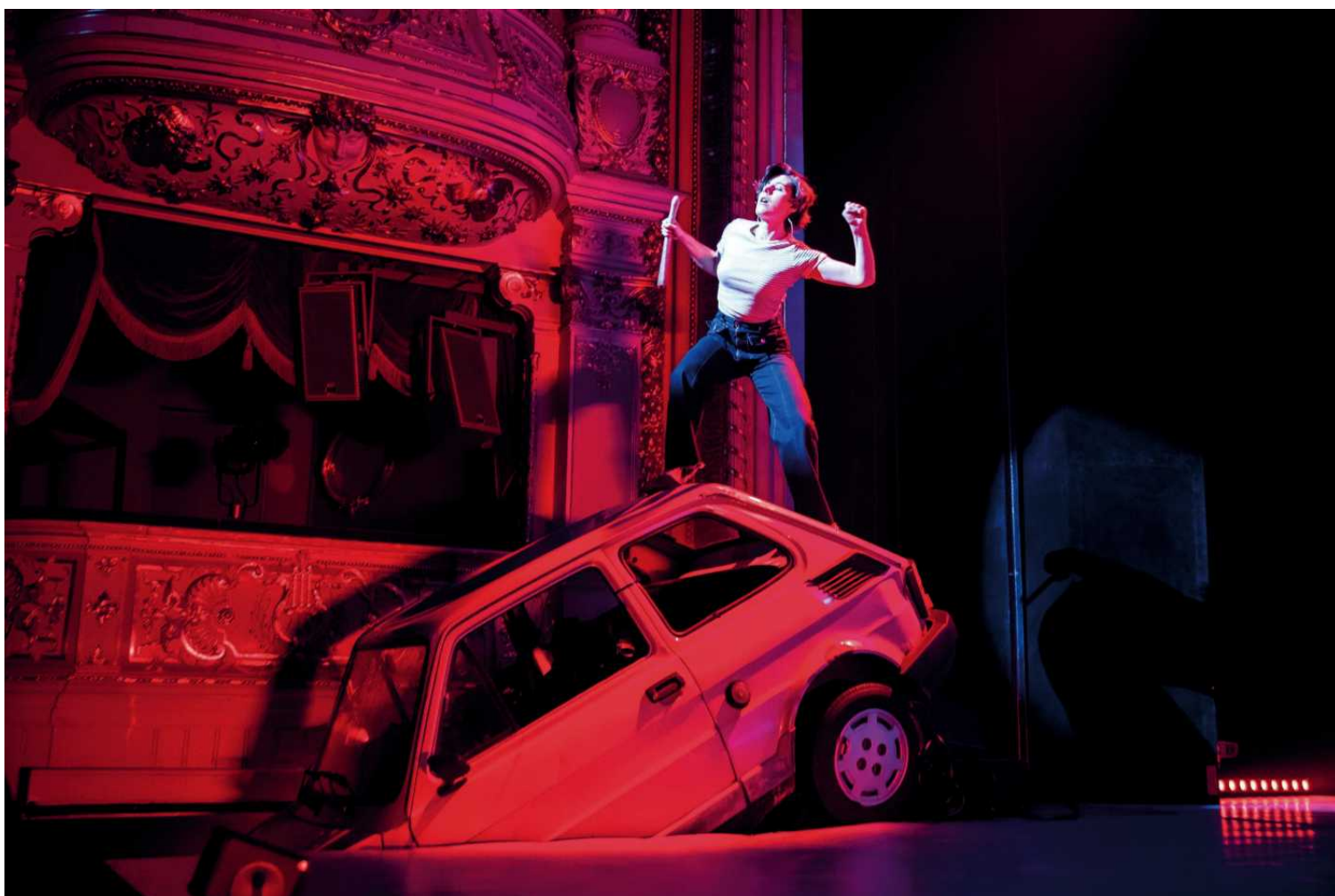
Ale klasztor uratował ją od śmierci. ●

Fragment właśnie wydanej książki „**Nigdy nie byłaś Żydówką. Sześć opowieści o dziewczynkach w ukryciu**”. Reportaż historyczny Anny Bikont już dostępny w dobrych księgarniach, na stronie wydawnictwa Czarne oraz w formie cyfrowej na Publio.pl



Zemsta, CZYLI TEATR ANTYPOLSKI

Władza centralna chciała czystki w teatrach, ale wyszła bezmyślność albo komedia



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Z **JACKIEM SIERADZKIM**, KRYTYKIEM
TEATRALNYM, ROZMAWIAŁA
AGATA CAŁKOWSKA

Gdyby spojrzeć na Polskę przez pryzmat teatru, to co można o naszym kraju powiedzieć?

– Że może lepiej spojrzeć przez inny pryzmat? Przepraszam za obcesowość. Jest jasne, że ludzie, którzy robią teatr, i ci, którzy go pilnie śledzą, pielęgnują w sobie przekonanie, że sztuka sceniczna potrafi w istotny, głęboki sposób wypowiedzieć się na temat otaczającej nas rzeczywistości. I to się, nie przeczę, zdarza, ale po pierwsze, nieczęsto, a po drugie, niekoniecznie w takich, nazwijmy to, interwencyjnych wido-

wiskach, gdzie się wykłada tezę na łopacie, a funkcja agitacyjna walczy o prymat z artystyczną. Choć i w tym trybie powstają mocne dzieła, bliskie memu sercu.

Na przykład?

– Na przykład pewnie największy przebój tego sezonu, czyli musical „1989”, przygotowany przez Teatr im. Słowackiego w koprodukcji z Gdańskim Teatrem Szekspirowskim. Oczywiście redukcja tego spektaklu tylko do jego politycznej treści byłoby krzywdzące; to jest poza wszystkim imponujące, bogate, profesjonalne widowisko. Ale w wymowie jednoznaczne: budowany jest „pozytywny mit”, także kosztem świadomie podejmowanych uprosz-

czeń historycznych. Językiem trafiającym do młodych ludzi opowiada się o fajnych ludziach, choć z nieszablonowymi życiorysami, którzy starli się z ludźmi nefajnymi i w 1989 roku wygrali. To działa, entuzjazm widzów, głównie młodszych niż niepodległa Polska, rozsadza salę Teatru im. Słowackiego. Pięknie skandują z aktorami w finale „Ten tłum robi bum”. Ale co ten tłum robi, kiedy wyjdzie z teatru? Czy pójdzie na zbliżające się wybory? Czy przynajmniej poczyta sobie o tej przeszłości; teatr rozdaje bardzo dobrze zredagowany program – gazetkę? Nie wiem i jestem raczej sceptyczny.

Kiedyś tłum zrobił bum, wyszedł ze zdejmowanych właśnie z afisza „Dziadów”

w Narodowym i poszedł w demonstracji pod pomnik Mickiewicza. Był 1968 rok. Pewnie takie rzeczy zdarzają się parę razy na sto lat.

Mieliśmy kilka lat temu „Kłatwę” Olivera Frljicia krytykującą Kościół. Było „bum”.

– Dobrze, że pani to przypomina. Chorwacki reżyser przyjechał do Polski i zaczął sprawdzać, co jest taką najgroźniejszą, nierozbrojoną bombą społeczną, chronioną przez najsztynniejsze, nienaruszalne tabu, tak instytucjonalne, jak obyczajowe. Wyszło mu, że pedofilia księży i osobiste przewiny Jana Pawła II. Zrobił o tym w Teatrze Powszechnym spektakl, który, jak pamięta-

my, spotkał się nie tylko z wściekłością publicystów, ale również z aktami fizycznej przemocy. Można powiedzieć, że utorował drogę dyskusji, którą mieliśmy w tym roku, też niesłychanie emocjonalną, ale opartą już na świadectwach, dokumentach. Wizja sceniczna wyprzedziła społeczną debatę. Niesamowity przypadek mocy teatru. Ale, powtarzam, rzadki jak biały nosorożec.

Skoro to takie rzadkie, to może po prostu zestarzało się myślenie, że teatr w pierwszej kolejności powinien być społecznie potrzebny?

– Teatr nie może być społecznie niepotrzebny, boby go zwyczajnie nie było. Ale funkcje, jakie może pełnić, są różne. Moja pamięć sięga czasów, kiedy całe życie publiczne podlegało cenzurze. Pieczętę cenzora musiał mieć każdy druk w nakładzie powyżej 50 egzemplarzy, co z lubością przypominam, bo dzisiejszym młodym rodakom to się nie mieści w głowach. A teatr był takim miejscem, gdzie w chwilach cenzuralnego poluzowania można było coś powiedzieć odważniej – oczywiście nie wprost, tylko aluzjami czy metaforami. Bywał więc pewnego rodzaju wentylem napięć społecznych.

Jan Kott w czasie odwilży w latach 50. sformułował słynne zdanie, że fotel krytyka teatralnego stoi na placu publicznym, nie w piątym rzędzie krzeseł. Czyli mówiąc o teatrze, mówimy o rzeczywistości pozascenicznej. Na początku lat 90. krytyk Andrzej Wanat sformułował inny, bliski mi postulat: wstawmy fotel obserwatora z powrotem na widownię, ale do ostatniego rzędu – patrzymy, co mówi teatr, ale i jak słucha go nowa, zmieniająca się publiczność. Czego żąda od sceny. Jakich przeżyć szuka, jakie treści ją kręcą. Liberalna władza w programy teatru się nie wtrącała, jeśli były jakieś przepychanki, to nie miały ideowego charakteru. Zmieniło się to, gdy do władzy doszedł PiS.

Czego chciał od teatru?

– Dużo chciał, a niewiele realnie mógł. Znakomita większość polskich scen jest, przynajmniej dotąd, w rękach samorządowych, a wielkomiejskie są z reguły liberalne. Władza centralna nie mogła więc przeprowadzić takiej czystki, jakiej by pragnęła. Prawicowe media huczą od oskarżeń, że teatry dostały się w ręce ideologicznej lewicy, że są antynarodowe i antychrześcijańskie, a tematyka przedstawień to ruja i porubstwo. Ministerialni notable wielokrotnie podejmowali te oskarżenia, ale ich działania były niekiedy tylko komiczne. Poczynając od pierwszych decyzji po wyborach, gdy minister dowiedział się z prasy, że w Teatrze Polskim we Wrocławiu zagrają aktorzy porno i majestatycznie kazał tego zabronić, nie wiedząc, że nie ma żadnych prawnych instrumentów, by ingerować w kształt spektaklu. Można przypomnieć różne nękania, na przykład odebranie poznańskiej Malcie prawnie przyznanej dotacji, co miało być represją za zaproszenie wspomnianego Frlijicia, a skończyło się przegraną ministerstwa przed sądem. Albo publiczne opowiadanie głupstw, że

reżyser, którego wybrano na złość Janowi Klacie na dyrektora Starego Teatru, to najślynniejszy polski twórca na świecie. Aż po ostatnie decyzje podejmowane już przez lokalnych polityków, takie jak mianowanie dyrektorem Teatru im. Jaracza w Łodzi zaufanego twórcy, który chwilę przedtem przegrał regularny konkurs na to stanowisko. Bądź pięćset dni odwoływania Krzysztofa Gluchowskiego ze stanowiska dyrektora Teatru im. Słowackiego w Krakowie, rzadki przypadek tępej, bezmyślnej mściwości. I łamania prawa. Dyrektora, który ma ważny kontrakt, można usunąć z kilku konkretnych, umieszczonych w umowie powodów. Nie ma wśród nich wystawienia „Dziadów” w sposób, który nie podoba się władzy.

Widział pan te „Dziady”, „antypolski spektakl”, jak mówili o nim PiS-owcy?

– Widziałem. I czytając opinie oburzonych recenzentów zawodowych i amatorskich, jak krakowskiej pani kurator, miałem narastające wrażenie *déjà vu*, bo przecież za moich młodych lat Kuroń z Michnikiem też zawsze w „Trybunie Ludu” byli antypolscy. Ciekawe, czy ci piszący nie wiedzą, w czyje buty wchodzi? Tkwi mi w głowie gdzieś przeczytana opowieść o kolaudacji filmu według opowiadania Stanisława Dygata „Dworzec w Monachium” pod koniec lat 70., gdzie mądrzył się reżyser i nacjonalkomunista Bohdan Poręba, a Dygat, którego ten atak kosztował wiele zdrowia, replikował zduszonym zdaniem: „Chciałbym uprzejmie prosić pana Porębę, ażeby nie uczył mnie polskości”. Trzeba to odkurzyć i powtarzać w kółko i politykom, i publicystom: dyskutujcie, polemizujcie, ale nie uczcie nas polskości. Nie macie do tego żadnego tytułu, a niekiedy też i rozumu.

Jaki byłby teatr bliski ludziom dzisiejszej władzy?

– Wydaje się, że oni mają taką trochę patriarchalno-parafiańsko-ciotczyną wizję, że teatr powinien wychowywać, krzewić wartości, budować wspólnotę, słać cnotę i wielkość narodu. Ale chyba dociera do nich, przynajmniej niekiedy, że tak się nie da robić sztuki, świat się zmienił i sam kontekst zmiotłby taką propozycję ze sceny. Nadto reprezentacja twórców wyznających prawicowe ideały jest słabiutka i zdarsza się to nawet przyznać ludziom z tamtej strony w chwili szczerości. Teatr dzisiejszy jest przechylony na lewo nie na mocy szar-

tańskiego spisku, tylko właśnie na skutek dysproporcji artystycznej mocy.

Władza bardzo by chciała zmienić oblicze teatru na bliższe swoim wizjom, tylko kompletnie nie umie tego zrobić. Czego dotknie, to psuje. Minister przeznaczył ostatnio ogromną pulę pieniędzy na Teatr Klasyki Polskiej. Przyklasnałbym: klasycę potrzebne jest wsparcie, bez niego będzie ginąć i język polski w sensie dosłownym, i język sceniczny, rozumienie dawnej literatury, dramaturgii, sposób obrazowania problemów, metaforyka, etc. Ale tu przyznano dotacje instytucji poruszającej się w swoim zamkniętym obiegu: przedstawienia pokazywane są ponoć gdzieś w objeździe, w małych miastach, nikt z obserwatorów ich nie widział, nie skomentował, nic nie wiadomo o ich rzeczywistej wartości. Z całym szacunkiem dla przewijających się tam niezłych nazwisk aktorskich, całe przedsięwzięcie pachnie chałturą. I zadbanie o „swoich”, tak charakterystyczne dla tej ekipy.

Zygmunt Hübner pisał, że teatr musi jeść z dwóch misek – publiczności i władzy. Tak już zostanie?

– Trzeba dostawić jeszcze trzecią miskę, to znaczy uwzględnić coś, co trudno zdefiniować jednym słowem: rodzaj giełdy środowiskowej. Teatr musi mieć publiczność, musi mieć jakieś dogadanie się ze swoją władzą zwierzchnią, ale i musi budować sobie szacunek wśród koleżanek i kolegów, bo tylko w ten sposób będzie mógł pozyskiwać zaufanie i ściągać najciekawszych twórców do współpracy. Jedzenie z trzech misek naraz, gdzie w każdej są inne przysmaki (ale i ości), może się skończyć udławieniem. Największym wyzwaniem, przed jakim w najbliższym czasie stanie teatr, będzie deficyt liderów i kandydatów na dyrektorów scen. Mało kto będzie miał ochotę na taką żonglerkę miskami. Proszę zobaczyć ostatnie konkursy na dyrektorów teatrów. Mała liczba kandydatów, jeszcze mniejsza wśród nich liczba artystów z pozycją i z dorobkiem. A lepiej, śmiem twierdzić, nie będzie.

Zwłaszcza że jednym z głównych obowiązków dyrektora jest walka o pieniądze.

– To prawda. Wszystkie teatry są pod kreską i wszystkie muszą zebrać o dodatkowe środki. Takie nadzieje, które mieliśmy na początku wolności, że pojawiają się prywatni sponsorzy, mecenasi sztuki, rozsypały się. Każdy dyrektor teatru, z którym rozmawiam, skarży się, że ma za mało i musi ścibolić. Albo szaleć. Znam szeferów scen, którzy potrafią wydobyć pieniądze spod ziemi albo jadać na swoim wdzięku i wierzą, że ktoś im dosypie na koniec. Ryzykowne to. W sytuacjach konfliktowych dyrektor zawsze może usłyszeć: ależ skąd, gdzieżby, my nic przeciwko repertuarowi pańskiego teatru nie mamy, tylko nam się zaskórniaki budżetowe skończyły. Co będzie albo prawdą, albo nie.

Konfederacja, która zbiera spore sondażowe poparcie, chciałaby zlikwidować finansowanie kultury w budżetu państwa, w samej Warszawie rocznie na teatry wydaje się 100 milionów złotych publicznych pieniędzy. To niebezpieczny pomysł?

Nasza władza zarządza jakimś terytorium, ale z tubylcami nie rozmawia, po prostu osadza swojego funkcjonariusza

– Te pomysły, że kultura powinna umieć się samodzielnie utrzymać, były na samym początku transformacji. Głosili je niestety bliscy memu sercu liberalowie. Mieliśmy wtedy takie schizofreniczne doświadczenie, że terapia szokowa jest, owszem, niezbędna przy wychodzeniu z komunizmu, ale za chwilę zapłacimy za nią własnymi miejscami pracy. Było upiornie ciężko.

Czy jakkolwiek teatr, choćby w Warszawie, miałby szansę się utrzymać?

– Chyba nie. Maciej Englert zawsze przypomina, że subwencja dla teatru, to nie jest prezent dla artystów, tylko dopłata do biletu, żeby widz nie musiał płacić rzeczywistego kosztu spektaklu. Jak duża musiałaby być podwyżka cen na tych naszych małych przecież widowniach i o ile wyższe koszty lyknęliby odbiorcy? Siła nabywcza naszych pieniędzy poszła w górę, ale koszty produkcji jeszcze bardziej. Może przeżyłaby komercja przy drastycznych redukcjach kosztów własnych, może ambitne dzieła tłukłoby się po jakichś tanich piwnicach? Dobrze by nie było.

Warszawska scena jest wyraźnie lewicowa, a Teatr Dramatyczny jest na szpicy rewolucji – co pan tam widzi w repertuarze?

– Wykonując swój zawód, próbuję zachować równą życzliwość wobec wszystkich propozycji, jakie oglądam. Pisałem o inauguracyjnym spektaklu dyrekcji Moniki Strzępki „Mój rok relaksu i odpoczynku”, doceniając w nim rozmaite wartościowe elementy, ale miałem poczucie, że widowisko skutecznie spotyka się z rozdygotanymi emocjami młodszej części widowni, natomiast dla mnie nie ma tam właściwie nic. O co nie mogę mieć pretensji, bo nie dla dziadersów było to krojone.

To jak pan ocenia zmiany w Dramatycznym?

– Władze Warszawy, wybierając Monikę Strzępkę, podjęły świadomą decyzję o przesunięciu wajchy w tym teatrze z jednej skrajności w drugą. Sezon, który właśnie minął, był z pewnością czasem wymiany publiczności. Widzowie, których wypracował sobie Tadeusz Słobodzianek, mają prawo czuć się osieroceni, choć przecież mają w Warszawie także inne sceny o podobnym profilu. Czy będą zadowoleni z ich oferty programowej, to już zupełnie inna sprawa. Czy nowa widownia kupi nowy profil Dramatycznego, też nie jest pewne. Nie wszystkie premiery pierwszego sezonu były udane.

A co pan sądzi o pomniku waginy w foyer?

– Co mam sądzić? Jak się komu podoba, niech stoi. Każdy może sobie to oceniać na własny sposób. Tak naprawdę nie figury i demonstracje są ważne, tylko pytanie, czy oferta repertuarowo-programowa zostanie przyjęta przez tych, do których jest adresowana.

Zwłaszcza że podobną ofertę mają takie teatry jak Nowy, TR, Studio, Powszechny, teraz Dramatyczny. Czy Warszawie nie grozi monotematyczność?

– W Warszawie jest kilkanaście scen i naprawdę jeśli idzie o liczbę, nie ma kłopo-

Przemoc w teatrze?

Belferskie wychowywanie dorosłych ludzi raczej tylko ośmiesza nieproszonych wychowawców

tu z różnorodnością. Pytanie, na ile oferta jest atrakcyjna i skuteczna. Zarówno ta dla widza ceniącego sobie bardziej tradycję – z Polskiego, Współczesnego, Ateneum, także Narodowego – jak i ta z teatrów, o których pani mówi. W których zresztą przedstawienia są tylko częścią szerszej działalności, filmowej, koncertowej, wystawienniczej, konferencyjnej. A pamiętajmy o jeszcze innym gatunku widza, który poszukuje po prostu rozrywki. I ją znajduje, często nieźle wzbogaconą o pewne ambicje, na przykład w niektórych propozycjach Polonii.

A jak pan podchodzi do informacji dotyczących zarobków najważniejszych współczesnych twórców teatralnych, którzy potrafią kosztować teatry nawet i połowę rocznego budżetu?

– Zajmuję się zawodowo oglądaniem przedstawień, próbuję je opisywać, komentować, wyciągać wnioski. Czy na pewno powinienem komentować także listę płac? I czy z takim podnieceniem powinni ją omawiać inni postronni obserwatorzy na wszystkich Facebookach? Rozumiem, że nieproporcjonalne zarobki gwiazd scenicznych są solą w oku wielu twórców dużo gorzej uposażonych, że środowisko szuka sposobu uregulowania tego rynku. To nie dziwi. Jako człowiek w podszłym wieku mogę tylko przestrzec buntowników, że byli już w naszej historii takie czasy, powiedzmy, przedkapitalistyczne, w których prace reżysera czy aktora były ujęte w widelki odgórnie ustalonych, urzędowych taryfikatorów. A dyrektorzy kombinowali na potęgę, jak obejść te tabelki, bo nijak się one nie miały do rzeczywistych zasług i pozycji ludzi teatru. Ale w tej sprawie mogę sobie tylko pozzrzedzić; nikt ostrzeżeń na poważnie nie weźmie.

Od kilku lat toczy się burzliwa dyskusja dotycząca przemocy w środowisku teatralnym. Chciałby pan to skomentować?

– Z jednej strony doskonale rozumiem i podzielam postulat, żeby zwalczać przemocowość wszędzie tam, gdzie ona ma charakter instytucjonalny i systemowy, czyli tam, gdzie może dojść do sytuacji, w której osoba poddana opresyjnym działaniom nie ma się jak bronić. Chodzi oczywiście przede wszystkim o szkoły teatralne, ale też i o wszelkie instytucje, w których panuje rozbudowana hierarchia, a nawet o wieloosobowe i długotrwałe projekty, gdzie również mogą się rodzić patologie.

Przyznam się do czegoś. Prawie pół wieku temu, jako student wydziału wiedzy o teatrze w warszawskiej szkole teatralnej, miałem okazję obserwować zajęcia z przyszłymi aktorami prowadzone zarówno przez charyzmatycznych pedagogów, jak i słabszych wykładowców, rekompensujących sobie pedagogiką brak sukcesów na scenach. Widziałem wtedy upokarzanie studentów, o którym powiedzieć „nieprzyjemne”, to nic nie powiedzieć. I dawałem się przekonać, że to konieczne. Nawet nie dlatego, że sztuka rzekomo wymaga ofiar. Dlatego że zawód aktora jest potwornie wyniszczający, niesprawiedliwy, budzący traumy, więc szkoła ma wychowanka zahartować, utwardzić, uodpornić. Tak mnie wtedy przekonywano, dziś bym się pod tą argumentacją na pewno nie podpisał.

Ale gdy słyszę, jak młodzi badacze teatru w ramach walki z przemocowością przywołują jako negatywny przykład Teatr Cricot 2 Tadeusza Kantora, to myślę, że tu jest dobre miejsce, żeby postawić granicę. Kantor był, owszem, nieprawdopodobnym cholerykiem, jego awantury przeszły do legendy. Tyle że jego aktorzy nic nie musieli! Nie żyli z aktorstwa, mieli swoje zawody i dobrą w nich pozycję, byli malarzami, jubilerami, dziennikarzami. Na pracę w tym teatrze decydowali się świadomie, wiedząc, czym pachnie, ale najwyraźniej widząc w tej robocie coś dla siebie wartościowego. Więc upraszałbym naszych Ka-

tonów, chcących z moralną wyższością piętnować te praktyki, bądź wręcz twierdzących – sam słyszałem – że lepiej, iżby te „Umarłe klasy” i „Wielopola” nie powstały, skoro powstały tak niegodnymi metodami, żeby się jednak chwilę zastanowili. Belferskie wychowywanie dorosłych ludzi raczej tylko ośmiesza nieproszonych wychowawców.

A w ogóle, kiedy słyszę od dzisiejszych wykładowców szkół teatralnych, że ich studenci odmawiają pracy nad tekstami Szekspira, bo są one nazbyt przemocowe, lekkie ciarki łażą mi po grzbiecie.

Szekspir zły, to kto dobry?

– Wychodzi na to, że dobry jest ten, kto we wszystkim przytakuje naszym poglądom. Mam poważne obawy co do kształtu teatru, który się z takiego myślenia narodzi.

Porozmawiajmy o „Dialogu”. Czy odszedł pan na emeryturę na początku tego roku z powodu nacisków politycznych?

– Nie. Z własnej woli. Byłem naiwny? Pewnie tak. Wielu mi mówiło, nie rób tego, bo się stanie to, co się właśnie stało. A ja nie chciałem przyjąć tego do wiadomości. Miałem zaszczyt przez trzy dekady prowadzić instytucję, która funkcjonowała 65 lat, w której nigdy nie było rewolucji personalnych, nie licząc krótkiego okresu po 1968 roku. „Dialog” miał zawsze stabilny zespół. Łudziłem się, że jak pójdę do wydawcy, do Instytutu Książki i zaproponuję

braniu i przedstawić: oto nasz namiestnik. Zaś jemu nawet nie przyszło do głowy, że by zaproponować tubylcom spotkanie: pogadajmy, może dojdziemy do porozumienia. Brawurową akcją objął z zaskoczenia daleko wysunięty posterunek. Zespół „Dialogu” się postawił, wzorowo i wspaniale, jako że takie traktowanie było absolutnie nie do przyjęcia, choć może to kosztować wręcz zagładę pisma.

Znał pan zawodowo nowego naczelnego „Dialogu”?

– Z lektur. Opublikowaliśmy cztery jego dramaty. Parę też odrzuciliśmy, bo to płodny autor. Jego dramaturgia mieściła się w tym szerokim spektrum zainteresowań pisma. Chciałem, żeby „Dialog” taki, jaki odziedziczyłem po Konstantym Puzyńskim, pozostał pismem liberalnym, chciałem pokazywać wszystkie strony współczesnego życia kultury, teatru, sztuk widowiskowych. Drukowaliśmy dramaty, polskie i obce, dokładając do nich komentarze rozszerzające ich problematykę, ukazujące background, konteksty, tradycję. Chcielibyśmy, żeby pismo było wciąż maksymalnie otwarte.

Nie ma co ukrywać, że po trzydziestu z górą latach prowadzenia „Dialogu” rozchodziłem się z moimi młodszymi kolegami, z których większość sam przecież przyjmowałem do pracy. Z coraz większym oporem znosiłem zjeżdżanie pisma w stricte lewicową agendę, w nieznośny żargon współczesnej humanistyki, w czy-

„Z coraz większym oporem znosiłem zjeżdżanie Dialogu w stricte lewicową agendę, w czytanie wszystkiego przez pryzmat genderowy”

nuję na moje miejsce znakomitą kandydatkę, to porozmawiamy o tym. Do diabła, porozmawiamy, przynajmniej tyle. Zależało mi na zachowaniu ciągłości, która tu naprawdę jest wartością nie do przecenienia. Rozumiem, że mogli mieć inne pomysły, ale żeby nawet nie podjąć rozmowy? Dyrektor Dariusz Jaworski poza pytaniem, kiedy rezygnuję, nie miał mi nic do powiedzenia.

Tak po prostu zapytał: „Kiedy Pan rezygnuje?”

– Tak. I miał jeszcze drugie pytanie, kiedy odejdzie moja zastępczyni, bo i o takiej możliwości wspomniałem. Tylko to go interesowało. Miejsce dla kogoś swojego. Próbowałem jeszcze szukać pomocy, odmrażać stare kontakty ministerialne. Bez powodzenia.

Dlaczego im zależy na niszowym „Dialogu”? Dla stanowisk? Dla ideologii?

– Wie pani, ja i w tej sytuacji, i w paru innych, w których ostatnimi laty się znalazłem, miałem poczucie, że mam do czynienia z władzą najeżdżącą. Zarządzają jakimś terytorium, ale z tubylcami nie rozmawiają. Poza wyjątkowymi przypadkami respektują prawa miejscowych, ale gdy tylko się otworzy jakaś sposobność, jakaś luka, natychmiast osadzają w niej funkcjonariusza. Nie po to, żeby współpracował z miejscowymi. Żeby rządził. Tak było przecież z Antonim Winchem, którego nazwisko trzymali do ostatniej chwili w tajemnicy, żeby go wyjąć z teczki na ze-

tanie wszystkiego przez pryzmat genderowy, w twórczość nowych gwiazd eseistki, przez których teksty trudno było brnąć bez słownika, w irytującą pajdokrację. A jednocześnie miałem poczucie, że formacja bliższych mi pokoleniowo autorów kurczy się i zwija, że już nie stać mnie na kontrpropozycje bliższe myśłom starego liberała, że coraz częściej zaczynam jałowo i mechanicznie mówić „nie”. Więc rozumiałem, że pora się ewakuować. Co byłoby naturalną decyzją człowieka mającego rosnące poczucie, że robi to, co robi, nazbyt długo – gdyby nie ta wściekła sytuacja zewnętrzna. Chciałem jednak stanowczo zdjąć już z siebie odpowiedzialność, bo dla mnie kierowanie pismem to nie frajda przywódca, tylko branie odpowiedzialności za wszystko, co się dzieje. Do stałem w pewnej chwili propozycję od kolegów: podpisuj i nie przychodź do pracy. Nie przyjąłem jej.

Gdzie jest dzisiaj najciekawszy teatr? W dużych miastach czy na prowincji?

– Już myślałem, że mnie pani o to nie zapyta. Tak długo międłiliśmy sytuację warszawskich teatrów, z których każdy ma swoją mniejszą lub większą banieczkę wyznawców, a w ogóle nie wystawiliśmy głowy poza stolicę. Ja ją wystawiam z lubością, z największą chęcią włóczę się po teatralnej Polsce i będę to robił, póki mi sił starczy.

Jak już próbowałem powiedzieć, uprawiając zawód krytyka, nie stawiam na pierwszym miejscu własnych upodobań

i gustów, ale nade wszystko próbuję się przyglądać, jak teatr komunikuje się ze swoją publicznością, do kogo mówi i jak mówi. W związku z tym nie ma jednej drabinki wartości. Jest teatr, który eksperymentuje, szuka, prowokuje, drażni, rozbi-ja zadowolenie i pewność siebie odbiorców. Jest także teatr, który próbuje, nie rozbijając konwencji, posługując się dosyć starymi czy sprawdzonymi metodami rozmowy przez rampę, o czymś istotnym opowiadać. Bądź tylko bawić. Ważne, czy prowokuje, czy opowiada, czy bawi mądrze czy niemądrze. I czy umie to robić skutecznie, bo najmańdrzejsze nawet działanie prezentowane pustej sali albo garstce przyjaciół, którzy się znają jak lyse konie, ma wątpliwy sens. W miastach takich jak Warszawa sceny mogą sobie zdywersyfikować widza, świadomie, by tak rzec, profilować adresata. W miastach jednoteatralnych – niech pani sama tłumaczy się ze słowa „prowincja”, ja go nie używam – program musi obejmować różne gusta i potrzeby, bo liczy się przede wszystkim to, żeby widz, który przyszedł na spektakl, przyszedł też na kolejny. Miarą sukcesu teatru – każdego, i w mniejszym, i w większym mieście – winna być sytuacja, kiedy odbiorca nie marudzi przy kasie, co by tu wybrać, tylko kupuje bilet na nowy tytuł, bo ma zaufanie, że to, co zobaczy, będzie mniej lub bardziej udane, ale warte obejrzenia. I że zostanie potraktowany z szacunkiem. Co może być ważniejszego?

Źle znoszę nierzadkie niestety przypadki artystowskiego narcyzmu: że my tu robimy wybitną sztukę, a jak ty, widzu, nie nadążasz, to już, wybaczone, twój kłopot. I kibicuję każdym wysiłkom budowania mocnych i partnerskich więzi między sceną a widownią. Ale czy teatry rzeczywiście łapią ku temu każdą okazję? Właśnie mija dwadzieścia lat od założenia Instytutu Teatralnego im. Zbigniewa Raszewskiego w Warszawie. Jednym z najwspanialszych pomysłów szefowej Instytutu Doroty Buchwald, była akcja „Teatr za grosze”. Z okazji 250-lecia teatru publicznego jednego wybranego dnia wszystkie sceny w Polsce grały spektakle, na które bilety kosztowały 250 groszy, a Instytut rekompensował utracone wpływy. Kolejki do kas stały od świtu. Teatry miały okazję zobaczyć rzeszę ludzi, którzy żarliwie chcieliby korzystać z ich oferty, tylko ich na nią nie za bardzo stać. Mogły ich rozpoznać, promować się, oferować ulgi, oswajać nowych gości ze sobą; tak się rzeczywiście w wielu miejscach działo. Akcję powtarzano jeszcze przez parę lat, nowa dyrektorka Instytutu ją wygasila. I co, nikt się o nią nie upomniał? Nikt nie robił rabanu, nikt z żadnego teatru nie krzyknął, nie wyartykułował pretensji, że tak po cichu znika celne i już sprawdzone narzędzie walki o miejsce sztuki scenicznej w życiu społecznym? Wymagające sporo wysiłku organizacyjnego, ale przecież owocne? Szkoda. ●



FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jacek Sieradzki

• krytyk teatralny, od 1991 redaktora naczelnego miesięcznika „Dialog”, publikował w „Twórczości”, w „Polityce”, „Przekroju”, był członkiem Rady Teatru przy Minister Kultury i Sztuki Izabelli Cywińskiej, członek komisji artystycznej Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej, obecnie dyrektor artystyczny Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych R@Port w Gdyni.

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



weekendówka
75

TWARDZIEL NAD TWARDZIELAMI

Autorką wielu haseł jest **Marta Górna**

22 października 1982 roku widzo-
wie po raz pierwszy zobaczyli na
ekranie pewnego weterana wojny
wietnamskiej, który odstawiony
do granic miasteczka Hope w stanie Waszyngton
przez miejscowego szeryfa postanawia jednak
zawrócić. Szeryf, który obserwuje wszystko z okna
radiowozu, aresztuje żołnierza za włóczęgostwo,
pakuje do auta i zawozi na posterunek. Tam wete-
ran, upokarzany i traktowany jak zwykły bandyta,
nie wytrzymuje. Kiedy jeden z policjantów chce mu
ogolić głowę „na sucho” brzytwą rzuca się do walki,
rozkłada kilku funkcjonariuszy, kradnie motocykl
i ucieka do lasu. Rusza za nim oblawa.

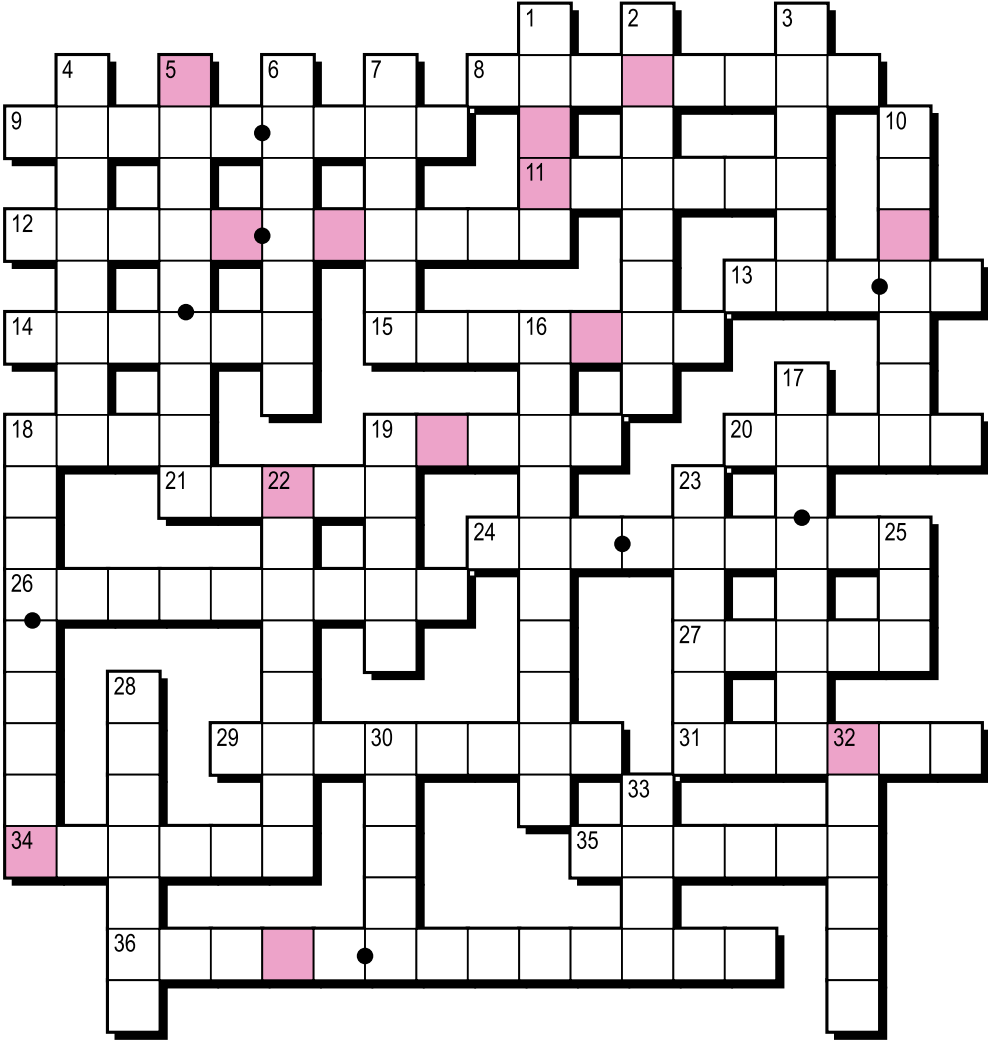
Rambo, bo o nim mowa, powołał do życia 10 lat
wcześniej kanadyjski pisarz David Morrell. Swo-
ją debiutancką powieść „Pierwsza krew” napisał
po tym, jak wysłuchał wspomnień swoich uczniów
z wojny w Wietnamie. Powieść była bardzo bru-
talna i częściowo w wymowie antywojenna – obaj
główni antagoniści, Rambo i szeryf Teasle, byli we-
teranami, ten drugi walczył w Korei.

„Pierwszą krew” chciano sfilmować niemal
od razu, a Morrell już w 1972 roku sprzedał prawa
do ekranizacji Columbia Pictures za 175 tys. dol.,
potem przejęło je Warner Bros., a film ostatecz-
nie zrealizowało niezależne studio Carolco Pictu-
res. Sylvester Stallone, ostatecznie obsadzony w ro-
li głównej – przez lata rozważano takie nazwiska
jak: Robert De Niro, Clint Eastwood, Burt Reynolds,
John Travolta, Robert Redford, Michael Douglas,
Nick Nolte, a nawet Dustin Hoffman – wymógł
zmiany w stosunku do książki. Filmowy Rambo nie
ginie, nie jest też aż tak brutalny, bezpośrednio nie
uśmierca żadnego policjanta ani żołnierza Gwar-
dii Narodowej. Inaczej niż u Morrella główny boha-
ter dostaje też imię: John (w książce określa się go
po prostu Rambo). Swoją drogą kanadyjski pisarz
nie miał pomysłu, jak nazwać postać, mimowolnie
dopomogła żona, która przyniosła do domu jabłka
z gatunku nazywanego „rambo”.

Resztę już chyba znacie. John Rambo – Syl-
vester Stallone – stworzył ikoniczną kreację ki-
na akcji. W momencie, kiedy postawił się szeryfo-
wi (Brian Dennehy), na zawsze zmienił się los fil-
mowych twardzieli. Rzecz jasna opowieść o Johnie
Rambo, nieuśmierconym w finale – sam Morrell też
się zreflektował i napisał potem dwie kolejne powie-
ści o weteranie, już na podstawie filmowych sequ-
eli – doczekała się czterech kontynuacji, a każda by-
ła brutalniejsza od poprzedniczki.

„445. Tyle osób zabił Rambo w czterech filmach
serii. W pierwszej z jego rąk zginął tylko jeden czło-
wiek, i to przypadkiem. Można więc dyskutować,
czy grany przez Sylwestra Stallone’a bohater rzeczy-
wiście przyczynił się do jego śmierci” – pisała Marta
Górna na Wyborcza.pl przy okazji premiery części
piątej „Rambo: Ostatnia krew”. A że trudno znaleźć
kogoś, kto o kinie akcji wie więcej niż Marta, przeto
właśnie ją zaprosiliśmy do naszej „Weekendówki”,
w której oddajemy hold także innym ekranowym
twardym gościom. Ostro! ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 74 z 14.10:

Poziomo:

- 7) zegarek 9) Oscar
10) Tim Roth 11) twist
12) Travolta
13) Carradine
14) Chevrolet
17) Jackson
21) stewardesa
22) Uma 23) Brad
25) Landa 26) Diane
Kruger 28) skalpy
31) Niemcy 33) Django
35) animacja 36) Mike
38) idol 39) Hollywood
40) Vincent

Pionowo:

- 1) western 2) panika
3) Beatrix Kiddo
4) Mamba 5) bohater
6) Pam Grier 8) pokoje
10) Tate 15) Vega
16) jatka 18) Alabama
19) obsada 20) Quentin
23) Bruce 24) agencji
27) kinomani 29) Keitel
30) Pacino 32) radio
33) David 34) aktor
37) Elle

HASŁO:
WARTKA AKCJA

TWARDZIELE KINA

Hasła Marty Górnej
oznaczono inicjałami (MG).
Literey w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 8) 18 pionowo
9) Tom Cruise w serii filmów
„Mission: Impossible”
11) Val, zdarzyło mu się być
Batmanem
12) rola Sigourney Weaver
w walce z Obcym
13) chiński aktor z filmów
„Zabójcza broń 4”, „Romeo musi
umrzeć”, „Hero”
14) atakują w serii „Resident Evil”
(Milla Jovovich jako Alice)
15) Jason, gwiazda serii
„Adrenalina”, „Szybcy i wściekli”,
„Niezniszczalni”

- 18) imię odtwórcy roli Leona
zawodowca
19) tytuł filmu, w którym bohater
Sylwestra Stallone nosi imię
„Marion” (MG)
20) imię odtwórcy roli Janosika
21) imię gwiazdy kina akcji
z magistrem z chemii (MG)
24) wystąpił m.in. w obrazach
„Pitch Black”, „Szybcy i wściekli”
26) bohaterowie cyklu filmów
„Niezniszczalni”
27) detektyw, którego zagrał
Samuel L. Jackson w remake'u
słynnego filmu z lat 70. (MG)
29) film, w którym Arnie walczy
w dżungli z potworem z kosmosu
31) Liam. Wszystkie zbiory boją
się jego telefonu (MG)
34) Gary, czarny charakter
w filmach „Leon zawodowiec”,
„Air Force One”
35) zabójczyni z filmu Luca
Bessona (rola m.in. Anne

- Parillaud, Bridget Fondy i Pety
Wilson) (MG)
36) twardziel z westernów Sergia
Leone, a także Brudny Harry
Pionowo:
1) ... Balboa, bokser niezłomny
2) nazwisko Brudnego
Harry'ego
3) Mickey z filmów „Sin City:
Miasto grzechu”, „Bullet”,
„Zapaśnik”
4) umięśniony Sylvester
5) as, którego wspierają M i Q
6) ... Bronson („Parszywa
dwunastka”, seria
„Życzenie śmierci”)
7) Wesley, filmowy Blade – łowca
wampirów
10) John, policjant
w „Szklanej pułapce”
16) kto z austriackim akcentem
powiedział, że „jeszcze wróci”?
(MG)

- 17) prywatny detektyw
z filmu „Sokół maltański” (rola
Humphreya Bogarta)
18) Stallone jako weteran wojny
w Wietnamie
19) Norris. Szybciej stoi, niż wy
biegniecie (MG)
22) nazwisko szwedzkiego
aktora, który boksował
w „Rockym IV” i zagrał Punishera
23) Mel ... był Maxem
Rockatanskym, który przyjechał
„tylko po benzynę” (MG)
25) „Con Air – ... skazańców”, film
naszpikowany twardzielami
28) nazwisko w tytule cyklu
filmów SF „Kroniki ...” (rola
24 poziomo)
30) Jean-Claude Van ...
(„Uniwersalny żołnierz”)
32) Steven. Ten, który lubi Putina
(MG)
33) ... akcji

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34225722

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

POBIERZ Z
Google Play